

## WSPOMNIENIA Franciszek Banaszkiewicz

### Wstęp

Wspomnienia, które piszę, obejmują okres od początku lat trzydziestych aż do osiemdziesiątych, to jest od mego dzieciństwa aż do starości.

Okres ten obfituje w bardzo wiele wydarzeń w naszym kraju i na świecie. Po pierwszej wojnie światowej i odzyskaniu niepodległości Polski, wielka radość i później wielki kryzys, a jeszcze później zbójcka napaść Niemiec i Związku Radzieckiego na nasz kraj. Okupacja, walki o niepodległość Polski, wyzwolenie, odbudowa kraju w warunkach dominacji sowieckiej, zrywy wolnościowe narodu polskiego, to są wydarzenia, które wycisnęły piętno na pokoleniu, które wtedy to przeżywało.

Przeżywałem i ja, i moja rodzina, borykaliśmy się z losem z różnymi skutkami i w różnych okolicznościach – raz było lepiej, raz gorzej, a czasem wręcz tragicznie.

O czym więc będę pisał w tych swoich wspomnieniach? – otóż nie będę opisywał wielkich bitew czy batalii, a opiszę dzieje prostego, zwyczajnego chłopaka i jego najbliższych z Bytynia – mało znanej wioski nad Bugiem, lata zmagania z losem w okresie tych tak ważnych i tragicznych wydarzeń, które miały miejsce i w których również brałem udział.

Opiszę też jak wtedy wyglądał Bytyń i okolice. Będzie również opis mojej trzydziestoletniej służby wojskowej i warunków w jakich przebiegała. W tym również trzyletni okres rozminowania, chociaż wiem, że rozminowanie nie jest łatwe do opisania. Inaczej się bowiem opisuje i czyta, na przykład, o szarzy szwadronu kawalerii pod Rokitną, czy w dalszej przeszłości pod Samosierrą, szarzy niesamowitej i niebezpiecznej, po której jej uczestnicy zostają bohaterami i o których śpiewamy piosenki, a inaczej o rozminowaniu przyczółka Sandomierskiego czy Magnuszowsko-Wareckiego (w tym rozminowaniu brałem udział przez trzy lata), gdzie ginie lub zostaje kalekami wielu, bardzo wielu żołnierzy-saperów.

Nikt o tym rozminowaniu nie napisał (przynajmniej ja tego nie spotkałem), bo nie jest ono tak barwne jak bitwy czy szarże ułanów, ale jakże konieczne, niebezpieczne i długotrwałe przy najwyższym natężeniu uwagi, nerwów – i zawsze o krok od śmierci. „Saper myli się tylko raz”. Byłem świadkiem bardzo wielu takich pomyłek.

O rozminowaniu też więc napiszę – krótko, ale napiszę.

## Rozdział 1

### Strony rodzinne, dzieciństwo i młodość

Moje dzieciństwo i młodość spędziłem przeważnie na wsi Bytyń, gdzie urodziłem się dnia 13 stycznia 1921r. Wieś Bytyń to dosyć uboga wieś położona nad Bugiem między miastami Chełmem i Włodawą. Obok, prawie stykająca się z Bytyniem następna wieś Wola-Uhruska i tuż obok osada fabryczna Nadbużanka, w której działała huta szkła. W tej osadzie mieszkali współwłaściciele tej huty, a było ich około trzydziestu. W hucie pracowali współwłaściciele, ich rodziny (mężczyźni) oraz częściowo mieszkańcy Bytynia, Woli Uhruskiej i innych wsi. Kilku mężczyzn przyjeżdżało do pracy nawet ze wsi położonych po drugiej stronie Bugu.

Wieś Bytyń powstała bardzo dawno, gdzieś w Średniowieczu, a osadnictwo w tym rejonie sięga czasów prehistorycznych, świadczą o tym wykopaliska. A o tym jak wyglądała wieś Bytyń w okresie międzywojennym - wtedy, gdy byłem małym chłopcem i dorastającym młodzieńcem – jak wyglądały okolice Bytynia i jak żyli ludzie postaram się opisać w tych swoich wspomnieniach.

Bytyń jest położony na dość wysokim płaskowyżu tuż nad szerokim pasem doliny stanowiącej tereny zalewowe, płynącej niedaleko rzeki Bug. Dolina ta ciągnie się wzdłuż rzeki gdzieś od Włodawy i dalej na południe w kierunku Dorohuska i ma szerokość tak na oko około 2 km, a w niektórych miejscach mniej lub więcej. Piszę o zachodnim brzegu rzeki, to jest po "naszej stronie" Bugu.

Rzeka Bug to rzeka płynąca dziko poprzez pola i łąki, nie uregulowana, ma brzegi przeważnie porośnięte wikliną i drzewami, urwiste, a miejscami łagodne i piaszczyste.

Rzeka pełna zakrętów, zakoli nieraz bardzo ostrych oraz wirów – wygląda przepięknie, uroczo i dziko. Płynie niespokojnie, bo jest nie uregulowana i tworzy ciągle (od wieków) meandry tj. większe lub mniejsze zakola i często zmienia koryto.

Dzieje się to tak, że rzeka podmywa któryś brzeg i grunt z niego przenosi na przeciwny. W ten sposób jednego brzegu stale ubywa, a drugiego przybywa i po dłuższym czasie powstaje mniejsze lub większe zakole – łuk.

Łuk ten z upływem czasu powiększa się tak, że końce jego ramion są coraz bliżej siebie i wtedy (bywa to w czasie wiosennych roztopów i powodzi) rzeka gwałtownie żłobi (przerywa) nowe koryto, które często stanowi cięciwę tegoż łuku. W ten sposób zamyka się obwód i powstaje mniejsza lub nawet bardzo duża wyspa.

Woda płynie teraz na tym odcinku dwoma korytami, tj. starym tworzącym łuk i nowym często po cięciwie tego łuku. Stare koryto Bugu nazywano Stary Bug, albo Bużysko, a nowe koryto nazywano Przerwa.

Stare koryta z biegiem czasu (po wielu latach) zamulały się i zarastały najpierw zielenią, później trawą, a na niektórych odcinkach jest w nich woda i to nieraz bardzo głęboka, taka jak przed utworzeniem nowego koryta.

Wyspy, które powstały tak jak tu opisałem, miały kiedyś i mają teraz różne nazwy np. Fotkowa Kępa, Czerwiniec, Łuczka, Guzowe Łuki, Za Bystry Rów.

Kępy te były czasem przedmiotem sporu czyją są własnością. Na przykład Fotkowa Kępa zanim woda wykonała nowe koryto była po stronie wschodniej Bugu, a po przerwaniu – wyłobieniu nowego koryta jest po stronie zachodniej.

Swego czasu Wojciech Kozaczuk z Bytynia kupił tę Kępę (po wyłobieniu nowego koryta rzeki), od gospodarza zza Bugu, ale do tej Kępy rościł pretensje także Leon Fotek z Bytynia, bo kępa leżała naprzeciw jego gruntów. Było to chyba w 1925 roku.

Spór był tak gwałtowny, że kłócący się Fotek z Kozaczukiem pobili się o tę kępę. Kozaczuk w czasie bójki oberwał widłami. Była sprawa sądowa, która wlokła się wiele lat, a obaj przeciwnicy stracili na kosztach sądowych i adwokatów tyle pieniędzy, że można by było za nie kupić trzy takie kępy.

Spór sądowy wygrał Leon Fotek. Kępa ta pożytku materialnego przyniosła niewiele, ale jest piękna, dookoła porośnięta drzewami, piękna łąka i kwiaty na łące. Wszystkie inne kępy też były i są piękne, były miejscem spacerów wielu ludzi, którzy podziwiali piękno natury i słuchali "klaskania" słowików w zaroślach lub krzyków czajek krążących nad kępą i pikujących w kierunku przechodniów w obronie swoich gniazd.

Dolina Bugu (tereny zalewowe) w całym pasie pokryta jest wydłużonymi zagłębieniami – to pozostałości starych koryt Bugu, na których rośnie teraz trawa koszona kiedyś przez gospodarzy. Teraz nikt jej nie kosi. Niektóre odcinki koryt Bugu pozostały jak przed laty pełne wody. Rybacy łowią w nich ryby, a młodzież się kąpie.

Przed II Wojną światową tereny w całym pasie doliny Bugu były uprawiane, w zagłębieniach starych koryt koszone trawę, a wyższe tereny były zasiewane zbożami. Każdy kawałek gruntu był uprawiany.

Poszczególne większe arealy tych gruntów (kęp, zbiorników wodnych i łąk) miały swoje nazwy. Wymienię kilka po kolei poczynając od strony Woli Uhruskiej: Za Jeziorem, Fotkowa Kępa, Obołonie, Fotków Kąt, Biała Jama, Czarna Jama, Horodyszczce, Załyzie, Rosochy, Zapławy, Łuczka, Czerwiniec, Ditiatko, Swyrydów Rów, Reńkawiec, Zakopne, Dębina, Za Byстрыm Rowem, to tylko część nazw miejsc położonych w dolinie Bugu.

Te nazwy, które wymieniłem, powstały gdzieś w przeszłości i nie wiadomo dlaczego są właśnie takie. Jedną z tych nazw brzmi Horodyszczce myślę, że dlatego, bo w tym miejscu są ruiny jakiejś starej budowli otoczonej fosą, której regularne zarysy zachowały się do dziś, a za fosą wyorywał kiedyś Fr. Dunin szczątki cegieł i spalonego drewna po jakiejś budowli, prawdopodobnie był to jakiś gród – stąd nazwa Horodyszczce (po polsku grodzisko).

Tyle o okolicy Bytnia od strony wschodniej, tj. po polskiej dolinie Bugu i o samej rzece, a co od strony zachodniej? Od strony zachodniej równoległe do Bytnia pola uprawne i niedaleko pas lasu na wzgórzach ciągnący się ok. 1km równoległe do wsi. Wzgórza te nazywają się Grobowice i też nie wiadomo skąd ta nazwa – może tam kiedyś grzebano zmarłych?

Zaraz za tymi wzgórzami jest tor kolejowy łączący kiedyś Chełm z Brześciem n/Bugiem przez Wolę Uhruską, Sobibór i Włodawę. Po obydwu stronach toru rośnie las w zagłębieniu, które powstało przy budowie torowiska ziemnego pod tor kolejowy po obydwu jego stronach (ziemia z wykopu służyła do formowania tego torowiska)

Lasek ten nazywa się Karier – przypuszczam, że ta nazwa pochodzi od nazwy kurier – pociąg. Ponieważ tor był budowany za któregoś tam cara, a kurier z rosyjska nazywa się karier więc chyba stąd pochodzi ta nazwa – na pewno jednak nie wiadomo.

Te piękne okolice Bytnia w okresie międzywojennym chętnie odwiedzali w okresie letnim w czasie wakacji wczasowicze z pobliskich miast, a zwłaszcza z Chełma i częściowo z Włodawy. Było tak, że wielu gospodarzy z Bytnia mających odpowiednio duże domy wynajmowali na okres wakacji letnich jeden lub więcej pokoi z używalnością kuchni wczasowiczom zwanym wtedy letnikami.

Gospodarze mieli z tego spore korzyści, bo ci letnicy płacili za wynajmowane pokoje oraz kupowali od gospodarza, u którego zamieszkali różne produkty jak mleko, śmietana, sery, różne jarzyny i jaja kurze, a owoce leśne przynosili poleszycy zamieszkali po drugiej

stronie Bugu. Można sobie wyobrazić jaka tam była bieda, jeżeli kobieta z koszykiem jagód na plecach ważącym chyba około 8kg szła piechotą kilka kilometrów, przechodziła w bród przez Bug (bród trzeba było wyszukać) i chodziła od domu do domu, gdzie mieszkali letnicy, by sprzedawać te jagody za grosze.

Pozostałe zaopatrzenie kupowano w trzech sklepach spożywczych, które prowadzili: Zalewski Michał, Spółdzielnia Spożywców i rodzina żydowska Dzieciołów. Jeden sklep mięsny prowadził p. Teodorowski.

Innych punktów zaopatrzenia czy żywieniowych w Bytniu w okresie międzywojennym nie było. Do małej knajpy – restauracji trzeba było iść do Woli Uhruskiej lub do Nadbużanki. Dla wczasowiczów wtedy te warunki zaopatrzenia zupełnie wystarczały, byli zadowoleni i co roku przyjeżdżali na wakacje.

Warunki pogodowe były wtedy wspaniałe, całe lato była przeważnie piękna pogoda, a nawet w tym okresie międzywojennym wyjątkowo piękna, więc letnicy używali wczasów pełną parą, kąpali się w Bugu lub Bużyskach, opalali się na plażach lub w okolicy lasu na Grobowicy (wzgórze to, to prawie lotny czysty piasek, porośnięty rzadko sosnami), więc opalać się i używać “sosnowego” powietrza można było w bród.

Woda w Bugu była wtedy czysta i jak to w rzece dość ciepła, a była tak czysta, że kilka razy, gdy byłem spragniony w upał, piłem wodę z Bugu i była nawet dość dobra.

Niektórzy letnicy przywozili ze sobą kajaki czy małe łodzie i pływali nimi po tym pięknym uroczym Bugu do woli.

Ja wtedy byłem młody, nawet bardzo młody i też po swojemu użytkowałem plaży i wody w Bugu, nieraz tak długo, że miałem ręce jak u praczki. Wraz ze mną kąpało się wielu takich chłopców jak ja i czasem dziewczęta i dzieci, a kąpałiśmy się w starym korycie Bugu w pobliżu zabudowań rodziny Grodzickich. Woda tam była niezbyt głęboka, ciepła i zaraz po drugiej stronie była plaża – warunki doskonałe. Tyle o okolicy Bytnia.

Mieszkańcy Bytnia to w znacznej liczbie potomkowie Unitów, którzy w przeszłości przejęli wiarę katolicką. Dużo tu nazwisk Hacıuków, Kozaczuków i pojedyncze nazwiska Zańczuk, Dmitruk, Borysiuk, Kościuk.

Poza tym mieszkańcami Bytnia była spora ilość spauperyzowanej szlachty – Grodzicy, Duninowie, Brzuskowie, Motwiccy, Wojtasiewiczowie, Czupryńscy, Wieliczko, Skulscy, Dziedzicy, Zakrzewscy, Głabowie i inni.

Najwięcej chyba mieszkało i mieszka w Bytniu Zalewskich, tak, że było i jest trudno rozróżnić który jest który.

Kiedyś spytałem mojego przyrodniego brata, który nazywa się Zalewski, skąd tyłu Zalewskich w Bytniu? Odpowiedział mi, że dawno temu w niedaleko położonym od Bytnia majątku Majdan Stuleński był rządca, który nazywał się Zalewski i miał wielu synów, chyba siedmiu, czy nawet więcej. W czasie którejś parcelacji gruntów w tym majątku, ziemię otrzymali, czy wykupili, przeważnie synowie rządcy i osiedlili się w Bytniu, stąd tak powszechne jest tu nazwisko Zalewski. Oprócz wyżej wymienionych nazwisk mieszkańców spotykamy tu po kilka nazwisk takich jak: Baranowicz, Banaszkiwicz, Polak, Suchan, Jączak, Nowosad, Nowoźniak, Swyryda, Kondracki, Hołowacz, Koszełowicz i inni.

Była jedna rodzina żydowska Dzieciołów, i jedna wyznania grecko-katolickiego Samosiuków.

Moi Rodzice : Ojciec Jan, urodzony w 1887r., przybył wraz ze swymi rodzicami i rodzeństwem z odległej 10 km wsi Kosyń do Bytnia po 1900 roku. Dziadek w wyniku

nieporozumień rodzinnych został wyrokiem sądu carskiego pozbawiony połowy posiadane-  
go dobrego gruntu w Kosyniu i sfrustrowany tym sprzedał pozostałą połowę i kupił w By-  
tyniu od Brzóska kilkanaście morgów ziemi, ziemi bardzo słabej. Gospodarował niedługo,  
bo z przepracowania wkrótce zmarł. Skąd pochodzili Dziadka przodkowie - nie wiem, po-  
dobno byli Litwinami. Tak więc na tym biednym, choć dużym gospodarstwie został mój  
Ojciec wraz ze swą matką i rodzeństwem.

Mama Helena z Kozaczuków ur. w 1885r. we wsi Wólka nad Bugiem wyszła za mąż  
za Michała Zalewskiego z Bytynia i tu też zamieszkali. Mieli ze sobą dwoje dzieci Antonie-  
go i Józefę. W 1915r. mąż mamy zmarł i została sama z dwojgiem dzieci. Około 1917r. wy-  
szła za mąż powtórnie, tym razem za mojego późniejszego Ojca. Ojciec też był wdowcem -  
pierwsza żona zmarła wkrótce po ślubie.

Po zawarciu związku małżeńskiego, mama wraz z dziećmi zamieszkała u Ojca. Ro-  
dzina była dosyć liczna, bo razem z ojcem była również babcia (matka mojego ojca) i dwoje  
rodzeństwa. W miarę upływu czasu rodzina się powiększała. W 1918 roku urodziła się Ma-  
rysia - moja siostra, w 1921 ja! A kilka lat później - najmłodszy z rodzeństwa - Staszek.  
Przed Staszkiem jeszcze urodził się Janek, ale żył tylko 2 lata.

Trudno było w warunkach, jakie wtedy były, egzystować dość licznej rodzinie na  
tym gospodarstwie. Bywało często tak, że to co się z pola zebrało jesienią nie starczyło do  
następnych zbiorów i tzw. przednówek zaczynał się już w maju, a nawet w kwietniu - po  
prostu kończyła się żywność (zboże, kartofle itp.) i nie było co jeść. Dodatkowej pracy po-  
za własnym gospodarstwem nie było, a potrzeby były duże. Oprócz żywności potrzebne by-  
ły przecież ubrania, obuwie, istniał również problem „sól, nafta, zapalniczki”. Tak!- nie było  
nieraz za co kupić zapalniczek i sąsiedzi pożyczali ogień jeden od drugiego (w garnku przynosi-  
ło się żar od sąsiada i rozpałało w kuchni). Zapalniczki dzieliło się na dwie części, a nawet na  
cztery, a kosztowało pudełeczko zapalniczek 10 groszy to jest tyle co 3-4 jajka kurze.

W żywieniu na wiosnę dużą rolę odgrywała lebioda (to takie jadalne ziele) i szczaw.  
Bardzo wielu ludzi żywiło się tak na przednówku i nie tylko na przednówku. Bieda i te nie-  
dostatki dotyczyły nie tylko mojej rodziny, były one dość powszechne. Ludność w Polsce  
wtedy była sfłoczona na wsi (75% ludności żyło na wsi). Jaka tam panowała bieda, to trud-  
ne jest do opisanego, bo wtedy dziennikarze nie docierali na wsie Rzeszowszczyzny, Lu-  
belszczyzny i innych rejonów wschodnich - w ogóle do Polski „B”. Polska „A” to woje-  
wództwa z byłego zaboru niemieckiego i częściowo austriackiego tj. woj. Śląskie, Poznań-  
skie i Pomorskie - tu było trochę lepiej, natomiast pozostałe, a zwłaszcza za Bugiem, to le-  
piej nie mówić - to była Polska „B”.

Dobrze żyło się w Polsce urzędnikom państwowym i większym właścicielom ziem-  
skim, ale to była znakomita mniejszość. Ten ich dobrobyt był opisywany i chwalony  
zwłaszcza po II wojnie światowej. O tej olbrzymiej większości, która żyła często w biedzie  
nikt nie wspominał.

Ten obraz sytuacji życiowej w Polsce, który tu w kilku zdaniach przedstawiłem, jest  
bardzo skrótowy, no i trochę czarno-biały, powinny tu być kolory przejściowe - szare, ale  
na ten temat można napisać całe tomy, a ja nie jestem ekonomistą ani socjologiem - ot,  
przedstawiłem tu odczucia zwykłego szarego człowieka ze wsi gdzieś nad Bugiem.

Wracajmy jednak na własne podwórko. Dom (raczej chata), w której się wychowy-  
wałem to był trzeci dom. Pierwszy postawił mój dziadek - stał na wzgórzu skąd był rozległy  
widok na okolicę i dolinę nad Bugiem. Dom ten został spalony w czasie I wojny światowej.  
Nasi sąsiedzi (zaborcy) - ci ze wschodu jak i z zachodu, kiedy bili się między sobą to do-

kładnie ograbiali i palili tereny, które opuszczali. Płonęły więc zabudowania chłopskie, spłonął też i dom mojego dziadka. W kilka lat później pobudowano opodal nowy solidny dom, ale nie na długo. Po śmierci dziadka mój ojciec go sprzedał - za uzyskane pieniądze chciał kupić kawałek dobrej ziemi, ale jak to zwykle bywa, pieniądze prawie się rozeszły i ziemi nie kupił. Za resztę pieniędzy kupił starą chatę gdzieś w pobliskiej wiosce. Chatę tę złożyli bracia byłego męża mojej mamy – Zalewscy, w miejscu, gdzie stał sprzedany dom. To już nie był taki dom jak przedtem, a była to stara mała chatka – pokój, kuchnia i komora. Okienka były małe i w mieszkaniu było ciemno. W kuchni zimą zamarzała w wiadrach woda, a i w pokoju nie było wiele ciepłej, bo zimy były wtedy srogie i lata gorące.

Tak więc z mieszkaniem nie było różowo, a mieszkało w nim nas osiem osób. Utrzymywanie czystości w tych warunkach było bardzo trudne np. pranie odbywało się w wielkiej balii - trzeba było nanosić wody z odległej o ok. 0,5 km studni (wtedy w Bytyniu studni było chyba sześć na całą wieś), nagrzać tę wodę na kuchni i wlać do balii i tam się ręcznie szorowało i pościel i bieliznę. Płukanie robiło się w odległej 1 km sadzawce zlokalizowanej obok źródła, dlatego nawet w zimie ta woda wypływająca ze źródła przez pewien krótki okres nie zamarzała i można było nią płukać pranie. Pamiętam jak moja mama i starsza siostra Józia brały na plecy toboły z mokrym praniem z balii i szły blisko kilometr do owej sadzawki ze źródłem i tam płukały przyniesione w tobołach rzeczy. W czasie płukania klęczały nad tym stawkiem i były pokryte obmarzniętą wodą. Takie to było pranie zimowa porą. Latem prało się kijanką w Bugu.

Praca na posiadanej ziemi przy jej uprawie był równie ciężka i przy pomocy prymitywnych narzędzi i nie było mowy o żadnej mechanizacji. Zboża, takie jak żyto, pszenica żęło się sierpem, a tym narzędziem posługiwały się głównie kobiety. Można więc sobie wyobrazić trud kobiety zgiętej w pół i przez cały upalny dzień pracującej przy żęciu tym sierpem.

Dopiero gdzieś po roku 1930 zaczęto zboże ciąć przy pomocy kosy z pałąkiem pokrytym płótnem. Kosili mężczyźni, a kobiety zbierały skoszone zboże i układały w snopy. To było trochę lżej, to był postęp.

Mama moja była bardzo pracowita i zdolna, wszystko co robiła to bardzo dokładnie. Umiała wszystko zrobić - od siania i obróbki lnu aż do tkania zimą płótna i później szycia bielizny i odzieży. Przed szyciem trzeba było owo płótno odpowiednio wybielić i zmięczyć - kosztowało to pracy i umiejętności niemało. Była też bardzo pobożna - należała do zakonu Tercjarzy. Pamiętam jak modliła się codziennie wieczorem przed obrazem przedstawiającym Jezusa z otwartym sercem. Modliła się bardzo żarliwie, a po policzkach spływały łzy.

Ojciec borykał się ciągle z problemami utrzymania dość licznej rodziny, warunki były bardzo trudne, co już na wstępie opisałem. Dodatkowo gnębiły ojca podatki od posiadanej ziemi. Grunty te bardzo słabe, były nie wiadomo dlaczego zaliczone do klasy wyższej niż należało, no i w związku z tym podatki były duże - to nas dobijało do reszty.

Administracja i urzędnicy owych przedwojennych czasów byli bardzo dokładni w ściąganiu z chłopa ostatniej koszuli. Najpierw przychodziło upomnienie pisemne do zapłacenia podatku z procentem za zwłokę, później przyjeżdżał sekwestrator i ustalał co można by zająć za podatek i upominał po raz ostatni.

Jeżeli chłop nie zapłacił, przyjeżdżał komornik i licytował co się dało np. poduszki, a często i ostatnią krowę żywicielkę. O żadnym miłosierdziu chrześcijańskim nie było mowy.

Pamiętam jako mały chłopiec rozmowę ojca z sekwestratorem (sekwestrator nazywał się Żyła): „...czy pan wie jak ja się nazywam - nazywam się Żyła i chyba wiecie do czego służy żyła.” – pytał sekwestrator.

Ojciec wiedział dobrze do czego są zdolni prawdziwi, dokładni przedwojenni urzędnicy, a i my wszyscy odczuliśmy dokładnie te podatki i działalność owych urzędników.

Ojciec starał się o zmianę klasyfikacji gruntu, ale mu odpowiedziano w Urzędzie powiatowym, że jako chłop nie ma pojęcia o klasyfikacji gruntów i że jest to nie do przeprowadzenia. Musiało upłynąć wiele lat aż do 1940 r., kiedy ojciec zwrócił się do wójta (a był to Niemiec), że grunty są źle sklasyfikowane i że nie będzie mógł oddawać kontyngentu zboża, mięsa i płacić odpowiednich podatków. Wójt – Niemiec szybko spowodował klasyfikację, w wyniku której uznano, że grunty nadają się pod zalesienie, a do uprawy nadaje się tylko 1 hektar 90 arów. Odpadł więc kontyngent zupełnie, a i podatki zostały zmniejszone do minimum.

O tym zdzieraniu z chłopów podatków krążył wtedy przed wojną wierszyk:

„Pan komornik nie żartuje  
Jeno wszystko egzekwuje  
Choć sprzedane już manatki  
A na chłopie wiszą gatki  
Jednak wszystko to za mało  
Jeszcze więcej by się zdało  
Już sprzedana szkapa ,prosię  
Cielak krowa-o zły losie  
Wszystko wzięte z każdej dziury  
Teraz kolej chyba na.....kury”

Tak to się w wielu przypadkach odbywał pobór podatków od chłopów (podatków nadmier- nie wysokich).

Teraz trochę więcej o mojej rodzinnej wsi Bytyń i jej mieszkańcach.

Co można powiedzieć o Bytyniu? - chaty rzędem (nie na piaszczystych wzgórkach jak pisał Kasprowicz) lecz wzdłuż gruntowej piaszczystej drogi, która biegła mniej więcej równolegle do Bugu w odległości ok. 1-2 km, gdzieś z Włodawy do Chełma poprzez wioski, w tym i Bytyń.

Chaty w Bytyniu były budowane wzdłuż owej drogi po obu jej stronach. Przed każdym domem był ogródek, oddzielał je od drogi drewniany płot (sztachety). Za domami zabudowania gospodarcze - obory, szopy, stodoły - też rzędami. Wtedy na wsiach nie było prądu elektrycznego ani wodociągów. Do oświetlenia mieszkań używano lamp naftowych, a wodę czerpano żurawiami ze studni. Studni było wtedy w Bytyniu, gdy byłem mały - chyba sześć (na 102 gospodarstwa) i dopiero po 1930 roku zaczęto budować więcej studni. Pojawiły się kręgi betonowe, więc dość łatwo było je budować. Nie było wtedy rzecz jasna łązienek, a fizjologiczne potrzeby załatwiano za przysłowiową stodołą, aż do czasu gdy zaczęto (po odgórnym nakazie) budowę tzw. „sławojek” i choć były one przedmiotem i powodem kpin z ministra, który nakazał je budować - to był to jednak pewien postęp w kulturze bycia.

Pamiętam ów nakaz - do ojca mego przyszedł wtedy sołtys w towarzystwie policjanta. Policjant w czapce z paskiem pod brodą, słowem - służbowo. Po oględzinach obejścia gospodarskiego tak powiedział do ojca: „Przyjdziemy tutaj za miesiąc, do tego czasu ma

być zbudowany wychodek z desek (sławojka), ma być drabina na dachu, bosak, gaśnica (tj. długa żerdź owinięta na końcu szmatami) i beczka z wodą. W razie gdy tego nie będzie, to trzeba będzie zapłacić dużą karę pieniężną lub posiedzieć w kozie.”

Ojciec mój, trochę przestraszony, wszystko wykonał, a ów wychodek zbudował tak porządnie, że po II wojnie światowej, po 1946r, gdy byłem w rodzinnym domu na urlopie był wciąż czysty, schludny i wygodny. Teraz gdy to opisuję - w miejscu chaty, w której spędzałem dzieciństwo i młodość stoi piękny murowany dom, a łazienka w nim jest dużo lepsza niż moja w Gdańsku, a i inne wyposażenie domowe też.

Jeżeli chodzi o warunki materialne mieszkańców Bytynia, to były one nieszczęśliwe. Gospodarstwa rolne były drobne od 1 do 10 ha mniej więcej.

Życie na co dzień jak to na wsi: śniadanie bardzo wcześnie, co pod ręką i do tzw. obrządku i roboty. Gdzieś o godz. 9 -10 było nie to śniadanie nie to obiad, a właściwie obiad. Zazwyczaj na stołku przypominającym dzisiejszą ławę ustawiano sagan z gotowanymi pogniecionymi i okraszonymi słoniną kartoflami i 1-2 miski z kapustą czy z barszczem również okraszonymi smażonymi skrawkami słoniny ( w biedniejszych rodzinach bywało że bez okraszenia – z postem).

Gdzieś około godz. 2-3 po południu też jadło się to co pod ręką - a to kawałek słoniny z chlebem, a to kubek mleka; na wieczór tak samo - a to zacierki, a to krupnik na mleku. Ostatecznie o jakości pożywienia decydowała ilość posiadanej ziemi. W niedzielę było podobnie, z tym, że w tej kapuście lub barszczu gotowało się mięso po kawałku dla każdego członka rodziny ( w biedniejszych rodzinach bardzo rzadko).

W miarę upływu czasu kultura bycia się zmieniała - zaczęto jadać przy stole, pożywienie było bardziej zróżnicowane, pojawiły się talerze (przedtem były tylko w niektórych domach), no i używano noży i widelców (w zależności od tego czy było co nimi jeść i od kultury mieszkańców).

To co piszę dotyczyło większości rolników. W niektórych rodzinach żyło się znacznie lepiej, ale było ich mało.

Mieszkańcy Bytynia to lud pobożny i patriotyczny (mam na myśli okres, gdy byłem dzieckiem); przetrwali dzielnie rusyfikację - nie dali się zrusyfikować, przetrwali również prześladowanie unitów. Kilku mieszkańców Bytynia brało udział w wojnie z najazdem bolszewickim. Na przykład nasz sąsiad - Stanisław Nowoźniak - brał udział w wyprawie na Kijów, opowiadał często jak wojował z bolszewikami pod dowództwem Komendanta Józefa Piłsudskiego.

Stykająca się z Bytyniem wieś Wola Uhruska też była zbudowana wzdłuż tej samej drogi co i Bytyń, ale nie rzędem – budynki były rozrzucone po obydwu stronach drogi dość chaotycznie. Wieś leżała częściowo wzdłuż wysokiej skarpy Bużyska (starego, głębokiego koryta Bugu).

W Woli Uhruskiej była i jest stacja kolejowa Uhrusk z bocznicami do wyładunku towarów. Stacja ta usytuowana jest przy torze kolejowym biegnącym przez Wolę Uhruską po którym kursował pociąg w relacji Chełm – Brześć n/Bugiem.

Wolę Uhruską zamieszkiwali Polacy, Ukraińcy i Żydzi (w przybliżeniu w równych częściach). W odróżnieniu od Bytynia w Woli Uhruskiej była większa niż w Bytyniu ilość sklepów, punktów usługowych, a także było dwóch lekarzy, felczer, apteka, urząd pocztowy, piekarnia, dwa młyny motorowe oraz kilku szewców, krawców i innych rzemieślników. Był też posterunek policji.



Sklepy spożywcze prowadzili Żydzi, zwłaszcza rodzina Baumów, zaopatrzone były raczej słabo, ale na tamte czasy wystarczająco – była sól, nafta, zapalki, cukier, mąka itp. artykuły spożywcze. Jeden sklep, który też prowadził Baum Chaim miał na sprzedaż towary łokciowe, on też wymieniał towary (pościelowe), po 1930 roku na przedziwo od gospodyń w pobliskich wsiach. Sklepy mięsne były dwa, jeden z nich prowadził Wojciech Bolesta, a były w tym sklepie oprócz mięsa i wędlin także napoje alkoholowe.

Naczelnikiem poczty wtedy była pani Rozegnałowa, a aptekę prowadził mgr Marian Belke, który słynął z tego, że często wdawał się w sprzeczki z kupującymi leki. Lekarzem Ubezpieczalni Społecznej była dr Nadzieja Miller, a poza tym byli jeszcze: felczer pan Sofroniuk i lekarz, którego nazwiska nie pamiętam.

Właścicielami młynów byli pan Ciszewski i pan Zabłuda (Młyn Zabłudy prosperował bardzo krótko)

W 1927r. w Woli Uhruskiej oddano do użytku nowo wybudowaną, piękną 7-mio klasową szkołę. Budynek na owe czasy był piękny, jednopiętrowy, sale duże, przestronne i widne – słowem nowoczesna szkoła.

Prawie na styku z Wolą Uhruską, tuż za torami kolejowymi, była osada fabryczna Nadbużanka. Osada mała, położona tuż obok huty szkła. Hutę szkła pobudowano w 1922 roku ze składek udziałowców mieszkańców Józefowa – hutników. Udziałowców było mniej więcej około trzydziestu, oni też wybudowali sobie obok huty szkła osiedle Nadbużanka. Domy w tym osiedlu były jak na tamte czasy całkiem przyzwoite, drewniane, kryte gontami lub blachą, kilkupokojowe, prawie każdy z ogródkiem przydomowym. Domy przeważnie dużo lepsze niż w Bytniu czy Woli Uhruskiej, bo i właściciele huty byli dużo zamożniejsi niż gospodarze z pobliskich wsi.

Osiedle Nadbużanka z hutą szkła miało bardzo duży pozytywny wpływ na życie gospodarcze i kulturalne sąsiednich wsi, a zwłaszcza Bytnia, Woli Uhruskiej, Mszanki, Potoków. W czym się przejawiał ów pozytywny wpływ? Przede wszystkim huta zatrudniała dużą ilość gospodarzy lub członków ich rodzin, którzy mieli gospodarstwa małe i nie mogli z tych gospodarstw żyć. W hucie znaleźli zatrudnienie, a tym samym środki do życia.

Pamiętam, że gdzieś w 1935 roku z samego Bytnia było w hucie zatrudnionych około 25 osób, nie licząc innych, z pobliskich wsi.

Po drugie, Nadbużanka miała spore znaczenie gospodarcze – gospodarze z pobliskich wsi mieli spory zbytny na swoje produkty, zwłaszcza nabiał tj. mleko, śmietanę, sery, masło, jaja itp.

Produkty te nabywali nie tylko mieszkańcy Nadbużanki, lecz również inni pracownicy huty, gdyż mieli teraz na to pewne środki.

Po trzecie wpływ kulturowy. Mieszkańcy Nadbużanki to szlachta i w części potomkowie przybyłych z zachodu fachowców – hutników. Prawie wszyscy byli współwłaścicielami – udziałowcami huty, mieli znaczne dochody i w związku z tym ich warunki materialne i poziom życia przeważnie były wyższe aniżeli w pobliskich wsiach.

W Nadbużance była zorganizowana drużyna strzelecka i kilka innych organizacji kulturalnych i sportowych. W ślad Nadbużanki zorganizowano drużynę strzelecką w Bytniu. Nadbużanka stanowiła swego rodzaju wzór do naśladowania w sposobie organizacji życia kulturalnego i codziennego.

Pamiętam nazwiska tylko niektórych rodzin współwłaścicieli huty, którzy wtedy zamieszkiwali w osiedlu Nadbużanka: Kizińscy, Gębicczy, Chabrowscy, Pasikowscy, Kowalscy, Trojanowie, Lindowie, Brzozowscy, Krystmanowie, Sieradzcy. Wielu innych nazwisk nie pamiętam.

Wsie: Bytyń, Wola Uhruska oraz osada Nadbużanka należały przed II-gą Wojną Światową do gminy Sobibór (obecnie gmina Wola Uhruska) Urząd gminy mieścił się wtedy w dużym budynku niedaleko wsi Zbereże.

Wójtem gminy przez wiele lat do 1939r. był pan Jan Skulski, mieszkaniec Bytynia, bardzo porządny, uczciwy i kulturalny człowiek. Później wójtami byli Niemiec i Ukraińiec.

Sołtysem wsi Bytyń w tym czasie, który opisałem był przez wiele lat do wojny w 1939 r. pan Piotr Koszełowicz – rozsądny człowiek i sołtys, a po nim przez okres okupacji był pan Stanisław Swyryda. Kto był po nim sołtysem - nie pamiętam.

Wracajmy jednak na własne podwórko - do domu. Jest rok 1927 wrzesień - kończę za kilka miesięcy 7 lat, a więc idę do szkoły.

Do szkoły pierwszy raz poszedłem razem ze starszą ode mnie o 3 lata siostrą Marysią. Do szkoły było ponad kilometr, szło się przez cały Bytyń, bo mieszkaliśmy na końcu wsi. Ta końcówka nazywała się „Podmalenie”. Zaszliśmy do szkoły na Woli (bo tak w skrócie nazywa się Wola Uhruska). Szkoła mieściła się wtedy jeszcze w dość dużym budynku, który był własnością miejscowego Żyda (szkoła podstawowa, o której wspominałem była na wykończeniu). Było w tym budynku chyba 3 czy 4 duże pokoje - była to jak dotychczas szkoła 4-klasowa. W pokojach były ławki szkolne i tablica, było dość ciemno.

Siostra zaprowadziła mnie do jednego z tych pokoi i posadziła w ławce. Było tam już kilkoro dzieci, a potem doszło więcej. Po chwili weszła pani z dziennikiem pod pachą i zaczęła czytać z niego nazwiska uczniów. Co mówiła i robiła później - jakoś nie pamiętam, no i po godzinie była przerwa.

W czasie przerwy wydało mi się, że to już po wszystkim i ruszyłem do domu. Szedłem i bałem się, że zabłądzę i nie trafię do domu, ale nie było tu gdzie błędzić - droga prosta jak „batem strzelił” biegła z Woli i przez Bytyń prosto do domu. Gdy przyszedłem, mama moja rozścielała właśnie na trawie len do suszenia. Gdy zobaczyła mnie bardzo się ucieszyła, zaraz dostałem duży biały kubek mleka i pajdę chleba. Taki to był mój pierwszy dzień w szkole.

Następny raz to już poszedłem do nowej 7-mio klasowej szkoły, którą właśnie oddano do użytku i już chodziłem do niej aż do jej ukończenia. Uczyłem się dosyć dobrze - tak przynajmniej mówili wychowawcy na wywiadówkach, no i stopnie na świadectwach.

Pamiętam, że wtedy w szkole stosowane było również karcenie cielesne dzieci. Najczęściej karą było postawienie niesfornego ucznia do kąta, gdzie stał lub klęczał w zasadzie do przerwy w lekcjach.

Następną karą było „dawanie w łapę”. Polegała na tym, że ucznia, który coś przekrobał - pani lub pan brał za rękę, wykręcał dłonią do góry i przyłał linią do rysowania na tablicy kilka lub kilkanaście razy w zależności od przewinienia – wiadomo, że łapa po tym nieźle spuchła i trochę bolała.

Każdy karcący nauczyciel miał swoje sposoby - na przykład jedna z pań nauczycielek nosiła ze sobą na lekcje taką kanciastą listwę z ramy do obrazu, która służyła jej nie tylko jako wskaźnik do wskazywania na mapie lub tablicy, ale również do „dawania w łapę”. Uderzenie tą listwą było bardziej bolesne niż linią do rysowania.

Znowu inny pan nauczyciel kiedy został zdenerwowany przez któregoś urwisa, to chwycił delikwenta garściami za oba policzki i mocno nimi targał.

Zabawnie było pewnego razu na którejś lekcji, gdy pan kazał uczniowi (był to Berek Baum) za karę klęczeć pod tablicą z rękami wyciągniętymi w bok i do jednej ręki dał mu bryłę kredy ( wtedy kreda do pisania była w bryłach około 1-2 kg, do pisania odłupywało

się po kawałku). Berek poczuł się bardzo pokrzywdzony i rzekł do nauczyciela: „Niech pan mi zabierze tę krede z ręki.” „A to dlaczego?” - spytał nauczyciel. Berek nie bardzo wiedział co powiedzieć, więc rzekł: „Bo to nierówna waga i ta bryła przechyla mnie w bok.” „Dobrze” - rzekł pan i zamiast mu zabrać, dodał mu kolejną do drugiej ręki, żeby była równowaga.

Zdarzył się również bardzo przykry przypadek, kiedy zdenerwowana do granic wytrzymałości pani uderzyła uczennicę w twarz - wprawdzie nie mocno, ale tak fatalnie, że uczennicy pękł bębenek w uchu. Było z tego trochę szumu, bo interweniowali rodzice dziewczynki, ale konsekwencji wobec nauczycielki nie wyciągnięto.

Był też i taki nauczyciel, który bił uczniów bardziej pedagogicznie - bo trzepał urwisa dłonią w okolice łopatki. Fajnie to wyglądało, gdy zdenerwowany biegał między rzędami ławek, dopadał delikwenta w ławce, no i trzepał po łopatce.

Jeszcze tylko wspomnę o księdzu katechecie, który uczył nas religii. Nauka religii odbywała się dwa razy w tygodniu. Ksiądz katecheta niesfornych uczniów karał targaniem za uszy. Dziwiłem się nieraz, że tych uszu nie poobrywał - były widać mocne. Zapamiętałem szczególnie, jak w czasie przygotowania do Komunii Św. kilku uczniów, w tym i ja, zaczęło dokazywać i rajcować. Ksiądz katecheta się zdenerwował i po kilku daremnych upomnieniach porwał czapkę – maciejówkę z bardzo twardym daszkiem z głowy któregoś chłopca i wytrzepał nas po głowach tym daszkiem - całkiem niezłe - aż któremuś przeciął skórę. Takie to było przygotowanie do Komunii Świętej.

Po kilku dniach byliśmy u spowiedzi i przystąpiliśmy do Komunii Świętej. Do spowiedzi szło się jednego dnia, a na drugi dzień rano na czczo do Komunii Św.

Przyjęć komunijnych wtedy nie było - każdy miał ze sobą coś do zjedzenia. Ja miałem gotowane na twardo jajko w jednej kieszeni i kawałek chleba i sól w papierku w drugiej. To było moje przyjęcie komunijne. Jeżeli chodzi o napoje, to każdy mógł pić do woli. Na podwórku obok plebani i kościoła była studnia. Wodę wyciągało się wiaderkiem, a obok do kołowrotu był umocowany duży blaszany kubek na łańcuszku - można było pić ile kto chciał - do woli.

Wracajmy jednak do szkoły i do zdarzających się tam kar cielesnych. Dlaczego nauczyciele je stosowali?- myślę, że dlatego, bo wtedy była taka moda. Kary cielesne stosowało bardzo wielu rodziców - były one powszechne i dosyć powszechnie uważano, że rodzice, którzy krótko trzymają swoje dzieci są wzorowi. To wiem, bo nieraz słyszałem tego rodzaju rozmowy i z opowiadań kolegów.

Najczęściej były to klapsy, które rodzice wymierzali dłonią w pupę - czasem gołą, ale również chłosta różgą lub paskiem od spodni. Kary stosowane były z umiarem, o nadużyciach nie słyszałem.

U nas w domu mama umieściła na gwoździu wbitym w ścianę długą wysmukłą brzoźową różgę, która służyła do karcenia nas – dzieci. Tą różgą obrywałem od czasu do czasu ja i moje rodzeństwo. Kary wymierzano, jak to się mówiło matczyną ręką, czyli więcej było morałów niż samego bicia

Ojciec karał paskiem od spodni i tu czasem trochę przesadzał, ale niech tam... Przy karceniu ciekawe i dobre było to, że jak ojciec używał paska, to mama upominała go, żeby tego nie robił i można było się u mamy pocieszyć. Tak samo ojciec był niezadowolony, gdy mama używała różgi i robił jej z tego powodu wymówki. Później oboje wymawiali sobie, że jak jedno karci to drugie nie powinno się wtrącać.

Jedno co mogę powiedzieć - ojciec i mama stosowali kary po rodzicielsku i nigdy nie wyrządzili nam żadnej krzywdy.

W szkole też karano rzadko i głównie wtedy, gdy inne środki nie odnosiły skutku i trzeba było uspokoić rozbrykanego urwisa.

Zazwyczaj nauczyciele umieli zapanować nad niesfornymi uczniami swoją powagą kompetencją i umiejętnościami pedagogicznymi. Celowała w tym pani Halina Dargiewiczówna - kierowniczką szkoły, a uczyła starsze klasy języka polskiego i historii.

Na jej lekcjach - dobrze pamiętam - była taka cisza, że słyhać było przelatującą muchę. Kiedy nam czytała przejmującym głosem opowiadania o powstaniu styczniowym, czy też wyjaśniała znaczenie obrazów A. Grottgera przedstawiających fragmenty tego powstania, to przechodziły nas dreszcze. To była wielka patriotka i nauczycielka z prawdziwego zdarzenia - nie było u niej żadnych pupilów. Jeżeli chodzi o stopnie była nadzwyczaj sprawiedliwa, a z tym to w szkole różnie bywało. Ogólnie poziom nauczania i wychowania (według mnie) jak na tamte czasy był dobry w naszej szkole. Środowisko nauczycielskie było patriotyczne i, jak zapamiętałem, ludzie bardzo się cieszyli odzyskaną po wielu latach niewoli wolnością.

W 1934 roku była patriotyczna uroczystość w rejonie parafialnego cmentarza w Uhrusku. Właściciele huty Nadbużanka ufundowali piękny pomnik dla żołnierzy poległych pod Uhruskim w czasie I wojny światowej.

Była msza św. W kościele parafialnym w Uhrusku zgromadzili się mieszkańcy wielu okolicznych wsi. Były umundurowane drużyny strzeleckie z Bytnia i Nadbużanki, była cała nasza szkoła, straż pożarna z Uhruska, przedstawiciele żydów z gwiazdą syjonistyczną i inni. Przyjechała z Włodawy kompania honorowa Wojska Polskiego i orkiestra. Na placu obok cmentarza piękne płomienne patriotyczne przemówienia wygłaszali przedstawiciele gminy, szkoły i wojska. Orkiestra odegrała hymn państwowy. Wszyscy byli bardzo wzruszeni - ojciec naszych koleżanek ze szkoły (Kazi i Bronci) pan Rozegnał ciągle ocierał łzy wzruszenia. Ksiądz proboszcz poświęcił pomnik.

Na pomniku widniał napis wzorowany na napisie w Termopilach w Grecji ku czci poległych tam 300 spartan. Napis brzmiał:

„Przechodniu powiedz Polsce tu leżym jej syny  
Prawom Jej do ostatniej posłuszni godziny”

Zachowały się do dzisiaj wyryte nazwiska poległych podoficerów i żołnierzy. Ta uroczystość utkwiała mi na długo w pamięci (i nie tylko mnie).

Rozpisałem się o szkole, a tymczasem w domu u nas zaszły spore zmiany. Antoś, mój starszy przyrodni brat, po ukończeniu nauki rzemiosła u stolarza w sąsiedniej wsi Osowa, wrócił do nas do domu i po sprzeczce z naszym ojcem (wina całkowita za to nieporozumienie jest po stronie ojca) Antoś razem ze swoją siostrą Józią wyprowadzili się od nas do krewnych ich zmarłego ojca tj. Zalewskich. To zdarzenie nasza mama przeżyła bardzo boleśnie - nie będę tego opisywał.

W roku 1928 Antoś się ożenił z Helena Zmysłowską z Woli Uhruskiej. Pamiętam, że na weselu byli oboje nasi rodzice, bo po tej sprzeczce, Antoś mimo wyrządzonej mu krzywdy przez naszego ojca wcale się nie gniewał i nie boczył. Przyznam się, że takiego uczciwego i dobrego człowieka jak był Antoś w życiu nie spotkałem. Po zawarciu związku małżeńskiego Antoś zamieszkał u żony w Woli Uhruskiej, a Józia wróciła do nas do domu.

Józia mieszkała z nami jeszcze przez kilka lat, a w 1933 czy 34, wyszła za mąż za Franciszka Nowosada, który był wdowcem.

Franek Nowosad, lat 40, (Józia 20) mężczyzna w kwiecie wieku, dobrze zbudowany, bardzo solidny gospodarz, światły, czytany (był prezesem miejscowej spółdzielni spożywców), cieszył się dobrą opinią na wsi. Ziemi miał sporo, tylko że była oddalona od wsi chyba ze 3km, no i w związku z tym pracy i kłopotów było niemało. Razem z mężem Józim było dwoje jego dzieci w wieku 9-11 lat i troje jego brata Antoniego mniej więcej w tym samym wieku, a może trochę starszych.

Dzieci Antoniego wkrótce (po roku) usamodzielnili się i założyli własne gospodarstwo - pobudowali domek i wyprowadzili się od Franka i Józii.

Mniej więcej w tym samym czasie druga moja siostra Marysia wstąpiła do zakonu. Razem z nią wstąpiły jeszcze cztery dziewczyny. Siostra odbywała nowicjat w ochronce dla dzieci gdzieś w okolicy Włodawy. Tak więc rodzina w naszej chatce znacznie się zmniejszyła - zostało nas pięcioro: rodzice, ja, babcia (ojca matka) i brat Staszek.

Nasza sytuacja materialna wcale się nie polepszyła z powodów, które już opisałem. W tym okresie był wielki kryzys, który dotknął Amerykę, ale również bardzo go odczuli mieszkańcy Europy, w tym i Polski.

Było wielkie bezrobocie, bardzo wielu bezrobotnych chodziło po wsiach prosząc o wsparcie, a ludzie na wsi nie bardzo mieli ich czym wspierać - dzielili się więc, jak to się mówi, ostatnim kawałkiem chleba.

Jest maj 1935r., umiera wielki bohater narodowy Józef Piłsudski. Cały kraj w żałobie. W kościele parafialnym w Uhrusku odbyła się msza św. żałobna. Obecnych było wielu mieszkańców parafii, organizacje społeczne, drużyny strzeleckie, ochotnicza straż pożarna z Uhruska, koło rezerwistów i starsze klasy z naszej szkoły.

Na środku kościoła stał katafalk, na trumnie leżała marszałkowska czapka i dwie szable na krzyż. Po obu stronach katafalku stała straż honorowa tj. Strzelcy z bronią, strażacy i uczniowie ze szkoły na zmianę. Odszedł wielki bohater narodowy.

Pamiętam w szkole (i nie tylko w szkole) śpiewano pieśń żałobną:

To nieprawda, że Ciebie już nie ma  
To nieprawda, że jesteś już w grobie  
Chociaż płacze dziś cała polska ziemia  
Cała Polska ziemia w żałobie

Byłeś dla nas posągiem ze stali  
Byłeś dla nas sztandarem wspaniałym  
Ty coś Polskę obronił i ocalił  
I wydzwignął na wieczny szczyt chwały itd.

Wokół osoby Marszałka Józefa Piłsudskiego jednak były i są kontrowersje dotyczące jego działalności po odzyskaniu niepodległości. Zarzucano Marszałkowi, że dokonał tzw. zamachu majowego w 1926 r. Obalono demokratycznie wybranego prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, a w czasie zamachu poległo w bratobójczej walce około dwustu żołnierzy. Zarzucano mu również, że w kraju panowała bieda, zwłaszcza na wsiach Rzeszowszczyzny. Z tego powodu były strajki chłopskie, które tłumiała policja.

Z drugiej strony były, i również są, inne opinie dotyczące osoby Marszałka, zamachu majowego i okresu po zamachu. Przede wszystkim bierze się pod uwagę stan kraju po odzyskaniu niepodległości.

Kraj, a zwłaszcza ta część, która była pod zaborem rosyjskim, był zniszczony przez rabunkową gospodarke i wojny, które zaborcy prowadzili ze sobą na polskich ziemiach. Po tych wojnach polskie wsie były splądrowane i przeważnie spalone, a gospodarstwa w ruinie.

Doprowadzenie do jakiegokolwiek znośnego stanu tej gospodarki i do jej odbudowy, wymagało bardzo wiele czasu, a tu na dodatek panował ogólnoswiatowy wielki kryzys, który dotknął i nasz kraj.

W kraju, po odzyskaniu niepodległości, w parlamencie zasiadali przedstawiciele wielu partii i stronnictw, które powstały licznie – jak przysłowiowe grzyby po deszczu. Jednak zamiast współpracować ze sobą dla dobra Rzeczypospolitej, bo była pilna potrzeba odbudowy kraju i czas naglił, to zajadłe kłóciły się ze sobą i zwalczały wzajemnie.

Zachodzi pytanie – czy Marszałek Piłsudski mógł na ten stan rzeczy patrzeć obojętnie czy też położyć temu kres? I czy winien był temu, że kraj z trudem wywalczony był, dzięki zaborcom, w ruinie, że był wtedy wielki kryzys, że to powodowało również kryzys i niedostatek w naszym państwie?

Robiono w kraju to co było możliwe do zrobienia i były też znaczne osiągnięcia, jak budowa Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego, reforma Grabskiego i wiele innych udanych przedsięwzięć.

Opisane kontrowersje miały miejsce szczególnie w Wielkopolsce, gdzie ubóstwiano innego patriotę i dyplomata - Romana Dmowskiego. Miał wielkie zasługi w walce dyplomatycznej o granice i miejsce Polski w Europie, a który z Marszałkiem był trochę „na bakiery”.

Piłsudski był również wielkim dyplomata, ale oprócz walki dyplomatycznej organizował i prowadził walkę zbrojną o niepodległość Polski.

Walka ta została uwieńczona zwycięstwem, a w końcowej fazie Wojsko Polskie pod dowództwem Marszałka powstrzymało pod Warszawą i śmiałym kontruderzeniem odrzuciło na wschód nawałę bolszewicką, która zagrażała nie tylko Polsce, ale całej Europie.

Polska odzyskała niepodległość nic i nikt nie może ujmować czci i chwały Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu.

W szkole wielkimi krokami zbliżał się koniec roku szkolnego 1934/35. Byłem w 7-mej klasie, a więc czekał mnie egzamin końcowy. Przygotowywaliśmy się więc bardzo starannie, bo mieliśmy otrzymać świadectwa ukończenia szkoły. Nadszedł wreszcie ten dzień, zdałem egzaminy z wynikami bardzo dobrymi - świadectwo ukończenia szkoły rozlatujące się ze starości mam do dziś.

Wtedy w tym dniu nastrój był bardzo podniosły, śpiewaliśmy patriotyczną pieśń:

Jak młode orły rwą się do lotu  
Gdy poczują moc i czar swych piór  
I nie lękają się wcale grzmotów  
Ni zionących ogniem burz  
    Tak my młodzi pełni wiary  
    Siłą prawic męstwem dusz  
    My rozwijamy swe sztandary  
    Pragnąc wichrów pragnąc burz  
Polska mocarna dziś naszym celem  
Przez nas państwo musi trwać i żyć  
Chcemy w narodzie być budzicielem  
Państwu służyć państwu żyć

Tak śpiewały wszystkie dzieci i te z rodzin zamożnych i te w porciętach z łątami na pupie i boso (bo dzieci wiejskie wtedy do szkoły chodziły boso od maja do września). Śpiewały, chociaż to państwo - ta Ojczyzna, której chcieli służyć nie mogła wszystkim zapewnić dobrobytu. Ale takie myśli nie przychodziły wtedy dzieciom do głowy, cieszyły się, że ukończyły szkołę.

Niektórzy dawali pamiątniki kolegom żeby się wpisali „ku pamięci”. Wpisywało się najczęściej taki wierszyk

Gdy opuścisz szkolne mury  
I w daleki ruszysz świat  
To przypomnij sobie czasem  
Towarzysza szkolnych lat

Wzruszający wierszyk, chociaż niektórzy dowcipnie i urwisy pisali:

Ku pamięci  
Niech ci diabeł łeb ukręci  
Mądry pisze dla zabawy  
Głupi czyta bo ciekawy

Uroczystość zakończenia roku szkolnego dobiegła końca, otrzymaliśmy świadectwa i ruszyliśmy na razie nie w szeroki świat, ale do domu, żeby rodzicom pokazać świadectwa ukończenia szkoły. Sala z wolna opustoszała, ale niezupełnie – kilkoro uczniów zostało, bo musieli się nagadać. Było o czym rozmawiać, bo w tej chwili kończył się ważny okres w życiu – dzieciństwo.

Zostałem i ja. Usiadłem z Albinem Wieliczko w przedostatniej ławce w rzędzie pierwszym od okna, w tej ławce, w której siedzieliśmy obaj przez ostatnie dwa lata szkolne. Przed nami siedziały wtedy Kazia Rozegnałówna i Hela Łysakówna, a za nami w ostatniej ławce siedziały Lodzia i Janka Stefanowskie – wszystkie fajne dziewczyny oraz inni kole-dzy i koleżanki też w porządku. A nauczyciele, którzy przez te lata uczyli nas i wychowy-wali? Wszyscy oni włożyli dużo trudu w naszą edukację i wychowanie. W czasie siedmio-letniej nauki w szkole przewinęło się ich sporo.

Pamiętam nazwiska prawie wszystkich, chociaż, niestety, niektóre imiona zapomnia-łem. Kierownikami naszej szkoły kolejno byli: pan Kamiński, pani Jadwiga Krzaklewska, pani Halina Dargiewiczówna.

Nauczyciele: pani Krepczakówna, pani Maria Majewska, pan Jan Bieszczad, pan Aleksander Lutkiewicz, pan Szewczyk, pan Bronisław Aspras, pani Zofia Aspras, pani Ma-ria Krzaklewska, pani Fulińska, pan Gaździcki, pan Józef Maliński, pan Wincenty Kłos, pa-ni Maria Kłos.

Jacy oni byli w moim odczuciu 14-sto letniego ucznia tej szkoły – jakich ich zapamiętałem?

Najbardziej zapamiętałem kierowniczkę szkoły panią Halinę Dargiewiczównę, o któ-rej już wspominałem, że była bardzo sprawiedliwa i kompetentna. Była wychowawczynią mojej klasy i zawdzięczam jej to, że ukończyłem 7 klas szkoły powszechnej.

Było to tak, że ojciec mój po ukończeniu przeze mnie 5-tej klasy postanowił więcej mnie do szkoły nie posyłać. Tłumaczył to tym, że nie ma środków na to, żeby mi kupić od-powiednie ubranie, książki i przybory szkolne – wystarczy ci – mówił, te pięć klas.

Przestałem więc uczęszczać do szkoły, a przecież zdałem do szóstej klasy z wyni-kiem dobrym. Dozór szkolny wymierzył ojcu kary pieniężne, bo uczeń, który nie ukończył 14-stu lat musiał obowiązkowo uczęszczać do szkoły. Trwało to cały rok. W tej sytuacji, tj. po przeszło roku, Halina Dargiewiczówna wezwała ojca do szkoły na rozmowę (była wtedy

kierowniczką szkoły), w czasie której przekonała ojca, żeby mnie posłał do szkoły, a na argumenty ojca, że nie ma za co on kupić mi ubrania, książek i przyborów szkolnych powiedziała: „Niech przychodzi do szkoły w tym w czym chodzi w domu i bez książek, bo ja wiem, że on da sobie radę bez podręczników. Zmarnował już jeden rok i chyba wystarczy.” Powiedziała to, jak to ona potrafiła tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Ojciec, chociaż był bardzo uparty, tym razem posłuchał i zacząłem z ponad rocznym opóźnieniem uczęszczać do 6-tej klasy, nadrobiłem zaległy materiał i kontynuowałem dalej naukę.

Pani Dargiewiczówna prowadziła z nami lekcje historii i języka polskiego, które szczególnie zapamiętałem, bo to były w moim odczuciu również lekcje patriotyzmu.

Pewnego razu poleciła naszej klasie, żeby w domu przygotować się do tematu o Powstaniu Listopadowym. Na najbliższej lekcji historii zadała niespodziewanie pytanie: „Kto opowie o uczestniczce Powstania Listopadowego Emilii Platterównie?”

Szybko podniosłem palce, bo byłem pewny, że pani zapyta o to harcerki, a tymczasem nikt więcej się nie zgłosił. Pani powiedziała: „Franek nam opowie i zawstydzi harcerki.” Franek też wiedział niewiele i się zaciął. Pani szybko się zorientowała i powiedziała „To może powiesz wiersz pt. Śmierć pułkownika” - (wiedziała, że mam pamięć do wierszy).

Wiersz ten pamiętam, więc zacytuję:

W głuchej puszczy, przed chatką leśnika,  
Rota strzelców stanęła zielona;  
A u wrót stoi straż Pułkownika,  
Tam w izdebce Pułkownik ich kona.  
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze,  
Wódz to był wielkiej mocy i sławy,  
Kiedy po nim lud prosty tak płacze  
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia Pułkownik kulbaczyć,  
Konia w każdej sławnego potrzebie;  
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,  
Kazał przywieść do izby - do siebie.  
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,  
Swoją kordelas i pas, i ładunki;  
Stary żołnierz - on chce jak Czarniecki.  
Umierając, swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,  
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;  
I żołnierze od żalu pobledli.  
A lud modlił się klęcząc przed progiem.  
Nawet starzy Kościuszki żołnierze,  
Tyle krwi swej i cudzej wylali,  
Łzy ni jednej - a teraz płakali  
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniło w kaplicy;



Już przed chatą nie było żołnierza,  
Bo już Moskal był w tej okolicy.  
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza,  
Na pastuszym tapczanie on leży -  
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,  
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,  
Jakie piękne dziewczę ma lica?  
Jaką pierś? - Ach, to była dziewczica,  
To Litwinka, dziewczica-bohater,  
Wódz Powstańców - Emilija Plater!

Wiersz ten wyrecytowałem, bo akurat wyuczyłem się go w domu na pamięć, ale do dziś nie wiem czy ktoś się z tego powodu zawstydził – myślę, że harcerki też się przygotowały, ale się nie wrywały do odpowiedzi.

Inni nauczyciele to: pan Wincenty Kłos – nauczyciel starszych klas z matematyki i fizyki, zawsze elegancko ubrany, nienaganne maniery, nigdy nie popełnił żadnej gafy. Był przy tym bardzo kompetentny i naprawdę kto chciał to mógł się na jego lekcjach dużo nauczyć. Nigdy się nie denerwował, a przynajmniej tego nie okazywał.

Pewnego razu wywołał któregoś ucznia z naszej 7-mej klasy do tablicy, podyktował zadanie i kazał mu je rozwiązać. Uczeń był słaby i mordował się przy tym niesamowicie, bo nie mógł tego zadania rozwiązać.

Pan Kłos wtedy powiedział do tego ucznia uderzając się przy tym w piersi: „Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa”, a później po polsku: „Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina, że cię puściłem do 7-go oddziału.” Taki to był pan Wincenty Kłos.

Pan Gaździcki uczył nas w klasie 5-tej języka niemieckiego. Wchodził do klasy i mówił po niemiecku: „Geleb sein Jezus Chrystus” (niech będzie pochwalony Jezus Chrystus) i zaraz po tym: „ich bitte machen sie die Hefte und die Bücher zu” (proszę zamknąć książki i zeszyty).

Następnie zaczynało się przepytywanie z tzw. słówek, czyli trzeba było tłumaczyć słowa z niemieckiego na polski lub odwrotnie, odmieniać rzeczowniki (niemieckie) przez przypadki i czasowniki przez osoby.

Jeżeli któryś z uczniów nie umiał słówek, to pan Gaździcki karał go w ten sposób, że kazał mu to słowo przepisać sto lub więcej razy, z odmianą przez przypadki, w domu.

Nieraz trzeba było zapisać cały zeszyt. Był bardzo wymagający i konsekwentny.

Pan Józef Maliński uczył nas śpiewu i organizował chór szkolny. Na próby śpiewu zbieraliśmy się z różnych klas, po zakończeniu lekcji. Śpiewaliśmy pieśni przeważnie rycerskie, takie jak: Bogurodzica i inne. Zacytuję jedną z nich:

Czy w radzie czy w swadzie  
Czy w swarnej gromadzie  
Czy w bitwie czy w Litwie  
Czy harcem w gonitwie  
Rycerskie rzemiosło przed wszystkiej wiedzy  
Bo wszędy on pierwszy do boju na przedzie  
Z potrzeby w potrzebę i z cwału w cwał  
Ze szanica na szaniec i z wału na wał

To rozkosz, to rozkosz jedyna, rycerska przyczyna  
Rycerskie rzemiosło, rycerski to tan  
Co rycerz to pan.

Tak śpiewaliśmy. Pan Maliński był bardzo nerwowy i miałem z nim nieraz potyczki, bo nie bardzo chciałem zostawać po lekcjach na próby chóru, a kiedy pewnego razu uciekałem po lekcjach do domu, pan Maliński zatrzymał mnie laską, którą nosił ze sobą (była wtedy moda na noszenie lasek przez młodych panów). Tą laską zahaczył mnie za nogi tak, że poleciałem nurka do przodu, i to szczęście, że nic mi się oprócz potłuczenia nie stało.

Po tym incydencie zostałem z chóru wypisany.

Pan Bronisław Aspras uczył nas przez ostatnie dwa lata szkolne geografii i robót ręcznych. Opowiadał nam na lekcjach geografii o różnych krajach, morzach i oceanach, ale mniej te lekcje zapamiętałem, natomiast dobrze zapamiętałem roboty ręczne.

Roboty ręczne zazwyczaj były planowane jako ostatnie dwie godziny lekcyjne, jeden czy dwa razy w tygodniu, dokładnie nie pamiętam. Co robiliśmy na tych robotach? Na robotach porządkowaliśmy teren wokół szkoły tj. przede wszystkim sadziliśmy drzewa i krzewy, które przynosiliśmy z lasu, lub z domowego ogródka, urządzaliśmy grządki, sadziliśmy kwiaty.

Do wykonania niektórych robót organizowaliśmy się po cztery. Taka czwórka miała za zadanie przynieść skądś kilka drzewek i posadzić. Ja należałem do czwórki, która wykopała spora lipę przed domem Jana Zalewskiego z Bytnia (Zalewskiego córka Helena była w tej czwórce) i posadziliśmy ją koło szkoły, od strony południowej. Teraz to duże drzewo.

Jaki incydent z tych prac z panem Asprasem zapamiętałem? Kiedyś w czasie robót postanowiliśmy z Kazikiem Suchaniem uciec z tych lekcji do domu. Wyskoczyliśmy przez płot na drogę, która prowadziła do Bytnia, lecz mimo że staraliśmy się to zrobić niepostrzeżenie, to zauważył nas pan Aspras i też przedostał się przez ten płot i puścił się w poгон za nami – uciekliśmy, ale mieliśmy pietra, co będzie jutro w szkole.

Postanowiliśmy przebłagać pana Asprasa, ale jak? Wiedzieliśmy, że potrzebował on bardzo pilnie różnych nasion, które zasiewaliśmy koło szkoły i uradziliśmy, że przyniesiemy obaj po 2kg łubinu do szkoły. Tak też zrobiliśmy i po przeprosinach wręczyliśmy panu Asprasowi ten łubin, a że był on bardzo potrzebny więc pan Aspras po odpowiedniej reprimendzie wspaniałomyślnie darował nam ten wybryk. Fajny był ten pan Bronisław Aspras.

Takie to myśli o naszych wychowawcach i nauczycielach przeleciały mi błyskawicznie w pamięci w chwili pożegnania ze szkołą i dziecinnymi latami.

Wszystkim nauczycielom i wychowawcom zawdzięczamy bardzo wiele i mile ich będziemy wspominać.

Wszyscy ukończyliśmy szkołę powszechną i nie bardzo wiemy co nas w życiu spotka. Byłem jakoś dziwnie wzruszony i spojrzałem na siedzącego obok mnie Albina – mego najlepszego przyjaciela. Nie będziemy już razem siedzieli w ławce szkolnej. Każdy z nas pójdzie w swoją stronę.

Chociaż później nie siedzieliśmy razem, to przyjaźniliśmy się nadal, bo takiego przyjaciela jak Albin trudno jest w życiu spotkać. Po tych chwilach zadumy i wzruszeń obaj z Albinem wstaliśmy i poszliśmy do domu, żeby pokazać rodzicom świadectwa ukończenia szkoły.

Tak to się skończyły me lata dziecinne – czy były one „sielskie anielskie”? Na to trudno jest odpowiedzieć.

Skończył się dla mnie okres dzieciństwa i nauki w szkole, a po upływie kilku dni od ukończenia szkoły trafiła mi się praca w hucie szkła Nadbużanka. Praca polegała na odnoszeniu wyprodukowanych jeszcze gorących (czerwonych) butelek odpowiednią siatką z warsztatu do hartowania w specjalnych blaszanych pojemnikach. Tam najpierw hartowały się w większym ogniu i były stopniowo wyciągane do mniejszych temperatur aż do wystygnięcia.

Kilka słów o tej hucie: ogromna hala o szerokości około 20-30m i długości około 100-150m, bardzo wysoka, kryta gontami. W ścianach bardzo wiele okiennic do otwierania dla przewiewu, bo w hucie było zawsze wiele kurzu i dymu, a poza tym w lecie było bardzo gorąco od wanny ze szkłem.

W hali zbudowana była wanna z materiałów ogniotrwałych, w środku której było roztopione półpłynne szkło. Wanna była w kształcie dużego walca o średnicy około 10m i wysokości około 3-4 m. W wannie były otwory do sypania do niej materiałów na szkło (piasek, soda, kreda, stłuczki szkła) oraz otwory do czerpania szkła do produkcji głównie butelek do wódki.

Wannę opasywał przylegający do niej pomost o szerokości około 5m na wysokości około 70cm od ziemi. Na tym pomoście były tzw. warsztaty (wtedy było ich dziewięć). Bardzo prowizoryczne urządzenia. Były to korytka z wodą 9szt po jednym na każdym warsztacie o długości ok. 1,5m, gdzie obrabiano szkło w żelaznych tzw. klocach; trzy formy, do których wydmuchiwano butelki; stołek, na którym siedział pracownik wyciskający zakończenia szyjek od butelek i stojaki, na których opierano piszczele ze szkłem, a później z wydmuchaną butelką. Tych tzw. warsztatów, na których pracowali hutnicy na trzy zmiany (w godzinach: 8-16, 16-24, 0-8), było dziewięć.

Praca trwała cały tydzień oprócz niedzieli, to jest od 00 w poniedziałek do 24 w sobotę. Na prawie każdym warsztacie pracowało sześciu hutników przy wyrobie butelek oraz dwóch chłopców do odnoszenia butelek i opylania form mąką na zmianę (ja byłem takim chłopcem do odnoszenia butelek). Taka była obsada warsztatu. Poza tym, przy hartowaniu, sortowaniu, pakowaniu, ładowaniu, transporcie oraz w administracji pracowało wielu ludzi.

Pozostałe urządzenia huty to: kotłownia, w której spalano węgiel koksowniczy, a powstały przy tym gaz służył do topienia, a następnie ogrzewania szkła w wannie, by szkło było utrzymywane w stanie pół płynnym; agregatownia z agregatami prądotwórczymi zapewniającymi oświetlenie hucie i osadzie fabrycznej oraz inne urządzenia gospodarcze administracyjne i pomocnicze. Właścicielem takiego, jak opisałem, warsztatu na czas produkcji na zmianie był współwłaściciel – udziałowiec huty lub ktoś z jego rodziny, on też dmuchał butelki i oprócz wynagrodzenia za prace miał udział w dochodzie ze sprzedaży butelek – dochód dość duży.

Takim kierownikiem i majstrem na warsztacie, przy którym pracowałem, był syn udziałowca pan Witold Kiziński. Był to bardzo porządny, uczciwy i solidny człowiek. Pracowałem u niego z przerwami na remont wanny dwa sezony. Przyjął mnie do pracy, chociaż chłopców w tym wieku nie wolno było zatrudniać, dopiero od 16 lat przy odnoszeniu butelek, a na warsztacie od lat 18-stu. Ja miałem dopiero 14 lat i w razie kontroli mogły być nieprzyjemności.

Sytuacja materialna u nas w domu znacznie się poprawiła, bo do tej gospodarki ja dorabiałem trochę pieniędzy. Ojciec kupił mi ubrania, no i było parę złotych na te nieszczęsne podatki i na rozwiązanie problemu „sól, nafta, zapałki” i nie tylko. Latem pracowałem nie tylko w hucie, ale trzeba było pracować również w gospodarstwie – trudna była, bardzo

trudna ta moja pierwsza nieco przedwczesna młodość i udawanie dorosłego, chociaż praca to nie było udawanie. Praca w hucie dawała znać o sobie. Byłem bardzo szczupły, często bolała mnie głowa i żołądek, ale wytrzymywałem, bo trzeba było jakoś w tej sytuacji żyć i pomagać rodzinie. Bywałem często u pani doktor. Leczyłem się, na kasę chorych płaciłem miesięczne składki. Pani doktor radziła mi, bym zaprzestał pracy w hucie, bo to się może dla mnie źle skończyć. W hucie powietrze było zapyłone i zadymione, a wentylacji mechanicznej nie było - tylko otwieranie okiennic, co niewiele pomagało.

Pracy nie zaprzestałem, bo nie było innego wyjścia. Taka to była wtedy sytuacja. Z biegiem czasu organizm zaczął się stopniowo przyzwyczajać do tych warunków i tej pracy.

Po rozpoczęciu pracy w hucie spotkał mnie w Bytyniu pan Antoni Hacıuk – komendant drużyny strzeleckiej i zaproponował mi żebym wstąpił do drużyny strzeleckiej w Bytyniu. Drużyna strzelecka była również w Nadbużance, a prezesem Strzelca (ogólnym) był dyrektor Huty Nadbużanka i nie do pomyslenia było, żeby chłopak młody pracujący w hucie nie należał do Strzelca - więc zapisałem się.

Nasza drużyna strzelecka liczyła mniej więcej 18 strzelców etatowo. Praktycznie różnie to bywało – raz stan był większy, a czasami mniejszy. Zbiórki były w zasadzie raz w tygodniu w niedzielę. Przychodziliśmy do pana Antoniego, bo tak nazywaliśmy kaprała rezerwy Antoniego Hacıuka – komendanta Strzelca w Bytyniu. Zbiórka była w domu naszego komendanta, bo świetlicy w Bytyniu nie było.

W oddzielnym dość dużym pokoju w mieszkaniu komendanta stał stojak, a w nim 18 karabinów typu Lebel (pozostałość z I wojny światowej) i jeden nowoczesny karabin typu „Mauser”.

Komendant prowadził zajęcia. Były to wykłady z regulaminów, nauka o broni strzeleckiej, ogólne wiadomości taktyczne o wojsku oraz ćwiczenia praktyczne takie jak musztra, nauka celowania, wyszkolenie strzeleckie.

Od czasu do czasu przyjeżdżał z Komendy Powiatowej plut. Oskroba, wtedy maszerowaliśmy przez Bytyń do Nadbużanki i razem z tamtejszą drużyną odbywały się ćwiczenia taktyczne. Założenia do ćwiczeń podawał plutonowy Oskroba i on też prowadził ćwiczenia przez cały dzień (do południa). Później omówienie ćwiczeń i powrót ze śpiewem do Bytnia - najczęściej śpiewaliśmy:

Maszerują strzelcy maszerują  
Karabiny zdobią szary strój  
A żołnierzom drzewa salutują  
Bo za naszą Polskę idą w bój

Miarowo bagnetów kołysze się stal  
Dziewczęta zerkają z za płota  
Lecz oczy ich dumne utkwione są w dal  
Piechota ta szara piechota

Wyglądaliśmy nieźle, każdy otrzymał (przy zapisie do strzelca) mundur strzelecki, czapkę i pas, tak że prezentowaliśmy się jak prawdziwe wojsko.

W ramach wyszkolenia strzeleckiego często odbywały się strzelania z wiatrówki i KBKZ (karabin boczny zapłonu Flower), które również jak i amunicję do nich, pan Antoni, nasz komendant, przechowywał u siebie.

Jeden raz w czasie 3 letniego uczestnictwa w zajęciach w „strzelcu” odbyło się ostre

strzelanie. Z Powiatowej Komendy z Włodawy razem z plutonowym Oskrobą przyjechał również kpt. Osmólski. Przywieźli dwa nowoczesne karabinki, amunicję i odbyło się ostre strzelanie w tzw. cegielni (duży wykop o długości ponad 100m). Wzięły w nim udział obie drużyny - z Bytnia i Nadbużanki. Każdy strzelający oddawał trzy strzały próbne i dziesięć na ocenę. Strzelałem wraz z Julkiem Polakiem, a strzelaliśmy bardzo dobrze - same dziesiątki i dziesiątki. Kpt. Osmólski był zachwycony i mówił: „Z takimi strzelcami prowadzenie strzelania to wielka przyjemność.”

Po krótkim szkoleniu na miejscu, pan Antoni – komendant, zaproponował kilku strzelcom, w tym i mnie, abyśmy pojechali na 2-tygodniowy obóz do miejscowości Durycze niedaleko Brześcia nad Bugiem. Obóz szkoleniowy organizowało dowództwo 34 pułku piechoty z Białej Podlaskiej.

Na obóz pojechaliśmy latem 1935r., o ile dobrze pamiętam w połowie sierpnia. Mały przystanek Durycze w lesie. Niedaleko przystanku również w lesie duże boisko sportowe, a z czterech stron boiska ustawiono chyba 12 namiotów 24 osobowych, żołnierskie kuchnie, magazyny itp. Na obóz przyjechało z powiatu Włodawa, i nie tylko, około 400 strzelców i uczniów przysposobienia wojskowego PW ze szkół średnich. Zostaliśmy podzieleni na cztery kompanie, a te na plutony i drużyny.

Kadra oficerska i podoficerowie zostali przydzieleni z 34 pułku piechoty. Dowódcą batalionu czyli całości był mjr Kojder, d-cą naszej kompanii kpt. Pogodziński, d-cą mego plutonu plut. zaw. Pawlina.

Zaraz po przybyciu wyfasowaliśmy umundurowanie, pościel i wyposażenie wojskowe tj. broń, plecaki, maski p.gaz., chlebaki itp. Cały dzień zajmowaliśmy się dopasowywaniem umundurowania ustawianiem stojaków na broń i przygotowywaniem posłań w namiotach do spania.

Rano trąbka - pobudka wstać, a więc wstawanie, szybkie ubieranie się, toaleta pod kranem lub w płynącym niedaleko Bugu, zbiórka na śniadanie. Po śniadaniu krótkie przygotowanie do zajęć, a więc broń i pełny rynsztunek i biegiem na ogólną zbiórkę. Kompanie ustawione w czworokąt. W każdej kompanii krótki przegląd, po czym komenda „baczość! prezentuj broń! na prawo patrz! chorągiew na maszt.” Sygnalista gra sygnał Wojska Polskiego. Chorągiew wolno unosi się i zwisa na maszcie. Dowódca batalionu podaje kompaniom komendy: „Baczość!”, „Na ramię broń!”, „Do nogi broń”, „Spocznij!”, „Do ćwiczeń odmaszerować!”

Tak rozpoczął się każdy dzień na obozie. Do obiadu ćwiczenia taktyczne w terenie. Około godz. 14 obiad, a po obiedzie sport, musztra, szkolenie ogniowe. Wyżywienie było marne: na śniadanie chleb i kawa bez żadnych dodatków (chleb był wydawany każdemu przy śniadaniu na cały dzień), na obiad zupa, a na drugie kartofle z porcją wołowego mięsa tak twardego, że można by zrobić procę i ofiarować biblijnemu Dawidowi, żeby zabił jeszcze raz Goliata (lub najlepiej dostawcę tego mięsa). Na kolację była kasza lub pozostała z obiadu zupa.

Ale wracamy do ćwiczeń taktycznych, na które pomaszrowaliśmy po porannej zbiórce.

Ćwiczenia taktyczne odbywały się w rejonie słynnej tam Białogóry. Teren jak okiem sięgnąć to równina trochę piaszczysta, ale podmokła i porośnięta z rzadka krzakami łożyny czy olszyny. Na tej równinie dawano w kość do ostatniego tchu.

Każdy był sponiewierany czołganiem się i tzw. skokami, ubłocony, ledwie żywy. Nasz dowódca plutonu plut. Pawlina szalał i wyżywał się na nas. Krzychał: „Gówniarze wyście jeszcze wojskowego chleba nie jedli, ja wam pokażę jak wygląda i smakuje chleb wojsko-

wy.”- i pokrzykiwał –ej! Ciężko strawny to był chleb! Poza tym wtedy były dość upalne dni, a na tym poleskim pustkowiu ani zabudowań ani studni gdzie można by w ten upał ugasić pragnienie, więc cierpieliśmy aż do powrotu na obóz. Na obozie w tym czasie wszystkie krany były zakręcone – nie wolno było pić wody, dopiero kawę po obiedzie. Woda tam była podskórna i bez przegotowania właściwie nie nadająca się do picia, ale czasem piliśmy – czego to nie robi człowiek spragniony.

Po obiedzie jak, już wspomniałem, sport, a więc biegi, gry w siatkówkę lub kosza, trochę musztry, trochę nauki celowania - słowem luz. Problemem za to było doprowadzenie umundurowania do stanu czystości. Nikogo nie obchodziło jak to zrobisz, umundurowanie ma być czyste i koniec – i było.

Na te niedogodności nikt nie śmiał się skarżyć lub narzekać, wszystko znoszono po męsku – dziarsko i z humorem. Jak mawiał nasz szef kompanii: „Komu tu w wojsku jest za ciężko i źle, niech wraca do domu pod opiekę babci.” Nikt nie myślał wracać.

Po upływie tygodnia w niedzielę kompania pomaszerowała do Kodnia do klasztoru, gdzie znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej Kodeńskiej.

W następnym tygodniu ten sam porządek wojskowy co w pierwszym, z tym że pod koniec tygodnia były egzaminy z teorii wojskowej i praktyki, gdyż zbliżał się koniec obozu strzeleckiego. Nasz pluton egzaminował porucznik z 4-tej kompanii. Do egzaminu wzywał po dwóch i stawiał te same zadania, a oceniał, który wypadł lepiej. Ponieważ ów oficer pochodził z Białej Podlaskiej, zawsze lepiej wypadł strzelec pochodzący z tego miasta. Taka to była bezstronność przy egzaminach. Ja też zdawałem z kolegą z Białej Podlaskiej i chociaż wykonałem wszystko lepiej od niego otrzymałem 4+ a on 5. Nic nie mówiłem, bo nie chciałem drażnić „byka”.

Nadszedł po 2 tygodniach ostatni dzień na obozie, otrzymaliśmy świadectwa ukończenia kursu szkoły starszych, coś w rodzaju legitymacji lecz bez zdjęcia. Ukończenie tego kursu powodowało, że w razie poboru do wojska powoływano kończącego ten kurs o 2 tygodnie później. Wieczorem, tak jak codziennie, był capstrzyk. Śpiewaliśmy modlitwę wieczorną – brzmiała tak:

O Panie Boże Ojciec nasz w opiece swej nas miej  
Strzeleckich modłów z naszych serc wysłuchać zawsze chciej  
Wszak Ciebie i ojczyznę miłując chcemy żyć  
Strzeleckim prawom każdego dnia wiernymi zawsze być

Piękna ta melodia, śpiewana przez blisko 400-stu chłopców, zabrzmiała na pożegnanie. Padła komenda: „Baczność! Na ramię broń! Prezentuj broń! chorągiew opuścić.” Sygnał Wojska Polskiego, chorągiew zwolna opada do końca masztu. Obóz w Duryczach zakończony. Wracamy do domu.

U nas w domu wszystko bez zmian – jak to w gospodarstwie zawsze pełno pracy, a pożytku mało. U Nowosadów Józia urodziła ładnego chłopca, nasza mama została babcią i bardzo się cieszyła.

Po ukończeniu kursu w Duryczach nadal uczęszczałem na zbiórki u pana Antoniego, gdyż nadal należałem do Strzelca. Zapisalem się również na tzw. kursy wieczorowe, które organizowała i prowadziła kierowniczką szkoły p. Halina Dargiewiczówna. Na tych kursach były wykłady i dyskusje o Polsce współczesnej, literaturze i sprawach bieżących kraju. Wtedy szczególnie gorąco dyskutowano i czytano książki Żeromskiego, a zwłaszcza „Przedwiośnie”, za które polska prawica swego czasu bardzo krytykowała pisarza. Pisarz

chciał ostrzec polskie elity przed tym, co stało się w Rosji, chciał pokazać do czego prowadzi skrajna niesprawiedliwość społeczna.

Tę niesprawiedliwość wykrzyczał w „Przedwiośniu” ustami Cezarego Baryki, gdy w rozmowie z Gajowcem (ministrem), pytał: „Czemu tu tyle nędzy? Czemu każdy zaułek muru utkany jest żebrakami? Czemu dzieci grzebią paluszkami w bruku, by wygrzebać kruszynki węgla, żeby się w tą straszną zimę ogrzać? Czemu nie dajecie ziemi ludziom bez ziemi?”.

Pisał o Żeromskim Antoni Słonimski, że targał on sumieniami. Twarde te magnackie sumienia były, skoro swego czasu dopiero car rosyjski skasował pańszczyznę – szlachta polska na to się nie zdobyła. Takie to i inne tematy oraz problemy dyskutowano na kursach wieczorowych. Były one bardzo pożyteczne.

Słów kilka o antysemityzmie w Polsce przedwojennej. Swego czasu zaprenumerowałem gazetę „Wielkopolanin”, wychodziła 3 razy w tygodniu, była tania, więc mi pod tym względem pasowała. Poza tym były tam drukowane odcinki powieści Tadeusza Dołęgi – Mostowicza jak „Znachor”, „Profesor Wilczur” i inne.

Gazeta miała zabarwienie antysemickie, aż roilo się od artykułów zawierających bzdury o dążeniu Żydów do panowania nad światem, oraz o tym, że Żydzi, w jakieś tam uroczystości, zabijają chrześcijańskie, polskie dziecko, by jego krwi użyć do sporządzenia macy (maca to coś w rodzaju smażonego placka). Pod koniec roku redakcja przysłała kalendarz (książkę), która prawie cała zawierała artykuły, wiersze, pieśni antyżydowskie.

Dlaczego taka niechęć do Żydów? Myślę, że dlatego, iż Żydzi za bardzo wyobcowali się z polskiego społeczeństwa. Nie zawierali małżeństw z innymi wyznaniem, ubierali się inaczej, rozmawiali ze sobą jakimś niemieckim żargonem, nazywali Polaków między sobą pogardliwie „goje.”

Nikt im tego nie powinien zabraniać i nie zabraniał, ale zawsze to wyobcowanie się Żydów budziło u wielu ludzi niechęć. Poza tym Żydzi zachowywali się trochę jak naród wybrany. Bardzo rzadko który Żyd służył w wojsku. Nie pracowali w zasadzie fizycznie, a głównie zajmowali się handlem. Nie pracowali na roli, w kopalniach, w hutach przy ciężkiej pracy, co najwyżej uprawiali rzemiosło (szewcy, krawcy itp.). Myślę, że to było również przyczyną niechęci do Żydów - takie są moje odczucia. Niechęć ta przejawiała się głównie w województwach zachodnich, tam też było dużo mniej Żydów aniżeli w Polsce środkowej i części wschodniej.

Tymczasem w hucie szkła Nadbużanka po przebudowie wanny rozpoczęto produkcję butelek, a było to gdzieś pod koniec września 1935.

Udałem się więc razem z kolegą, który był znany pod przyzwiskiem „Pinio”, do huty. Podeszliśmy pod warsztat, gdzie pracowałem ubiegły sezon tj. do p. Kizińskiego. Od razu zostaliśmy zatrudnieni jako odnoszące butelek i pracowaliśmy tam cały sezon. „Pinio” to syn sąsiada, mieszkał po sąsiedzku, więc chodziliśmy razem do huty – było nam we dwóch różnie.

Listopad 1935, zbliżał się dzień 11-sty tego miesiąca – Święto Niepodległości Polski. Komendanci Strzelca z Bytnia i Nadbużanki przygotowywali przyjęcie i zabawę na ten dzień. Zaprosiliśmy prezesa Strzelca – pana Brzozowskiego z Nadbużanki i innych oficjeli. Przyjęcie odbyło się w mieszkaniu Łukasza Hołowacza. Zasiadliśmy (strzelcy) i zaproszeni goście do stołów. Prezes drżącym z przejęcia głosem wznosił toast: „Niech nam żyje nasza najjaśniejsza Rzeczypospolita!” - a po spełnieniu tego następnym: „Niech żyje pan Prezydent

Rzeczypospolitej!” Przyjęcie trwało około 2 godzin, po czym oficjele z prezesem opuścili salę i zaczęła się zabawa. Zaproszone na tę zabawę były również „babki” z KSMŻ (Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej). Zabawa trwała do rana. Bawiłem się również i ja – po raz pierwszy na zabawie publicznej.

Pracuję nadal w hucie i nic godnego uwagi się nie dzieje, tylko zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Obchodziliśmy je w tym roku podobnie jak w latach poprzednich.

Święta Bożego Narodzenia mają swój wielki urok. Wtedy w 1935r. w święta był mróz i śnieg i cudownie było wtedy wieczorem. Niebo wyiskrzone milionami gwiazd, a na ziemi śnieg migoce tysiącami iskier w blasku księżyca. Cudowna noc. Takie noce rzadko teraz bywają.

U nas mama przygotowała na święta trochę ciast, dużo różnych pierogów, racuchy. Ojciec kupował wędliny i inne zaopatrzenie. Choinkę przygotowywaliśmy wszyscy. Do ubioru służyły różne zeszłoroczne „wisioły” (trochę kupowaliśmy nowych), trochę świeczek, cukierków, jabłek i choinka była gotowa. Kupowaliśmy, bo było trochę pieniędzy z mojej pracy w hucie. Wieczorem ojciec brał kawałki chleba, wkładał w nie kawałki opłatka, niósł do obory i dawał krowom. Nie wiem do dzisiaj skąd wziął się ten zwyczaj. Następnie przygotowywał mały snopeczek żyta i naręcze siana. Przynosił je do domu i mówił: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” - po czym stawiał ów snopek żyta obok stołu i choinki, wkładał w ten snopek opłatek, część siana kładł na stół pod obrus, a resztę pod stołem. My dzieci natychmiast kładliśmy się i barszkowali na tym sianie pod stołem aż do chwili, gdy wszyscy zgromadzili się przy stole i dzielili się opłatkiem składając życzenia, by Bóg pozwolił w zdrowiu doczekać następnych świąt. Po podzieleniu się opłatkiem wkładano go z powrotem w stojący snopeczek żyta i tam tkwił przez całe święta. Ojciec nasz intonował kolędę „Anioł pasterzom mówił”.

Około północy szło się na pasterkę do odległego ok. 3 km kościoła w Uhrusku. Wielu gospodarzy wybierało się na pasterkę saniami zaprzęzonymi w konie. Był zwyczaj, że wyprzedzali jedni drugich (ścigali się) – taki rodzaj zabawy w noc wigilijną był możliwy, gdy było dużo śniegu, a w tamtych latach co roku było go dosyć.

Święta, święta, i po świętach, mówi ludowe porzekadło. Nadszedł rok 1936 – czy będzie pomyślny, dobry ?

Pracowałem nadal w hucie. Dzień jak co dzień, ale zaczęło się u nas dziać źle. Mama nasza poczuła się gorzej. Zawsze bolała ją głowa i nie wiadomo było co jest tego przyczyną, lekarze też nie wiedzieli – chyba jakaś choroba wrodzona. Bóle głowy mogą mieć setki przyczyn. Teraz jednak bóle były bardzo silne, no i doszło osłabienie. Było coraz gorzej. Przyjechał lekarz, ale co może orzec lekarz mając do dyspozycji tylko słuchawki. Stwierdził, że jest to przewlekłe zapalenie płuc. Mamą opiekowaliśmy się wszyscy, a zwłaszcza syn Antoś i zięć mamy - Franek Nowosad. Tak to się ciągnęło do marca.

Pamiętny dzień 6 marca. Miałem zmianę w hucie od 12.00 w nocy do 8.00. Poszedłem na tę zmianę, ale w hucie zarządzono przerwę w pracy gdyż szkło było nieodpowiednio dogrzane. Wróciłem do domu około 1-szej, wszedłem i przeraziłem się. Mama nasza umierała. Leżała na wznak na łóżku, miała głowę i wzrok zwrócone do ściany, była nieprzytomna, oddychała szybko, a potem coraz wolniej i wolniej, później przerwa, oddech i koniec oddechów – mama umarła. Zacząłem głośno płakać, ale mnie szybko uspokoiono, bo nie wolno, jak mówili w chwili umierania, rozpaczać. Przy śmierci przy łóżku mamy był Franek – zięć mamy, syn Antoś, Stasiek spał - jak to mały chłopiec. Ojciec chodził bezrad-



ny. Gdy mama była ciężko chora pisaliśmy o tym do Marysi, która była w zakonie z prośbą, żeby przyjechała, ale siostra przełożona przejęła ten list i nie pokazała Marysi. Dopiero po śmierci mamy nadaliśmy telegram i Marysi pozwolono pojechać na pogrzeb. Nie będę tu komentował postępowania siostry przełożonej, bo po prostu brak mi słów.

Pogrzeb odbył się na cmentarzu w Uhrusku, był podobny do wielu innych pogrzebów na wsi. Trumnę z ciałem przewieziono z domu do kościoła, w czasie przewozu przez wieś towarzyszyła konduktowi gromada mieszkańców Bytnia. Po mszy żałobnej odbył się pogrzeb na cmentarzu. Po ceremonii i przemówieniu księdza trumnę opuszczono do grobu i zasypano. Grób pokryły zielone wianki z jodły.

Żegnaj najukochańsza mammo na wieki.

Po kilku dniach Marysia odjechała do swego zakonu. Zrobiło się bardzo smutno. Nie tak dawno była nas pełna chata, a teraz zrobiło się jakoś bardzo pusto. Brak mamy – gospodyni odczuliśmy wszyscy bardzo boleśnie – duchowo, i fizycznie. Ojciec musiał przejąć rolę gospodyni tj. gotowanie, pranie itp. Poza tym praca na roli, trochę tego było chyba za wiele.

Zbliżały się święta wielkanocne. Trzeba jednak mimo tak wielkiego ciosu jakoś żyć. Więc przygotowywaliśmy święta, pomogła nam w tym Józia – nasza siostra. Upiekła ciasto drożdżowe i posprzątała. Ojciec zrobił trochę zakupów i byliśmy przygotowani do świąt.

W Wielką Sobotę zaniósłem wiktuały na talerzu do święcenia do figury, przy której co roku ksiądz święcił. Co było na talerzu? – a więc kawałek chleba, jajka, sól, no i kiełbasa wiankiem opasująca wszystko. Ksiądz przyjechał jak zwykle i poświęcił to co z całej wsi przynieśli mieszkańcy.

W pierwszy dzień świąt poszedłem na rezurekcje o godzinie 6-stej rano. Po mszy św. wróciłem do domu, wchodząc powiedziałem (jak był zwyczaj) trzy razy: „Chrystus zmarł”, a ojciec i pozostali domownicy odpowiedzieli również trzykrotnie: „prawdźwie, że powstał”. Po czym, po pewnych przygotowaniach usiedliśmy do stołu, a następnie wstaliśmy i dzieliliśmy się jajkiem święconym jak nakazuje tradycja. Smutne to jednak były święta bez naszej mamy.

Pod koniec kwietnia spotkał mnie w Bytniu pan Antoni, nasz komendant Strzelca, i zaproponował mi bym pojechał wraz z kilkoma strzelcami do Włodawy jako delegacja na obchody 3 Maja – święta narodowego. „Przecież należysz nadal do naszej drużyny strzeleckiej!” – powiedział. Zgodziłem się chętnie, bo lubiłem kiedyś takie imprezy – obchody.

Pojechaliśmy do Włodawy 3-go maja 1936r. rano. Koszty przejazdu pokryła komenda powiatowa Strzelca we Włodawie. Zatrzymaliśmy się w świetlicy Strzelca we Włodawie. O godzinie 11-stej - zbiórka na placu, gdzie ustawiły się pododdziały artylerii, kompania honorowa z pułku artylerii ze sztandarem i orkiestrą, kompanie rezerwistów, strzelcy z bronią, harcerze, uczniowie ze szkół oraz miejscowa ludność. Dowódca całości – pułkownik (dowódca pułku artylerii we Włodawie) podał komendy: „Bacność! Na ramię broń! Prezentuj broń! Chorągiew na maszt!” Sygnał Wojska Polskiego. Chorągiew wolno wędruje wysoko na maszt. Uroczystość rozpoczęta. Przemówienia, kwiaty, wieńce (jak to zwykle bywa na takich uroczystościach) i komenda do defilady.

Po defiladzie udaliśmy się na żołnierski obiad, który był wydawany do menażek z polowej żołnierskiej kuchni. Smakował nam ten obiad bardzo, bo byliśmy głodni i to bardzo

głodni. Po obiedzie kilku moich kolegów z Bytynia, no i ja, udaliśmy się do restauracji, której właścicielem był znany tam pan Kurobejko. U tego Kurobejki wypiliśmy trochę wódki i coś przekąśliśmy. Przyznam się szczerze, że w restauracji byłem i trochę wódkę piłem, po raz pierwszy.

Zaszumiało trochę w głowie, ale byliśmy spokojni, a tylko trochę i w sam raz weseli, bo wypiliśmy niewiele.

Wieczorem wróciliśmy zadowoleni do domu. Tak to kiedyś w małym miasteczku Włodawie obchodzili święto 3-go Maja chłopcy - strzelcy ze wsi zagubionej gdzieś nad Bugiem, ze wsi Bytyń.

W tym roku obchodziliśmy uroczyste nie tylko święto 3-go Maja, ale również i święto morza w lipcu. Nasz komendant pan Antoni Hacıuk dogadał się z komendantem Strzelca z Nadbużanki panem Bałabuchem i wspólnie zorganizowaliśmy skromne obchody święta morza, tj. takie, na jakie było nas stać.

Na Błoniach nad Bugiem, nazywanych przez tutejszych gospodarzy „Za jeziorem” (choć tu żadnego jeziora nie było) ułożono duży kawał podłogi – taki pomost z desek, jako miejsce do tańca dla mającej się odbyć tu zabawy, ustawiono szereg stołów i ławek, zorganizowano bufet.

Pod wieczór zgromadziło się tu nad Bugiem bardzo wielu mieszkańców Bytynia, Nadbużanki i Woli Uhruskiej, były przemówienia, wiwaty, zabawa, a wieczorem zaimprovizowana defilada łodzi – promów, które przygotowały drużyny strzeleckie z Nadbużanki i Bytynia.

Były to takie sobie skromne środki pływające, dwie duże łodzie złączone pomostem – pokładem. Na pokładzie promu z Nadbużanki był maszt z wieloma odciągami przewodów, do których umocowano żarówki zasilane z baterii czy akumulatorów. Pięknie to wyglądało wieczorem, gdy w czasie defilady płynęły te promy Bugiem, a na brzegu stało mnóstwo ludzi bijących brawa.

Prom z Bytynia nie miał tego pięknego oświetlenia i dekoracji, jak prom z Nadbużanki, ale za to pięknie i głośno chłopaki – strzelcy śpiewali marynarską pieśń:

Choć każdy z nas jest młody  
Lecz go starym wilkiem zwa  
My strażnicy wielkiej wody,  
Marynarze polscy to  
    Morze, nasze morze,  
    Wiernie ciebie będziem strzec  
    Mamy rozkaz cię utrzymać  
    Albo na dnie, na dnie twoim lec  
    Albo na dnie z honorem lec  
Żadna siła, żadna burza  
Nie odbierze Gdyni nam  
Własna flota choć nieduża  
Wiernie strzeże portu bram  
    Morze, nasze morze...

Tak to obchodziliśmy święta narodowe my strzelcy. Nie było wtedy narkotyków, kijów ba-seballowych, noży itp. na naszych uroczystościach i zabawach, ale był – może to zabrzmiało patetycznie – patriotyzm. Zabawa trwała do rana. Ja tam też byłem, płynąłem w drużynie tą łodzią – promem i śpiewałem ile sił.

Na tym Błoniu świętowaliśmy nie tylko my, ale czasami również Wojsko Polskie. Od czasu do czasu przyjeżdżali w te okolice ułani, a był to pułk ułanów z Kraśnika i pułk strzelców konnych z Hrubieszowa.

Przyjeżdżali wczesną jesienią, gdy z pól zebrano zboża i urządzali tzw. manewry i jak pamiętam kwaterowali w Bytyniu i innych pobliskich wsiach.

Konie w nocy i gdy był deszcz stały w stodołach na klepisku, a ułani kwaterowali w tych stodołach w zapolach na sianie lub słomie. W dzień były ćwiczenia oraz czyszczenie broni, oporządzenia siodeł i koni.

Wczesnie rano, o godzinie 6 pobudkę grał trębacz, którego słyszeć było w całej wsi, a po śniadaniu wymarsz na ćwiczenia. Pięknie to wyglądało, gdy szwadron ułanów trójkami jechał przez wieś. Konie piękne, krwi arabskiej, szable, lance, proporczyki, a za szwadronem pędziła gromada dzieci.

Ułanów podziwiali nie tylko dzieci, ale i starsi patrzyli z przyjemnością i życzliwością na tych naszych polskich ułanów.

Ułani jechali dumnie na swych koniach i śpiewali:

Ułani, ułani malowane dzieci  
Niejedna panienka za wami poleci  
    Niejedna panienka i niejedna wdowa  
    Za wami ułani polecieć gotowa  
Hej, hej ułani, malowane dzieci  
Niejedna panienka za wami poleci!

Pamiętam jak w 1935 czy 36 roku, po zakończeniu manewrów, były na tych błoniach nad Bugiem zawody jeździeckie tj. pokonywanie różnego rodzaju przeszkód. Rywalizowały oba pułki o tzw. buńczuk. Po zdobyciu buńczuka w wyniku nie tylko tych jeździeckich zawodów, ale również ćwiczeń, wręczano uroczyście ten buńczuk z końskich ogonów zwycięskiemu pułkowi.

Było przemówienie, a przemawiał dowódca Brygady, pułkownik (nazwiska nie pamiętam), ale pamiętam jeden fragment z jego przemówienia. W przemówieniu tym przytoczył przykład, jak w czasie forsowania rzeki Bug podczas ćwiczeń ułan Maj i strzelec Jaciuk nie dali się wziąć do niewoli (pozorowanej), tonęli i nie chcieli kół ratunkowych od nieprzyjaciela, by nie dostać się do niewoli (pozorowanej)

„Nie zginęła i nie zginie nasza Ojczyzna” – wołał pułkownik – „bo mamy ułanów Majów, mamy strzelców Jaciuków.”

Na zakończenie manewrów była defilada na polach właściciela ziemskiego Niemiryicza. Defiladę odbierał pułkownik d-ca Brygady. Najpierw defilowały szwadrony ułanów stępą, później po nawrocie klusem, a następnie galopem, jeden szwadron również przejechał cwałem. Zgromadzeni licznie mieszkańcy krzyczeli: „Niech żyją ułani!” Bili brawa. Defilada oznaczała zakończenie manewrów. Nasi ułani wrócili do swoich garnizonów. Wracam i ja we wspomnieniach do domu, a w domu znowu niespodzianki.

Zdawało się nam, że wszystko będzie już dobrze po tych ciężkich przeżyciach z mamą, gdy zupełnie niespodziewanie zachorował i to ciężko nasz mały 8-mio letni wtedy Stasio. Nie wiadomo co mu było, bo i lekarz, który przyszedł nie bardzo wiedział, a podejrzewał różnie - a to zapalenie płuc, a to grypa. Tymczasem chłopak tak zapuchł, że oczu nie było mu widać, a i on nie mógł nic widzieć, przy tym miał wysoka temperaturę. Któregoś

dnia było już bardzo źle, stan krytyczny, myśleliśmy, że Stasio umiera, ale to widocznie było przesilenie choroby, bo po kilku dniach zaczął pomału wracać do zdrowia. Był bardzo wycieńczony i mizerny, niedługo popadł w nową chorobę tj. zapalenie stawów. Kosztowało to nas bardzo dużo kłopotów, bo lekarz zapisał jakąś maść i zalecił robić okłady z zaparzonego siana lub świeżo skoszonej sparzonej trawy. Gorące okłady trzeba było zmieniać co 2 godziny. Można sobie wyobrazić ile kosztowało to trudu by przez przeszło tydzień zmieniać te okłady co 2 godziny przy czym chłopak bardzo cierpiał i jęczał, gdyż te stawy były bardzo bolesne przy dotyku. Po kilku tygodniach wyzdrowiał.

Na tym jednak nie koniec, bo nieszczęścia lubią chodzić nie tylko parami, ale trójkami, a nawet czasem czwórkami. Otrzymaliśmy list od Feli Czupryńskiej, która była w tym samym zakonie co nasza Marysia i w tej samej ochronce k/ Włodawy. Fela pisała, że Marysia jest ciężko chora i leży w szpitalu we Włodawie. Początkowo leczono ją na zapalenie płuc - bez rezultatu. Wysłano więc krew do badania do Lublina. Z Lublina przyszedł telegram, że Marysia jest chora na tyfus. Natychmiast „porwano” ją i przewieziono z oddziału wewnętrznego na zakaźny. Chorowała przeszło miesiąc. Po wyzdrowieniu wróciła do ochronki do zakonu.

Ja i mój kumpel Pinio pracowaliśmy nadal u tego samego majstra tj. u pana Kizińskiego aż do tzw. wygasu (przerwa na renowację wanny zazwyczaj 2 miesiące). Po wznowieniu produkcji w hucie, pracowałem u innego udziałowca – majstra pana Józefa Chabrowskiego. Pan Chabrowski, majster nasz, bardzo porządny człowiek, zawsze był w humorze - coś powiedział (a miał swoje powiedzonka) i było zawsze wesoło. Jego syn – Janek Chabrowski – starszy ode mnie o kilka lat, wysoki, dobrze zbudowany, wysportowany, bo ćwiczył jazdę na rowerze - pracował również na warsztacie z całym kompletem. Janek był bardzo koleżeński – nie wynosił się, mimo że powodziło mu się bardzo dobrze. Ćwiczył stale kolarstwo i czasem brał udział w zawodach we Włodawie z różnymi rezultatami. Podziwiałem go, bo był jako hutnik fachowcem pierwszej klasy. U pana Chabrowskiego pracowałem jako odnaszac, a później bańkarz aż do jesieni 1938r.

Tymczasem w hucie zaszły pewne zmiany – powstał związek zawodowy, były strajki, żądania zawarcia umowy zbiorowej o prace i podwyżki płac. Do tej pory zatrudniano pracowników w dowolny sposób i nie było ustalonej siatki płac. Płacono tak jak się majster umówił z danym pracownikiem – bywało różnie. Po strajkach i odgórnym rozporządzeniach te sprawy uporządkowano. Nastąpiła znaczna podwyżka płac np. ja jako bańkarz dotychczas zarabiałem za 8-godzinny dzień pracy 1,80 zł, a po podwyżce 3,15 zł. Krótko mówiąc poprawiło się – było lepiej.

Było więc po tej podwyżce znacznie lepiej, pamiętam, że wypłaty za przepracowane tzw. zmiany (8 godzinne dni pracy) były dokonywane co 2 tygodnie w budyneczku administracyjnym, który nazywał się kantor. Napisałem budyneczek, bo był rzeczywiście mały i mała też liczebnie była administracja huty. Było dwóch dyrektorów, tj. dyrektor główny i dyrektor placowy, kasjer, buchalter (księgowy), i maszynistka. Po 1945 roku dla tejże huty wybudowano piętrowy budynek, a administracja była bardzo liczna. Teraz, w 1936r, wystarczył ten mały kantor i mała, ale bardzo sprawna i kompetentna administracja.

Pamiętam jedną z wypłat. Przed godziną 8-mą rano zgromadziła się przy drzwiach kantoru znaczna liczba robotników oczekujących na przyjście kasjera i rozpoczęcie wypłaty, napierali na drzwi, tłoczyli się i przepychali chcąc być pierwszymi. Kolejki nie było więc się pchali “na hurra”

Porządek starał się zaprowadzić stróż, który zawsze stał w bramie i pilnował by ktoś niepowołany nie wszedł na teren huty i nie dokonał kradzieży.

Stróżem tym był pan Pastłowski, który teraz przy wypłacie starał się zaprowadzić porządek w przepychającej się gromadzie i krzyczał odpychając napierających od drzwi: „Nie napierać, nie tłoczyć się! Płacić nie będziemy, pan dyrektor przyjechał, ale pieniędzy nie przywiózł!”

Fajnie wyglądał z tym udawaniem ważnej osoby, a wyglądem przypominał Maciejunia z powieści Żeromskiego „Przedwiośnie”, mały, rumiany jak jabłuszko i bardzo sympatyczny.

Jednak kasjer pan Wacław Sawicki po chwili otworzył drzwi kantoru i rozpoczął wypłatę. Wszystko szło sprawnie i jak pamiętam nie było takiej sytuacji, żeby w hucie z jakichkolwiek powodów nie wypłacono na czas robotnikom należnych im pieniędzy. Niezawodny buchalter pan Kowalski wszystko do wypłaty przygotował – był to buchalter wprost niezastąpiony.

W tym czasie za bramą czekało już na wychodzących z pieniędzmi robotników kilku Żydów wierzycieli, którzy dawali towary na kredyt, a teraz chcieli szybko otrzymać swoje należności.

Niektórzy robotnicy zdążyli już puścić w obieg otrzymane przed chwilą pieniądze, byli po kilku szklaneczkach wódki, przyszli pod bramę i zaczęli tarmosić czekających Żydów. Jeden z nich chwycił Żyda za krawat i trzymał mocno, a Żyd się wyrywał, wygięty w łuk, czerwony jak burak, bo go dusił ten krawat i krzyczał: „Aj! Waj! Puszczaj chamie!”

Zrobiło się zbiegowisko, ktoś krzyknął policja i napastnicy szybko znikli, a gapie się rozeszli.

Ja swoje otrzymane pieniądze przyniosłem do domu i oddałem jak zwykle ojcu.

Rok 1937 i znowu pytanie jaki będzie, ano zobaczymy. Na razie w domu nic takiego ważnego się nie działo. Ja pracowałem w hucie, Stasio chodził do szkoły, a ojciec miał dużo obowiązków i poza tym był markotny. Wspominał jak kiedyś zimą schodziły się sąsiadki z kołowrotkami i kądzielami i przędły nici, które były potrzebne do wyrobu płótna na koszule prześcieradła itp. Ojciec im wtedy głośno czytał książki (a czytał bardzo dobrze). Ja wypożyczałem książki z biblioteki szkolnej, a ojciec czytał. Pamiętam te powieści Vernego: „Dzieci kapitana Granta”, „Tajemnicza wyspa”, „20000 mil podmorskiej żeglugi” oraz trylogię Sienkiewicza. Teraz bardzo rzadko kto przychodził do nas. Przędki już nie przędły, bo gdzieś około 1930 r. Żyd z Woli Uhruskiej, który miał sklep z artykułami łociovymi, robił wymianę – za przedziwo dawał kobietom białe płótno pościelowe zwane surówką. Płótno to nie było całkiem białe – było trochę żółtawe, ale po 2-3 praniach stawało się białe. Nie opłacało się więc prząść nici i robić z nich płótna.

Ojciec coraz bardziej narzekał na nadmiar obowiązków. Zacząłem więc „bombardować” siostrę Marysię listami z prośbą, by porzuciła zakon i wracała do domu. Na początku „bombardowanie” nie przynosiło żadnego skutku, ale po kilku miesiącach siostra zmiękła, no i powróciła do domu. Pamiętam, było to chyba na początku maja 1937r. Byłem na podwórzu, patrzę, a tu od strony łąki idzie nasza Marysia z tobołkiem na piechotę. Po tyłu trudach i pracy w tym zakonie nie dano jej parę złotych na podróż. Szła więc około 30 km do domu na piechotę. Piękny to zaiste był zakon, tylko czy warto było do niego wstępować.

Zostawmy jednak żale na boku. Cieszymy się, że Marysia wróciła do domu. U mojego starszego rodzeństwa, to jest u Antosia i Józki, powiększyła się przez te lata rodzina. Antoś ma już dwóch synów – Walerka i Ceśka, a Józka ma parę - syna Ceśka, o którym już pisałem, no i piękną córeczkę, która nazywa się Lucyna. Wszyscy zapracowani. Antoś

prowadzi warsztat stolarski i uprawia kawałek ziemi po ojcu. Ciężko mu idzie i trudno związać koniec z końcem.

U Nowosadów, to jest u Józi i Franka pełno roboty, stale są zapracowani. Mają sporo ziemi, ale ten łan ziemi jest daleko od domu, więc to duże utrudnienie i dużo pracy. Wszyscy jednak sobie jakoś radzą – my też.

Jeżeli o nas chodzi, to się jakoś unormowało – jest nas pięcioro: ojciec nasz, troje dzieci i babka staruszka. Marysia zajęła się domem, ojciec gospodarstwem, ja pracowałem w hucie i czasem pomagałem w domu. Staszek chodził do szkoły, chyba do drugiej klasy, a babcia często chorowała i przysparzała nam nieraz dużo kłopotów.

Zdawało się nam, że już się wszystko po odejściu mamy unormowało, ale życie to jest życie - lubi płać niespodzianki, nieraz przykre, a czasem nawet tragiczne.

Gdzieś w połowie sierpnia tegoż 1937 roku poszliśmy rano z Marysia w pole, żeby zebrać kawałek pszenicy. Ja kosiłem, Marysia odbierała i układała ściętą pszenicę, potem powiązaliśmy to w snopy i ustawiliśmy tzw. sztygi. Po zakończeniu pracy wracaliśmy do domu - było kawał drogi do domu przez pola i przez las. Gdy wyszliśmy za las bliżej wsi, zobaczyliśmy dym, a później płomienie w tym końcu wsi gdzie mieszkaliśmy. Ogarnął nas wielki niepokój, który wzrastał z każdą minutą. Czyje to zabudowania się palą, czy czasami nie nasze?

Po przyjsciu bliżej sprawdziły się nasze najgorsze przypuszczenia - to palił się nasz dom. Podeszliśmy i stanęliśmy oniemiały z przerażenia. Było pełno ludzi jak to bywa w czasie pożaru, biegali z wiadrami i bosakami. Zagrożony mocno był stojący blisko naszego sąsiedni budynek, okładano mokrymi płachtami jego dach i jakoś go uratowano. Nasz budynek spłonął doszczętnie jak benzyna i cały nasz skromny dobytek, który w nim się znajdował. Przyjechała straż pożarna z sikawką i beczkowitzem, no i wlały trochę wody w pogorzelnisko, żeby wiatr nie roznosił żarzących się węgli. Tyle tylko ta straż mogła dla nas uczynić.

Zostaliśmy jak staliśmy. Ja w spodniach i koszulce gimnastycznej, a reszta domowników w tym co mieli na sobie. Wszystko doszczętnie spłonęło.

Długo staliśmy załamani nad tym pogorzelniskiem i myśleliśmy co teraz będzie ? co pocniemy? Nie mieliśmy gdzie mieszkać ani nawet co jeść. Tego dnia nie poszedłem do huty do pracy, bo nie miałem w czym. Jak to zawsze bywało po pożarze dobrzy ludzie sąsiedzi zbierali co się dało dla pogorzelników. Niewiele można było zebrać, bo ludzie niewiele mieli – panował przecież wielki kryzys, ale coś tam trochę uzbierali, żeby można było się przynajmniej okryć.

Zamieszkaliśmy na razie w stodole i spaliśmy na sianie. Dysponowaliśmy pierzyną, którą ojciec zdążył wynieść z palącego się domu. Więcej nic nie wyniósł. Ogień tak szybko objął wejście do mieszkania, że wynoszenie czegokolwiek było niemożliwe. Wiec nie mieliśmy nic więcej, a tyle było u nas w domu dużych poduszek. Teraz było siano pod głowę . Niedaleko stodoły ojciec sklecił na piasku prowizoryczną kuchenkę z cegieł wyciągniętych z pogorzelniska i na tej kuchence Marysia gotowała nam jedzenie. Na razie nie było nawet z czego i czym jeść. Później trochę przynieśli ludzie – głównie nasza rodzina (Antoś , Józia), a trochę się kupiło. Właściwie nie wiadomo było co kupować za te parę złotych, które ojciec gdzieś tam jeszcze miał. Do kupienia było wszystko, bo wszystko się spaliło, a możliwości prawie żadne.

Tak więc mieszkaliśmy w stodole, warunki wiadomo jakie były, ale był dach nad głową. Tymczasem wielkimi krokami zbliżała się zima i trzeba było szukać mieszkania. Niedaleko od nas po sąsiedzku za górką mieszkał Stanisław Nowoźniak z rodzina. Chata ich

była stara, niska, ale były do niej dwa oddzielne wejścia do dwóch oddzielnych pomieszczeń. W jednym większym mieszkał Nowoźniak z żoną i dwiema małymi córkami w wieku naszego Staszka, a w drugim pomieszczeniu mieszkała jego ciotka. Ciotka ta zmarła w poprzednim roku i pomieszczenie, w którym była kuchnia do gotowania i piec chlebowy, było wolne. Ojciec dogadał się z Nowoźniakiem i mogliśmy się tam wprowadzić.

Wprowadzanie się do tego mieszkania nie stwarzało żadnych problemów. Architekt wewnątrz nie był potrzebny. Nie było po prostu co wnosić do tego mieszkania, bo nic nie mieliśmy. Jakoś jednak trzeba było sobie radzić. Zbiłem przy pomocy Antosia, kochanego brata, stół na krzyżakach i coś w rodzaju łóżka bez poręczy. Od Nowosadów (Józi) dostaliśmy chyba dwa taborety i „apartament” nasz był gotów do zamieszkania. Był mały chyba z 15 metrów kwadratowych, bez podłogi. Zamiast podłogi była ubita glina. Okna były małe, więc było trochę ciemno, ale za to ciepło.

Mieszkało się nam tu całkiem znośnie, było gwarno, bo tuż za ścianą mieszkał, jak już wspominałem, Nowoźniak, a był to bardzo wesoły człowiek – lubił opowiadać (a miał co, bo był na wojnie), lubił śpiewać, więc było fajnie pod tym względem. Tak to się mieszkało nam przez zimę aż do końca wiosny 1938 r.

Nowoźniak po rozmowie z moim ojcem gdzieś pod koniec maja, chodził nadąsany – nie opowiadał dowcipów, ani zdarzeń i nie śpiewał – dlaczego? Wiadomo, że jeśli nie wiemy o co chodzi to chodzi o pieniądze. Nasz ojciec z ówczesnego zakładu ubezpieczeniowego dostał parę setek złotych odszkodowania za budynek, który spłonął i był ubezpieczony, złożył je w PKO i rozglądał się za materiałami za budowę domu, bo przecież gdzieś musi mieszkać z rodziną.

Nowoźniak, gdy się dowiedział, że ojciec otrzymał pieniądze, chciał od ojca je pożyczyć – nie pamiętam na co mu były potrzebne. Ojciec odmówił, bo miał już zamówione materiały na budowę domu. Nowoźniak się zdenerwował i powiedział, żebyśmy się wyprowadzili z jego mieszkania, a przecież ojciec nasz coś mu tam co miesiąc płacił. Niewiele tego było, ale zawsze.

Wyprowadziliśmy się więc. Gdzie? Ano z powrotem do stodoły. Gdzieś po tygodniu Nowoźniak się zreflektował, bo mu trochę smutno było bez nas, trochę nieładnie przed sąsiadami i przyszedł z propozycją, żebyśmy wrócili, ale ojciec odmówił i pozostaliśmy w stodole aż do jesieni.

Zimą w stodole nie sposób mieszkać, więc przyjął nas na mieszkanie Łysak – mąż naszej ciotki (ojca siostry). Oboje oni z dziećmi mieszkali po sąsiedzku – sześć osób. Nas doszło pięcioro, więc razem było nas jedenaście osób. Mieszkanie bardzo małe – pokój z kuchnią, więc ciasno było i tłoczno, ale jakoś zgodnie bez żadnych spięć mieszkaliśmy sobie aż do wiosny. Ja pracowałem w hucie, ojciec gromadził materiały na budowę nowego domu. Kupił już trochę materiału drzewnego (grubych bali), no i dwa piękne wysmukłe dęby na podwaliny pod przyszły dom.

Pod koniec stycznia 39r. mój dawny majster, pan Kiziński, zaproponował mi pracę w charakterze tzw. pomocnika (dmuchacza butelek). Wiedział, że ja już umiem robić butelki, tylko brak było miejsc do pracy. Pan Kiziński zaproponował mi pracę w hucie szkła w Sierakowie woj. Poznańskie. Wraz z kilkoma innymi udziałowcami huty Nadbużanka kupił w Sierakowie udziały w tamtejszej nieczynnej hucie szkła, którą zamierzali uruchomić. Zgodziłem się chętnie, gdyż praca na tym stanowisku była dużo lepiej płatna – prawie drugie tyle ile teraz zarabiałem

Na początku lutego 1939 wraz z kilkoma kolegami (do tej huty było zwerbowanych kilka osób) udaliśmy się w podróż do dalekiego, leżącego na drugim końcu Polski, Sierakowa. Jechał z nami jeden z majstrów, który już tam był, więc wiedział jakie są połączenia i pociągi. My, chłopaczyny ze wsi, którzy dalej jak w Chełmie czy Włodawie nie byli, nie bardzo moglibyśmy trafić do tego Sierakowa.

Wyjechaliśmy ze stacji Uhrusk po południu. Podróżowało nam się dobrze. Gdzieś około północy byliśmy na dworcu głównym w Warszawie. Tutaj trzeba było poczekać około godziny na połączenie do Poznania, wyszedłem więc z dworca spojrzeć na miasto. Byłem oczarowany, bo nigdy nie byłem w dużym mieście. Miasto mocno oświetlone, migają reklamy - Hotel Polonia Palace, Mydło Jeleń Schicht i inne – takiego czegoś przedtem nie widziałem. Od czasu do czasu mkną samochody. Patrzyłem urzeczony, ale trzeba było wracać na peron – podstawili pociąg, więc wsiedliśmy i pojechaliśmy. Po przesiadkach w Poznaniu i Szamotułach wylądowaliśmy na stacji w Sierakowie.

Poszliśmy prosto do huty. Tutaj nic specjalnego, mniej więcej taka sama hala z wanną do szkła pośrodku i inne podobne urządzenia jak w Nadbużance. Pracowali tutaj pracownicy przygotowujący hutę do uruchomienia. Poczułem się trochę dziwnie. Jestem w dalekim obcym mieście, zdany na własne siły – nie wiem jak sobie poradzę.

Na razie trzeba iść i szukać mieszkania. Poszliśmy we czwórkę do miasta szukać pokoju – kawalerki. Sieraków, miasteczko niewielkie, więc nie trzeba było daleko chodzić lub jechać dorożką, bo takie środki lokomocji wówczas były. Chodziliśmy więc na piechotę. Po drodze spotkaliśmy kolegę, który tu już mieszkał, bo przyjechał wcześniej i wynajął pokój. Zaprosił nas do siebie i zapoznał z właścicielem domu panem Januchowskim, który był również właścicielem piekarni i sklepu z pieczywem. Zapytany czy nie mógłby nam coś wykombinować, powiedział, że będzie pytał o to, bo do piekarni przychodzi wielu klientów, więc może coś da się zrobić. Akurat przy nas weszła do piekarni pani w średnim wieku po pieczywo. Januchowski zwrócił się do niej: „Ci panowie szukają pokoju do wynajęcia, bo przyjechali do Sierakowa do huty pracować, może pani coś wie?”

Pani odpowiedziała, że ona może ewentualnie wynająć pokój, więc prosi żebyśmy poszli z nią obejrzyć. Poszliśmy na drugą stronę ulicy, bo tam mieszkała wraz z rodziną i weszliśmy do wskazanego pokoju. Był dosyć duży, chyba około 25-30 m, no i był umeblowany. Stały w nim dwa bardzo duże szerokie łóżka z pościelą, szafa bieliźniarka, biurko, dwa stoliki nocne przy łóżkach, stół, krzesła, więcej nie pamiętam. W pokoju było przyjemnie - czysto i widno, miał dwa dość duże okna od strony ulicy, były firanki i zasłony.

Po chwili do pokoju wszedł mąż właścicielki pan Wejhert i po przedstawieniu wzajemnym przystąpiliśmy do pertraktacji. Ustaliliśmy co następuje: będziemy mieszkać we czwórkę, płacić będziemy 40 zł przy końcu każdego miesiąca. Pościel będzie zmieniana co dwa tygodnie, zawsze będzie dzbanek ze świeżą zbożową kawą - to w ramach tych 40 zł. Obiady, jeżeli chcemy, to trzeba każdorazowo zamówić. Pranie bielizny też trzeba zamawiać. Za obiady i pranie trzeba płacić osobno. Po tych ustaleniach państwo Wejhertowie wyszli, a my rozebraliśmy się i buch do tych łóżek, bo przecież jechaliśmy całą noc pociągiem i byliśmy bardzo zmęczeni. Pościel czyściutka, świeżutka, więc wywczasowaliśmy się znakomicie.

Tak więc zamieszkaliśmy sobie w pokoju u państwa Wejhertów we czwórkę tj. ja - Franciszek Banaszekiewicz, Michał Witkowski z Uhruska, Czesiek Anusiewicz z Woli Uhruskiej i Wicek Łoskot też z Woli Uhruskiej.

Znaliśmy się od dawna, bo nasze wsie, w których mieszkaliśmy tworzyły prawie jedno osiedle, a poza tym pracowaliśmy wszyscy przedtem w tej samej hucie w Nadbużance.



W chwili zamieszkania, jak i później przez cały czas wspólnego pobytu u państwa Wejchertów panowała wśród nas koleżeńska i przyjacielska zgoda.

Nazajutrz poszliśmy do huty dowiedzieć się kiedy zaczniemy pracować. „Niedługo.” – poinformowano nas. Po kilku dniach rozpoczęliśmy pracę. Dzień jak co dzień. Praca była na trzy zmiany wynagrodzenie nieźle 5-8 zł za 8 godz. w zależności ile się wyprodukowało butelek. Ja pracowałem więcej, bo oprócz stałej pracy brałem nadgodziny – to było tak że jak kogoś zabrakło w pracy, to ja się angażowałem i wtedy pracowałem swoje 8 godzin no i te dodatkowe 8 godzin. Razem 16 godzin na dobę. Tak było od czasu do czasu. Było bardzo ciężko, bo praca w hucie jest ciężka, ale wiedziałem, że tam w dalekim Bytyniu ojciec buduje chatę, żeby wyprowadzić się z tej cholernej stodoły, czy też od kogoś, do swojego własnego kąta.

U państwa Wejhertów mieszkało się nam bardzo dobrze. Pani Wejhert nawet nas polubiła i traktowała trochę jak synów - byliśmy przecież bardzo młodzi. Odwiedzało nas na kawalerce sporo kolegów z pracy, no i znajomych Państwa Wejhertów. Prawie codziennie bywali u nas dwaj koledzy z Sierakowa - Kuba i Paweł. Kuba grał na mandolinie, a Paweł na gitarze. A jak ładnie śpiewali! Pomagałem im jak mogłem, a ze mną kolega Broniek Jakubowski - też chłopak z Sierakowa. Krótko mówiąc - było fajnie. Stanowiliśmy zgrany zespół, tylko że nie śpiewaliśmy zbyt często, bo przecież trzeba było pracować. Oprócz wymienionych kolegów przychodzili również inni np. Bolesław Grzegorzewski, który do Sierakowa do huty przyjechał gdzieś z drugiego końca Polski. Bolesław przychodził do nas, bo nie wynajmował kawalerki - spał na pryzmie ciepłego piasku w hucie (piasek był podgrzewany i sypany do wanny jako składnik szkła ) Bolesławowi służył za ciepłe łóżko. Bolesław przychodził do nas zazwyczaj rano, przynosił ze sobą bombkę wódki (buteleczka 100g) i kawałek kiełbasy pasztetowej. To było jego śniadanie. Po śniadaniu opowiadał różne kawały, a znał ich niemało, no i umiał opowiadać. Mówił, że ma prawie ukończone seminarium duchowne i że sam z niego zrezygnował, bo mu nie odpowiadał ten tryb życia. Postanowiliśmy go kiedyś sprawdzić czy rzeczywiście był w seminarium i poprosiliśmy go, żeby powiedział – wygłosił kazanie, takie jak powinien ksiądz wygłosić np. na Boże Narodzenie. Byliśmy pewni, że się skompromituje, a była wtedy u nas w pokoju pani Wejhert z córkami, my i paru naszych kolegów. Tymczasem Bolesław wyrznął nam takie kazanie, którego nie powstydziliby się najlepszy kaznodzieja. Pootwieraliśmy gęby i słuchaliśmy zdumieni – uwierzyliśmy, że Bolesław uczył się w seminarium naprawdę. Bolesław wkrótce wyjechał do jakiejś innej huty – lubił „włóczęgę”.

Przychodziły do nas często córki państwa Wejhertów – Kazia i Helcia, bardzo młode dziewczynki. Kazia lat 15, a Helcia 12. Lubiły u nas posiedzieć. Między mną, a Kazią zawiązała się nić przyjaźni, a nawet coś w rodzaju „szczenięcej miłości” (byliśmy przecież bardzo młodzi, ona lat 15, a ja 18) i kto wie jak potoczyłyby się nasze losy gdyby nie wojna, ale o tym później.

Trochę o Sierakowie. Po pracy, gdy pracowałem na nocnej zmianie, w dzień po wyspaniu się, wychodziłem z kolegami na spacer nad Wartę (Sieraków leży nad samą Wartą). Piękne widoki i wygoda, można się było wykapać, a pogoda tego lata była wspaniała. Całe lato pogoda – deszcz i dni pochmurne bywały rzadko.

Więc używaliśmy sobie w tej Warcie. Na brzegu od strony miasta był wykop pod przyczółek do przyszłego mostu, przy którym nikt nic nie robił. Chyba brakło pieniędzy na budowę. Paweł i Kuba śpiewali na ten temat kuplety:

Burmistrz Sierakowa drze podatki z ludzi  
O budowę mostu wcale się nie trzudi  
Hej panowie radni! – mówiąc od niechcienia  
Nałóżcie podatki od swego siedzenia

Robiliśmy wycieczki nie tylko nad Wartę. Niedaleko Sierakowa są piękne jeziora i lasy. Przyjeżdżały tu wycieczki, przyjeżdżały grupy sportowców z całej Polski na odpoczynek. Piękne jezioro Jaroszyńskie otoczone lasami. Tuż obok po drugiej stronie szosy jezioro Lutomskie o szerokości około 1 kilometra, a długie 8 kilometrów, też biegnące obok pięknego bukowego lasu. Obok jeziora Jaroszyńskiego była głęboka kotlina o stromych brzegach. Na dnie tej kotliny często były urządzone przez wczasowiczów ogniska. Przy ognisku amatorzy śpiewali, odbywały się skecze, deklamowano wiersze itp. Na urwistych brzegach otaczających kotlinę stała publiczność, która, zwłaszcza w sobotę po południu i niedzielę, licznie odwiedzała te okolice jezior. Ja z kolegami też tam bywałem i z wysokiego, urwistego brzegu podziwiałem ogniska i występy różnych amatorów na płaskim dnie kotliny. Pięknie to wyglądało zwłaszcza wieczorem.

Pewnego wieczoru występowali w tej kotlinie sportowcy przybyli na wypoczynek aż z Polesia. Szczególnie mi utkwiała w pamięci piosenka, którą śpiewał jeden z nich – brzmiała tak:

Pośród łąk, lasów, bagien i wód toni  
W ciągłej życia pogoni  
Żyje posępny lud  
    Brzęczą much roje nad bagnami  
    Skrzypi jadący wóz czasami  
    Poprzez gęsty bagna bród  
Czasem ozwie się gdzieś łosia ryk  
Albo dziki w gąszczu głuszca krzyk  
Krzyk głuszca i znowu cisza niezmacona – pustka  
Śni piosnkę wymarzoną cudny o Polesiu sen  
    Polesia czar, to dzikie knieje, moczary  
    Polesia czar, smętny to wichrów jęk  
    Gdy w mroczną dal z bagien wstają opary  
Serce me drży, dziwny ogarnia mnie lęk  
I słyszę jak z głębi wód  
Jakaś się skarga miota  
Serca prostota wierzy w Polesia czar

Serce mi zabiło mocniej – byłem wzruszony. Myślami pobiegłem w rodzinne strony. Przypominały mi się Durycze, gdzie byłem na ćwiczeniach na Polesiu. A jeszcze wcześniej, gdy byłem chłopcem 12-letnim, byłem na Polesiu wraz z ojcem, żeby nazbierać jagód. Zaszliśmy do wioski i weszliśmy do chaty. W chacie widać było ogromną biedę i prymityw. Gospodarz ubrany w sukmankę, którą nosił na koszuli, nic więcej nie miał na sobie, był boso. Domownicy w byle jakich łachmanach ze zgrzebnego płótna, zewsząd wyzierała bieda. W chacie był duży piec, na którym w nocy spali domownicy. W tym piecu przygotowywano posiłki, bo kuchni nie było tam nigdzie. Jak się paliło w piecu, to dym wychodził na zewnątrz przez specjalny otwór w dachu (komina nie było). To była tzw. „kurna chata”. Wewnątrz chaty pośrodku były wbite w glinianą podłogę cztery kołki i na nich leżał zbity z de-

sek blat – to był taki stół. Pod ścianami stały ławy, to było całe wyposażenie domu. Taki to był „Polesia czar” dotyczący Poleszuków tam zamieszkujących, zaś okolica ta rzeczywiście roztaczała niezwykły czar i urok, o których tak pięknie śpiewano. O tej niesłychanej biedzie ludzi zamieszkujących Polesie jakoś nigdy nie czytałem i nie słyszałem piosenek.

Śpiewak skończył piosenkę, ognisko zwolna zaczęło gasnąć, ludzie zaczęli opuszczać skarpe. Poszedłem z kolegami do domu.

W domu wiadomo, dzień jak co dzień. Przede wszystkim praca! Państwo Wejhertowie zaproponowali mi pewnego dnia wycieczkę na wieś do rodziny pani Wejhert, która pochodziła ze wsi. Wybraliśmy się tam w najbliższą niedzielę. Pojechaliśmy rowerami we trójkę. Państwo Wejhertowie i ja. Było niedaleko, jakieś 10-12 km od Sierakowa. Po południu byliśmy na miejscu. Byłem ogromnie ciekaw jak wygląda poznańskie gospodarstwo rolne. Dom rodziny pani Wejhert był jako kolonia - nie we wsi, lecz oddalony około 1 km od wsi. Dom piękny, murowany, wielopokojowy, kryty dachówką. Zabudowania gospodarcze solidne, też murowane. Gospodarstwo na siedemdziesięciu morgach (poznańskich), wyposażone w maszyny rolnicze, takie jakie wtedy możliwe były do nabycia: żniwiarki konne, młocarnia, kultywator, pługi wieloskibowe itp. Dwie pary koni i inny inwentarz. Jeżeli chodzi o konie, to były one rasy tzw. poznańskiej - rosłe, silnie zbudowane, przystosowane do pracy na roli (nie perszerony).

Gospodarze przyjęli nas tak jaki panował tam zwyczaj: na półmisku piramida delikatnych kromeczek, duży dzbanek fajansowy z kawą, filizaneczki. Przy tak zastawionym stole gawędziliśmy o gospodarce.

Czego się tam w czasie rozmowy dowiedziałem i co zobaczyłem w czasie oględzin obejścia gospodarczego? Przede wszystkim gospodarstwo było duże. Dlaczego? Dlatego, że w poznańskim nie wolno było dzielić gospodarstw. Jeżeli było kilkoro rodzeństwa, to najstarszy syn obejmował gospodarstwo, reszta była przygotowywana zawczasu do rzemiosła i handlu itp. I szli na swoje. Ten co obejmował gospodarstwo częściowo ich spłacał (uwzględniając to co wyłożyli na nich rodzice w ramach przygotowania do zawodu). Nie wolno było na przykład sprzedać z gospodarstwa kawałka ziemi. Wolno było sprzedać całe gospodarstwo wraz z inwentarzem, spakować walizki i odejść.

Zboże po wymłóceniu odstawiano do młynów, a te z kolei zaopatrywały w mąkę piekarnie. Gospodarze nie piekli chleba w domu – zaopatrywali się w chleb w piekarni. Rzadko bardzo w gospodarstwach było świnio bicie, gdyż tak samo zaopatrywano się w mięso, jak i w pieczywo w odpowiednich sklepach. Jednym słowem gospodarka na wysokim poziomie.

Opisałem tu tylko niektóre problemy. Z tego co widziałem i usłyszałem w rozmowie z gospodarzami wynikało, że pod zaborem niemieckim gospodarka stała na dużo wyższym poziomie niż pod rządami cara rosyjskiego.

Przede wszystkim w „naszych stronach”, to znaczy nad Bugiem, gospodarstwa były drobne, bo z każdym rokiem przybywało nowych gospodarzy i gospodarstwa dzielono między rodzeństwa. Do tego doszło, że kawałki pola nie dzielono wzdłuż, bo nie było już z czego dzielić, lecz dzielono w poprzek na małe kawałki. Wyposażenie tych gospodarstw było mizerne, czasem (bardzo rzadko) kierat, młocarnia czy siewkarnia. Konie drobne (rosłe bardzo rzadko), a i koniki biłgorajskie też się w tych gospodarstwach spotykało. Wozy o połowę mniejsze niż te w poznańskim. Gospodarstwa były częściowo samowystarczalne. Gospodarze nie zaopatrywali się w chleb i tłuszcze czy mięso w sklepach, lecz chleb piekli gospodynie raz w tygodniu i czasem (zależało to od zamożności) było świnio bicie, więc po

słoninę i mięso nie było potrzeby iść do sklepu. Nawozów sztucznych też nie stosowano w naszych stronach.

Widziałem zboża w odwiedzanym gospodarstwie i w myślach porównywałem z naszymi tam nad Bugiem. Szkoda gadać! – tu stosowano nawozy sztuczne na szeroką skalę, u nas wcale nie stosowano.

Takie to różnice po wielu latach niewoli pruskiej i carskiej utrzymywały się w wolnej już Polsce przez wiele lat. Poza tym przemysł był wtedy w Polsce w powijkach. Chłopskie dzieci i sami chłopi nie mieli innego wyjścia jak pozostawać na wsi i dzielić się tym co było. W końcu nie bardzo było czym się dzielić.

Do domu powróciliśmy późnym wieczorem.

Po kilku dniach czekało mnie znowu porównanie – tym razem bardziej terenowo odległe. Do pana Wejherta przyjechał jego brat z Niemiec, aż z Westwalii. Szwargotali obaj po niemiecku, bo i ten nasz Wejhert był Niemcem z pochodzenia. Obaj przez cały dzień zwiedzali miasto, no i komentowali to co widzieli. Przede wszystkim ten brat z Niemiec był pełen podziwu, że tyle sklepów w mieście i tak obficie zaopatrzone. No a przede wszystkim, że można kupić ile kto chce, bo u nich w Niemczech żywnościowe produkty są na kartki.

Pytał swego brata ile masła jedno razowo może kupić. „Ile chcesz?” – pytał brat – „Jeżeli chcesz tonę, a tu nie będzie, to możemy wziąć samochód do Poznania i kupić tonę.”

Brat z Niemiec dziwił się i dziwił, że w Polsce taki dobrobyt podczas gdy u nich na kartki. Dziwiłem się wtedy ja, a to dlatego, że dopiero po wojnie wiadomo było ze statystyk, że wtedy na kartki w Niemczech przeciętny Niemiec spożywał rocznie około 50-60 kg mięsa, a w Polsce przy tej obfitości, na głowę jednego przeciętnego mieszkańca wypadało około 20 kg. Więc co to było i dlaczego tak mało przy tej obfitości w Polsce spożywano wyrobów mięsnych? Chyba dlatego, że ludzie nie mieli za co tych wyrobów kupować i dlatego leżały w sklepach. Dobrobyt był pozorny.

W tym miejscu ktoś mógłby zapytać dlaczego mnie wówczas 18 letniego chłopaka interesowały tak poważne sprawy. Odpowiedź jest prosta – to dlatego, że sytuacja materialna wtedy zmusiła mnie do tego, żeby jako dziecko 14 latnie pójść do pracy w hucie. Zamiast dalej uczyć się. Dlatego właśnie tak wcześnie wydorostałem i interesowałem się sprawami dorosłych ludzi.

Wracamy więc do pracy, do powszedniego dnia dzisiejszego, który jest podobny do innych dni spędzonych w pracy i domu razem z kolegami. Tymczasem coraz natarczywiej dochodziły nas wieści o groźącym napadzie na Polskę przez Niemcy i o żądaniach Hitlera przyłączenia Gdańska do Rzeszy i budowy tak zwanej wolnej autostrady z Niemiec do Prus Wschodnich.

Wieści niepokojące, ale jakoś wszyscy wierzyliśmy, że w razie wojny Polacy razem ze sprzymierzoną z nami Francją i Anglią sprawią Niemcom takie lanie, jakiego od dawna nie otrzymali.

Huta pracowała nadal, jak gdyby nigdy nic, ale do pewnego czasu. Pod koniec sierpnia doszła nas wiadomość, że współwłaściciel huty zwinął kasę i zamierza uciec do Ameryki.

Natychmiast robotnicy otoczyli jego dom. Na szczęście przebywał tam jeszcze właściciel, który w tej sytuacji musiał udać się do huty, no i do biura, gdzie wypłacił należne nam zarobione pieniądze. Praca w hucie została przerwana. W tej sytuacji nie pozostawało

mi nic innego jak wracać do domu, bo co ja będę robił w tym Sierakowie i z czego będę żył?

Udałem się do dworca kolejowego zapytać o bilet. Powiedziano mi, że pociągi w kierunku Poznania przestały już kursować, a więc zostałem na lodzie.

W tej sytuacji ja i mój kolega Wicek Łoskot postanowiliśmy kupić rowery i jechać do domu. Tak i zrobiliśmy. Kupiliśmy używane rowery za jedną trzecią ceny, założyliśmy bagażniki i zaczęliśmy się pakować. Pomagała nam pani Wejhert - bardzo szybko, bo i ona wraz z rodziną zamierzała uciekać z Sierakowa, nad którym już zaczęły krążyć niemieckie samoloty zwiadowcze.

Na podwórku stała już duża furmanka wyładowana różnymi rzeczami państwa Wejhertów. Zamierzali udać się na wieś, gdzie niedawno byliśmy na wycieczce. Kazia i Helcia siedziały już wysoko na furze na bagażach. Pożegnaliśmy się z państwem Wejhert. Kazi i Helci przesłaliśmy z dołu ręką pożegnanie. Do widzenia Kazia! Pa Helcia! – będziemy pisali do Was!!!

Do widzenia miłe miasto Sieraków! Nacisnęliśmy z Wickiem pedały i pomknęliśmy na wschód – na Poznań.

## Rozdział II

### Wojna 1939 r., okupacja, wyzwolenie

Jechało nam się dość dobrze. W poznańskim sieć dróg była dość gęsta i dobrze utrzymana. Nasza droga żwirowa, gładka, więc pedałowaliśmy dosyć szybko, tylko czy nam sił wystarczy tak pedałowac aż na drugi koniec Polski? – zapytywaliśmy jeden drugiego – przecież nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiej jazdy. Musimy pedałowac – odpowiadaliśmy sobie, bo innego wyjścia to my teraz nie mamy. Jadąc patrzyliśmy na wszystkie strony czy nie widać naszego wojska, które według nas powinno zajmowac obronę na granicy. Żadnego wojska ani nawet pojedynczego żołnierza nie spotkaliśmy.

Pod wieczór dojechaliśmy w poblize Poznania. Do miasta postanowiliśmy nie wjeżdżac, bo tam będą trudności z noclegiem więc w napotkanej wiosce zaszliśmy do pierwszego z brzegu gospodarza i poprosiliśmy go o nocleg. Opowiedzieliśmy mu kto jesteśmy, skąd, dlaczego i dokąd jedziemy. Gospodarz wysłuchał nas i zaprosił do mieszkania. W mieszkaniu poczęstowali nas piramidką kanapek i kawą zbożową, podobnie jak w czasie wizyty u rodziny Wejhertów na wsi.

Za tę kolację trzeba było zapłacić – nie pamiętam ile. Na nocleg gospodarz zaprowadził nas do szopy, gdzie była słoma. Tam spaliśmy do rana. Noc była zimna mimo pięknej wrześniowej wówczas pogody. Więc kręciliśmy się w nocy z boku na bok. Rano podziękowaliśmy gospodarzom i pojechaliśmy do Poznania.

Przejeżdżaliśmy przez Poznań szybko, gdyż baliśmy się że aby czasem w Poznaniu nie załapać się na bombardowanie. Podobno w nocy Poznań był bombardowany (jakieś magazyny). Bombardowanie jednak nas dopadło we Wrześni, gdzie samoloty niemieckie bombardowały stację kolejową. Stojąc na ulicy widzieliśmy nawet jak bomby odrywały się od samolotu i leciały w dół. Obserwację przerwała nam OPL z opaskami na rękawach. Kazali nam natychmiast schowac się do budynku. Weszliśmy z rowerami do klatki schodowej jednego z budynków. Było tu już sporo ludzi. Kobiety krzyczały, aby zasłonić otwory okienne mokrymi prześcieradłami, bo Niemcy będą zrzucac bomby gazowe. Nie zrzucali. Widząc, że w tej klatce możemy stać nie wiadomo dokąd, wyszliśmy szybko na ulicę, wsiedliśmy na rowery i mimo protestów i grózb pognaliśmy naprzód, byle się wydostać z miasta.

Jechaliśmy sobie spokojnie aż do Koła, magistralą Poznań – Warszawa. Nawierzchnia gładziutka, asfaltowa, z daleka wydawało się, że to woda stoi na tym asfalcie - tak gładka była ta nawierzchnia. Ale w Kole, jak to w mieście, ulice – droga się zwężiła no i jakoś ludzi jadących w kierunku Warszawy zrobiło się sporo (uciekali przed wojną na wschód). Gdy przejeżdżaliśmy przez miasto Koło, w pewnym momencie wyprzedzaliśmy furmankę. Nagle z tyłu z rozpędem wjechał „na trzeciego” jakiś samochód osobowy. Tragedia wisiła w powietrzu – samochód ten zahaczył za mój rower błotnikiem o kierownicę, natychmiast zostałem zarzucony na dach z tyłu samochodu. Bagaż porwany, kierownica od roweru rozgięta. Na szczęście nie odniosłem oprócz ogólnego potłuczenia poważniejszych obrażeń. Kierowca samochodu szybko odjechał. Zrobiło się zbiegowisko. Kilka kobiet pomogło mi zbierać się, dostałem pudło na swój porwany i porzrzucany bagaż, dość szybko mnie spakowano i pojechaliśmy. Wprawdzie rower mój wyglądał fatalnie z odgiętym do góry rogiem kierownicy, ale jechaliśmy dalej aż pod Kutno.

Z daleka zobaczyliśmy jak miasto bombardują hitlerowskie samoloty. Wybuchł pożar - to paliły się zakłady spirytusowe, ogień buchał wysoko, a samoloty pikowały parę razy i ostrzeliwały. Kogo? Chyba ludzi, których w razie pożaru sporo się tam gromadzi. W tej sytuacji zatrzymaliśmy się na noc przed Kutnem, bo zbliżał się wieczór i baliśmy się dalej jechać. Nocowaliśmy u gospodarza w stodole i tym razem było dosyć ciepło, bo gospodarz

użyczył nam do przykrycia się ogromnego kozucha, pod którym zmieściliśmy się obaj z Wickiem.

Rano po dobrym wyspaniu się, gospodarz poczęstował nas śniadaniem. Gdy zapytaliśmy ile zapłacić za śniadanie, byli zdumieni – tutaj już była tak zwana Kongresówka, tu ludzie nie byli już tacy praktyczni i oszczędni jak poznaniacy i poczęstował nas śniadaniem za darmo. Poza tym wojna robi swoje, w potrzebie i biedzie ludzie przeważnie są lepsi, skłonni są pomóc jeden drugiemu, bo nie wiadomo czy sami takiej pomocy nie będą potrzebowali.

Gdy minęliśmy Koło – Kutno, widoki się zmieniły, to znaczy okolica wyglądała inaczej. Skończyły się domy murowane, kryte dachówką, a zaczęły drewniane kryte słomą, rzadziej blachą lub gontami.

Pedałowaliśmy dalej i wkrótce znaleźliśmy się w pobliżu Sochaczewa, gdzie zauważyliśmy Wojsko Polskie i żołnierzy w pobliżu szosy, którą jechaliśmy. Wstąpiliśmy tu do wioski, żeby napatrzeć się na naszych żołnierzy z bliska i żeby czegoś się napić, bo wrzesień był wtedy ciepły, a nawet gorący, zwłaszcza było gorąco przy intensywnym pedałowaniu od samego rana. Zaszliśmy do pierwszego domu z brzegu wioski i spytaliśmy czy możemy kupić trochę mleka. Opowiedzieliśmy dokąd i skąd jedziemy. Krótko mówiąc - uciekamy przed wojną, tak jak robiło to bardzo wielu ludzi. Gospodyni wyniosła z domu duży garnek kwaśnego mleka, dwa kubki, postawiła to na ławce, która stała przy ścianie domu i zaprosiła: pijcie panowie bo na pewno jesteście bardzo spragnieni. O zapłacie nie było mowy.

Piliśmy więc sobie mleko chętnie i bardzo nam smakowało i byłoby nam tu bardzo dobrze, ale za chwilę zjawili się nagle jak spod ziemi dwaj mężczyźni z opaskami na rękawach i zapytali nas co jesteśmy za jedni i co tu robimy. Trochę wystraszeni odpowiedzieliśmy co i jak, co już opowiadaliśmy w czasie naszej podróży nie jeden raz skąd i dokąd jedziemy. To nie wystarczyło. „Proszę pokazać dowody osobiste” - rozkazał ostro jeden z mężczyzn. Odpowiedziałem, że nie mamy dowodów osobistych, że mamy dopiero po osiemnaście lat, byliśmy w gminie w rejestracji osiemnastoletnich, ale dowodów nam jeszcze nie wydano, bo wyjechaliśmy z naszej gminy do Sierakowa.

„Proszę zostawić te garnki i chodźcie tu z nami – idźcie przodem!” - rozkazał jeden z nich. Wzięliśmy więc swoje rowery i poszliśmy przodem jak nam kazano, a oni za nami. Tak przeszliśmy chyba do połowy wsi i zatrzymaliśmy się koło dużego domu z werandą. Na werandzie stał major Wojska Polskiego. We wsi było sporo żołnierzy. Jeden z mężczyzn, którzy nas tu przyprowadzili powiedział do majora: „Panie majorze schwytaliśmy dywersantów bez dowodów osobistych – właśnie pili mleko przed domem”. „Kto wy jesteście, co tu robicie i dlaczego nie macie dowodów?” - spytał nas major. Odpowiedziałem mu to samo co przed chwilą mówiłem mężczyznom z opaskami. „Jak ja mam wierzyć wam? – tak na słowo?” - spytał major. W tej chwili przypomniało mi się, że gdzieś w zanadrzu „za pazuchą” wśród innych szpargałów mam to zaświadczenie – legitymację ukończenia dwutygodniowych ćwiczeń wojskowych – kursu w Duryczach k. Brześcia z pieczętką 34 Pułku piechoty. Poszperałem w zanadrzu, znalazłem ów dokument i wręczyłem majorowi. Spojrzał na dokument, przeczytał i spytał: „To wy byliście w Duryczach w 1935 r.?” Potwierdziłem. „Powiedzcie mi kto był dowódcą zgrupowania” „Mjr Kojder” – odpowiedziałem. Major oddał mi legitymację i powiedział: „To prawda, jesteście wolni. Puścić ich wolno.” - rzekł do mężczyzn, którzy nas przyprowadzili.

Mężczyźni z opaskami byli wyraźnie niezadowoleni z takiego obrotu sprawy. Myślę, że spodziewali się, że jesteśmy dywersantami i że będzie sąd wojskowy, a tu nic z ich gorliwości nie wyszło, ale stanowczy rozkaz rozwiązał ich wątpliwości. My obaj z Wickiem

szybko wsiedliśmy na rowery i nie oglądając się za siebie pogналиśmy na główną magistralę. Pomknęliśmy w kierunku Warszawy, która była już niedaleko.

Jadąc myślałem sobie co by z nami zrobili ci gorliwi mężczyźni, gdyby nie major? Nie wiadomo, ale byliśmy obaj z Wickiem w dużym niebezpieczeństwie, Dobrze, że tak się skończyło.

Dojechaliśmy do Warszawy od strony ul. Wolskiej i tu nowe niepowodzenie – Wicewi popsuł się rower, tym razem torpedo w tylnym kole tak, że nie mógł dalej jechać. Trzeba było szukać warsztatu – punktu naprawy.

Wicek postanowił w tej sytuacji, że dalej nie pojedzie, ma ciotkę w Warszawie, więc do niej się jakoś dostanie. „Ty jedź dalej” – powiedział do mnie. – „Ja sobie tu dam radę.” Trochę mi się smutno zrobiło, bo we dwóch różniej nam było, ale co miałem zrobić, tak wyszło. Pożegnałem się więc z Wickiem, wsiałem na swój rower i pojechałem dalej ulicą Wolską, przez most Kierbedzia na Pragę.

Tymczasem zaczęło się ściemniać, był wieczór, więc postanowiłem poszukać noclegu w Warszawie na Pradze. Podjechałem na posterunek policji i poprosiłem, żeby mi wskazali jakiś nocleg. „Nic my tu panu nie możemy zrobić, bo nie mamy gdzie podróźnych nocować – idź pan na drugą stronę ulicy, tam jest opuszczone całe 3-cie piętro i nocuj pan do kąd zechcesz.”

Poszedłem ze swoim rowerem na drugą stronę ulicy, wszedłem do wskazanego budynku. Wziałem swój rower wraz z bagażem na ramię i po schodach udałem się na 3-cie piętro. Wszedłem, rozejrzałem się – było pusto. W kilku pokojach na tym piętrze było prawdopodobnie jakieś biuro, bo kupa papierów poniewierała się po podłogach.

Co miałem robić w tej sytuacji? Położyłem rower na podłodze, zebrałem kupę papierów, położyłem koło roweru, oparłem na tych papierach głowę i spałem aż do rana (młodość ma swoje prawa).

Rano obudził mnie ryk syren i głos płynący z głośników na ulicy: „Alarm lotniczy dla miasta Warszawy”. Wstałem i wyszedłem na balkon, żeby popatrzeć co się dzieje na ulicy. Na ulicy działała OPL. „Złaź pan na dół!” - krzyknął jeden z nich. Wziałem rower znowu na plecy i zszedłem na dół. Tam już było sporo ludzi, bo z ulicy do klatek schodowych spędzała przechodniów OPL. Wyszedłem na ulicę i chciałem jechać, ale mi nie pozwoliło OPL. Alarm obowiązywał nadal, mimo że samoloty po zrzuceniu bomb już odleciały.

Znowu, podobnie jak to było we Wrześni, wykorzystałem chwilę nieuwagi OPL. Wszedłem na rower i szybko pojechałem - byle się wydostać z Warszawy, która była bombardowana. Dojechałem do Miłosnej i dalej do szosy Warszawa – Lublin – Lwów. Tu się skończył komfort jazdy, to już nie była magistrala Poznań – Warszawa z nawierzchnią asfaltową utrzymaną w bardzo dobrym stanie. Droga do Lublina miała nawierzchnię tłuczniową, źle utrzymaną - z dziurami. Po tej szosie jazda rowerem była trudna. Oprócz tego droga była zatłoczona pojazdami z ludźmi uciekającymi przed działaniami wojennymi na wschód w kierunku Lwowa. Jezdnią nie mogłem jechać, bo była w złym stanie, a po drugie jak już wspomniałem zatłoczona pojazdami. Nikt tu nie przestrzegał żadnych przepisów, wszystko jechało na hura, byleby jak najdalej od frontu. Jechałem więc poboczem szosy ścieżkami w różnym, raczej kiepskim, stanie.

Musiałem bardzo uważać żeby nie dostać się pod koło któregoś z samochodów jadących szybko na łeb, na szyję i nie zważających na nikogo. Jechałem więc wolno i z wysiłkiem. Noc zastała mnie gdzieś w okolicach Lublina. Już nie pamiętam jak się nazywała wieś, w której nocowałem. Pamiętam, że wypytywano mnie o polskie wojsko i o to co widziałem po drodze. Opowiedziałem co widziałem, a widziałem przeważnie bombardowanie



i ucieczkę ludzi na wschód lub w ogóle na wieś. Poza tym rozmawialiśmy o wojnie - jak to Anglicy i Francuzi zaatakują (a może już zaatakowali) Niemców od zachodu, wtedy wojna skończy się szybko. Na razie się zaczęła i nikt rzecz jasna nie mógł powiedzieć jak to się wszystko potoczy.

Nazajutrz wyruszyłem na ostatni etap mojej podróży do domu. Przygód poważniejszych nie było poza tym, że gdzieś za Chełmem jadąc poboczem szosy zagapiłem się i nie zauważyłem, że na poboczu był wykopany głęboki rowek. Wpadłem w ten rowek rozpedzonym rowerem no i poleciałem ponad kierownicą roweru z 5 metrów do przodu i zaryłem nosem w żwir. Skutek: porwane spodnie, obdrapane ręce i twarz. Rower miał koło złożone w tzw. ósemkę. Nie można go było nawet prowadzić, musiałem go nieść na ramieniu. Tak go niosłem, aż napotkałem szczęśliwie kuźnię. W kuźni kowal wyprostował mi na kowadle koło, ponaciągaliśmy szprychy i pojechałem dalej. Do domu było już niedaleko.

Więc jedźmy do domu. Dojechałem szosą pomału do wsi Macoszyn odległej od Bytynia jakieś 7km. Zjechałem z szosy na gościniec ( tak się kiedyś nazywała gruntowa droga na wsi) prowadzący do wsi Stulno i dalej do Bytynia. Tutaj zaczęły się ze mną dziwne rzeczy. Zdawało mi się, że powinienem jechać w odwrotnym kierunku, gdy tymczasem wiadomo było, że jadę dobrze. W tym błędzie tkwiłem, aż dojechałem na skraj Bytynia. Tu mi się wszystko „odkręciło” o 180 stopni – wyszedłem z błędu.

Pogoda była piękna i na trawie przy budynku sąsiada leżało sobie kilku mężczyzn i gawędziło prawdopodobnie o wojnie. Gdy zobaczyli mnie ożywili się „O! Przyjechał Franek, gadaj co w świecie! Co z wojskiem? Co widziałeś?”

Musiałem po raz n-ty opowiadać co widziałem i co usłyszałem. Anglików ani Francuzów nie widziałem na oczy. Byli zawiedzeni, bo tutaj też panowało przekonanie, że lada dzień wojska tych państw pokonają niemiecką armię wspólnie z wojskami polskimi.

Udałem się więc do domu, ale do symbolicznego domu, bo moja kochana rodzina nadal mieszkała w stodole, a gotowano posiłki w tej samej skleconej na wygonie kuchence co i przed rokiem to jest przed moim wyjazdem do Sierakowa. Oczywiście powitanie i pytania co słyhać w rodzinie. Ano nic nowego - tyle że ojciec nabrał raptem ochoty do żeniaczki. Kobieta z którą ojciec miał zamiar się ożenić była wdową z pięciorgiem małych dzieci bez żadnych środków do życia. Mieszkali w skleconej chacie - budzie opatulonej igliwiem, żeby się nie rozleciała – słowem skrajna bieda z nędzą.

Wszyscy byliśmy przeciwni tej żeniaczce, no bo jak myślał ojciec to ułożyć? Gdzie mieszkać i czego żyć? Ojciec sam nie wiedział jak będzie wyglądało życie w tej sytuacji – na razie wiedział, że chce się żenić. Z upływem czasu żeniaczka z kobietą zwaną przez ojca „Mariusią” była coraz mniej aktualna, ale czuli do siebie sympatię i nic więcej się nie działo.

Jeżeli chodzi o budowę nowego domu, to tu ojciec spisał się całkiem dobrze. Zgromadził, to jest zakupił materiały na dom. Nowosad Franek wraz z synem Tadzkiem postawili ze zgromadzonych materiałów (bali) całkiem przyzwoity dom. Były wybudowane pokój, kuchnia, komórka i sień. Ojciec wykonał dach – tzn. pokrył słomą (tak jak prawie w całym Bytyniu) i dom ogólnie był wybudowany, choć dużo jeszcze było do wykończenia - podłogi, sufity, okna, drzwi, piece do ogrzewania i kuchni do gotowania, ale materiały na wykonanie były przez ojca zgromadzone. W wykończeniu przeszkodziła wojna.

W Bytyniu było pełno uciekinierów zarówno z zachodniej Polski jak i od strony wschodniej. Poza tym bląkało się wielu żołnierzy szukających swoich jednostek. Żołnierze byli bardzo zmęczeni, bo szli nieraz bardzo wiele kilometrów, no i głodni. Kobiety gotowa-

ły bez przerwy coś do jedzenia, przeważnie zupy, bo i uciekinierzy też nie bardzo mieli co jeść. Sklepy były pozamykane.

Nie we wszystkich jednak wsiach, tak jak Bytyń, Nadbużanka, czy innych polskich wsiach życzliwie i z troską przyjmowano i karmiono naszych żołnierzy z rozbitych jednostek. W niektórych wsiach, gdzie mieszkali Ukraińcy, zdarzało się, że pojedynczych żołnierzy lub małe grupy (dwóch, trzech) rozbijano i mordowano.

Mój kolega plutonowy Władysław Zańczuk i Marian Szlichting z Nadbużanki prawie cudem uniknęli śmierci w ukraińskiej wiosce, do której trafili szukając swojej jednostki.

Władek umiał trochę gadać po ukraińsku więc z wielkim trudem i szczęśliwie udało im się wydostać z rąk oprawców ukraińskich

Teraz, gdy to pisze, przypomina mi się jak oglądając program telewizyjny, kilka miesięcy (czy więcej) temu w województwie Białostockim z okazji święta prawosławnego odprawiona była msza święta, przez wyższego duchownego prawosławnego i przy tej okazji wygłosił on homilię do licznie zgromadzonych tam Ukraińców i Białorusinów.

Homilia jak homilia była religijna, ale duchowny wspominał i użalał się z powodu Akcji Wisła w czasie której przesiedlano Ukraińców w głąb Polski. Duchowny ten ani słowem jednak nie wspominał ile to naszych żołnierzy zamordowali Ukraińcy w 1939r. i ile tysięcy brutalnie, w ohydny sposób zamordowali jego współwyznawcy, polskich katolickich mężczyzn, kobiet i dzieci, a to nie było przesiedlenie, to było ludobójstwo. Czemu o tym nie wspominał ów duchowny, gdy wygłaszał swoją homilię do zgromadzonych swych owieczek? O tej rzezi na Ukrainie rzadko teraz kto wspomina, nawet nasze władze – dość szybko o tym zapomniano i nawet wychodzi na to, że to Ukraińcy zostali poszkodowani.

Takie to myśli nasuwają mi się teraz, przy pisaniu tych wspomnień. Wracam jednak do zdarzeń w Bytyniu i okolicach w 1939 roku.

Pisał później Broniewski o żołnierzu 39 roku:

„Siedzi polski żołnierz u drogi  
opatruje obolałe nogi”

Tak to było teraz w Bytyniu. Widziałem takich żołnierzy opatrujących obolałe od chodzenia nogi i wietrzących onuce, którymi nogi były owinięte (skarpet jeszcze długo po tym w wojsku nie było).

Jeden z żołnierzy leżał w tym naszym nowo wybudowanym domu na kupce słomy. Był chory na czerwonkę, bo z braku pożywienia najadł się surowych warzyw i zachorował. Kobiety przynosiły mu jedzenie, ale jemu była potrzebna pomoc lekarska. Nie wiadomo jak długo by tam leżał gdyby nie mąż naszej Józki - Franek Nowosad.

Przywiózł tego żołnierza do siebie do domu, narażając siebie i rodzinę na ogromne niebezpieczeństwo zakażenia. Taki to był ten Franek Nowosad. Po przewiezieniu żołnierza i nakarmieniu go Franek poszukał drugiego takiego jak on gospodarza Antka Łysaka i obaj odwieźli go do Chełma. Jazda w owym czasie była bardzo niebezpieczna – był ogólny chaos, zdarzały się napady i samowole, ale się udało i żołnierz został odwieziony i umieszczony w szpitalu, gdzie podobno wyzdrowiał.

Tymczasem w Bytyniu pojawili się Niemcy – przejechał przez wieś patrol pancerny tj. dwa samochody pancerne i kilka motocykli. Po podpaleniu budynku na środku wsi i zastrzeleniu z karabinu maszynowego idącego drogą żołnierza, pojechali dalej w kierunku Uhruska. W drodze do Uhruska pojazd pancerny wpadł na miny p. czołgowe i został unie-

ruchomiony. Myny te postawił jakiś patrol polski, który następnie gdzieś odjechał. Niemcy pozostawili uszkodzony pojazd z poharatanym podwoziem, zawrócili i odjechali.

Ludzie byli podenerwowani – co teraz będzie? Kto tu się pojawi? Odpowiedź przyszła z innej strony. Zza Bugu zaczęły dochodzić odgłosy walki, huk dział i moździerzy, to zbliżali się bolszewicy i napotkali na opór polskich żołnierzy pod Szackiem, gdzie wywiązała się walka. Po kilku dniach ujrzelśmy owych bolszewickich „wyzwolicieli” w Bytyniu i na Woli. Ludzie przyglądali się im z zaciekawieniem. Wyzwoliciele byli ubrani lichy i lichy też był też ich sprzęt bojowy i wyposażenie.

Zaraz po wkroczeniu Sowietów pojawił się samochód propagandowy i z głośników na nim umieszczonych usłyszeli ludzie, że to armia sowiecka przyszła nas wyzwolić od panów i burżujów.

Niezależnie od tego zorganizowano wiec na środku wsi. Ludzie przyszli z ciekawości co będzie i co będą mówić bolszewicy. Mówili o oswoobodzeniu, o rajach u nich w kraju, zachęcali gospodarzy by zabierali mienia pozostawione w dworach przez właścicieli ziemskich w Uhrusku i Majdanie. „Bierytie, eto wsio wasze.” - zachęcali mieszkańców okolicznych wsi (jak łatwo rozdać się cudze mienie). Niektórzy brali to co tam pozostało po spłądowaniu przez bolszewików.

Ciekawie zachowali się Żydzi po wkroczeniu bolszewików. Niektórzy z nich (młodzi mężczyźni) założyli opaski czerwone, dostali od Sowietów karabiny i zaczęli pełnić służbę w policji.

Na Bugu rozpoczęto budowę prowizorycznego mostu z podkładów kolejowych, po którym zaczęły przechodzić kolumny wojsk i przejeżdżać pojazdy wojskowe.

Zamieszkałych w sąsiednich wioskach Ukraińców namawiano, by emigrowali do ZSRR, bo tam jest tak dobrze, chyba najlepiej na świecie. Wielu z nich pojechało. Jaki ich tam spotkał los, do dziś nie wiadomo. Można się tylko domyślać.

Przeprowadzamy się ze stodoły do Nowosadów, do Józki. U nich przybyła jeszcze jedna osoba, Józka urodziła w lipcu drugą córkę, nazywa się Janka. Niedawno ją ochrzcziliśmy – jestem jej ojcem chrzestnym. Wprowadziliśmy się do kuchni, a oni zajmują pokój. Kuchnia i pokój to duże pomieszczenia, tak że miejsca jest dość – wprawdzie kuchnia jest wykorzystywana wspólnie, ale siostry Józki i Marysia to dobre babki i zgoda między nimi panuje zupełna.

Na tę sytuację narzeka tylko nasz ojciec, bo daleko stąd (od prawie połowy wsi) do naszych zabudowań gospodarczych, a więc do inwentarza.

Zwolna, ale wciąż, zmieniają się władze w powiecie i gminie. Sowieckie wojska wycofały się na mocy umowy ze swym sojusznikiem Niemcami na wschodnią stronę Bugu. Bug ma stanowić teraz granicę. W gminie urząd wójta objął Nelson – Niemiec, który dotychczas pracował jako robotnik w hucie szkła Nadbużanka. Organizuje się niemiecka straż graniczna, która ma strzec granicy na Bugu. Skończył się exodus Żydów na wschodnią stronę rzeki, bo oprócz sowieckiej straży chroni ją teraz również niemiecka straż graniczna i przekroczenie granicy w tych warunkach jest prawie niemożliwe.

Niemiecka straż graniczna zajęła szkołę w Woli Uhruskiej na swoją placówkę. Kwaterują tam teraz niemieccy żołnierze ze swoim komendantem na czele. Sąsiednia placówka powstała w Bytyniu (wybudowano barak mieszkalny dla straży) i w Uhrusku - w pałacu właściciela dóbr Uhrusk. Takie placówki straży granicznej powstały wzdłuż całej ustalonej przez Sowietów i Niemców granicy na Bugu.

Któregoś dnia nasz Antoś zaproponował mi, żebym pracował u niego w warsztacie stolarskim. „Będiesz ze mną robił.” – mówił Antoś. „Nauczysz się stolarki, no i może coś obaj zarobimy.” Zgodziłem się chętnie, bo nie miałem innej pracy. Zacząłem pracować pod koniec października 39r. Zarobić to my wiele nie zarobiliśmy. Do Antka warsztatu przychodziło wielu ludzi pogadać o wojnie, jakie będą jej dalsze losy, co w ogóle słychać i tak było prawie codziennie, tak że roboty w warsztacie prawie nie było. Stało zawsze w warsztacie duże pudełko pokrojonego tytoniu (wtedy sadziło się tytoń) no i odchodziła gadka.

Przy tej okazji nauczyłem się palić – niestety!

Pracowaliśmy tak chyba z miesiąc, aż tu pewnego dnia pod warsztat zajechali żołnierze niemieccy (straż graniczna), weszli do środka i kazali nam zbierać narzędzia stolarskie i ładować na samochód, warsztat stolarski też. Po załadowaniu tego wszystkiego, kazali nam również wsiadać do samochodu i pojechaliśmy do Uhruska. Zatrzymaliśmy się na dziedzińcu pałacu właściciela ziemskiego Niemirycza. Tu, w tym pałacu miała się mieścić celna straż graniczna oraz miał mieć swoją siedzibę komisarz straży granicznej całego odcinka Chełm – Uhrusk (Bezirkscholkomisar).

Pałac (12 pokoi, kuchnia, pomieszczenia gospodarcze) był dość mocno zdewastowany. Kiedy byli tu sowieccy żołnierze i wspaniałomyślnie ofiarowywali wszystko co było dookoła, niektórzy chłopci (i nie tylko) „obszabrowali” pałac. Zostały zdjęte z zawiasów i zabrane wszystkie okna i wszystkie drzwi. Drzwiczki metalowe od pieców też były powyrywane i zabrane. Po pałacu wiał wiatr i poniewierały się resztki papierów i różnych śmieci. Zadaniem naszym było wykonanie wszystkich okien i drzwi do pałacu.

Dokooptowano do nas czterech żołnierzy niemieckich, stolarzy (byli to Niemcy sudecy, rozmawiali po czesku), więc mogliśmy się z nimi porozumieć. Wszystkie prace wykonywać trzeba było ręcznie, gdyż nie było żadnych narzędzi mechanicznych ani do piłowania, ani do heblowania.

Niemcy dostarczyli materiały: deski i okucia do okien i drzwi. Pracowaliśmy tam całą zimę 39/40 r., a dojeżdżaliśmy do tej pracy rowerami (3 km). Płaca była raczej symboliczna.

Oprócz nas pracowało tu również kilku miejscowych Żydów z opaskami z gwiazdą syjonistyczną. Wykonywali prace pomocnicze – jak pompowanie i noszenie wody, piłowanie i rąbanie drewna na opał oraz różne inne prace. Był wśród nich wójt żydowskiej gminy (takie gminy żydowskie były u nas za okupacji). Z wójtem rozmawialiśmy często o sytuacji jaka była wówczas w kraju. Wójt, nazywał się Cyberman, pamiętam jak mówił: „Nie martwcie się, świat weźmie się za Niemców, znajdzie na nich odpowiednią maść i zastosuje.”

Teraz wiemy, że zanim świat znalazł tę „maść”, to Niemcy zdążyli wymordować kilka milionów Żydów, i nie tylko Żydów. W tym również Cybermana.

W pałacu w Uhrusku pracowaliśmy do wiosny 1940 r. Wykonaliśmy wszystkie okna i drzwi oraz urządziliśmy świetlicę tj. oszalowaliśmy ściany i wykonaliśmy specjalne świetlicowe krzesła i stoliki.

Wiosną zostaliśmy przeniesieni do sąsiedniej wsi, gdzie wybudowaliśmy dwa olbrzymie ocieplane baraki dla żołnierzy straży granicznej. Było daleko dojeżdżać, ale musieliśmy, bo z okupantem nie było żartów. Pracowaliśmy tam do wiosny 1941 r.

Wczesną wiosną 1941 r. nieoczekiwanie zaczęli przybywać do Bytnia, Woli, Uhruska frontowi żołnierze niemieccy i zaczęli kopać okopy, rowy strzeleckie wzdłuż linii Bugu.

Zdziwieni mieszkańcy przyglądali się temu i wróżyli, że obaj okupanci „złapią się za łby” co by nam bardzo odpowiadało! Żołnierze jednak wkrótce odjechali, tak niespodziewanie jak przyjechali. Pojawili się znowu w czerwcu i znowu zajmowali okopy. Pewnego dnia i wieczoru zaczęli wszyscy pisać listy, stąd wywnioskowaliśmy, że będzie atak na Sowietów.

Atak nastąpił w nocy nad ranem. Zagrzmiały działa, zaterkotały karabiny maszynowe. Wojna. Niemcy ruszyli szybko do przodu i za kilka dni zobaczyliśmy olbrzymie kolumny jeńców sowieckich konwojowane przez niemieckich żołnierzy. Maszerowali w kierunku Chełma – tam był obóz dla jeńców.

Wojna toczyła się dalej. Antoś nadal pracował przy barakach, a ja zostałem z pracy tej zwolniony i zaraz szybko otrzymałem wezwanie – kartę do wyjazdu na roboty do Niemiec. Musiałem uciekać z Bytnia, bo policja by mnie zmusiła do tego wyjazdu.

Wyjechałem do Chełma i zacząłem pracować w niemieckiej firmie Schmidt przy budowie parowozowni w Chełmie jako cieśla. Do domu do Bytnia przyjeżdżałem na niedzielę.

Mieszkaliśmy już we własnym domu. Całkiem niespodziewanie udało mi się wykończyć kuchnię jesienią ubiegłego roku i zamieszkaliśmy tylko w kuchni, ale we własnym domu, „stąpaliśmy” po swych własnych nie schodach wprawdzie, ale schodkach, których było kilka przed wejściem. Po tej tułaczce po obcych kątach, mieszkanie w swoim własnym domu to był „raj”. Jak udało mi się wykończyć kuchnię, żeby można było zamieszkać? Ano dzięki Antosiowi – kochanemu bratu, który odstąpił mi dwa duże okna, które przygotował do wstawienia do swojego pomieszczenia warsztatowego oraz ojcu, który kupił od Ukraińców, wyjeżdżających do ZSRR, troje drzwi. Obaj z Antosiem wstawiliśmy okna i drzwi, ja ułożyłem sufit nad kuchnią i częściowo nad pokojem z desek, które były przygotowane (zakupione) wcześniej przez ojca, a pan Motwicki wymurował kuchnię, piec i wykonał podmurówkę pod budynkiem. Cegła na te prace była zakupiona wcześniej przez ojca. Skończyła się tułaczka, mieszkaliśmy po kilku latach we własnym domu.

Nadal pracuję w Chełmie przy budowie parowozowni. Mieszkamy (było nas sporo pracowników spoza Chełma) w baraku obok parowozowni. Śpimy na piętrowych wojskowych łóżkach. Obiady gotuje firma na miejscu, ale bardzo marne te obiady, bez mięsa. Często na obiad bywa zupa z brukwi – jednym słowem „mortus”.

Prace prowadzą i sprawują nadzór majstrowie – Niemcy, dobrzy fachowcy. Pracuje nas kilkunastu cieśli, murarzy, betoniarzy oraz przydzieleni nam do pomocy jeńcy francuscy (murarze) i sowieccy (prace pomocnicze).

Niedaleko naszej budowy są dwa obozy jenieckie, jeden dla Francuzów, a drugi dla Sowietów. Różnice między tymi obozami były ogromne. Obóz jeniecki dla Francuzów był zorganizowany zgodnie (mniej więcej) z przepisami międzynarodowymi, natomiast obóz dla Sowietów był przygotowany na wyniszczenie mieszkających (w ziemiankach) tam jeńców. Na przykład zimą po głodówce dano jeńcom takie pożywienie, po którym wiadomo co było – biegunka. Robiono zbiórkę i ogłaszano: kto chory, niech wystąpi, pójdzie do lekarza. Wystąpiło bardzo dużo chorych. Wykonano zbiórkę i zaprowadzono ich do olbrzymiej nie ogrzewanej szopy, tam kazano im się rozebrać do naga, po czym zamknięto drzwi od szopy.

Z szopy słyhać było krzyki – „wypuście nas” – na początku głośne, później coraz słabsze, aż ustawały zupełnie – krótko mówiąc dokonywano masowych mordów przez zamrożenie.

Niedaleko obozu sowieckich jeńców, przy ul. Okszowskiej na skraju miasta, był plac ogromny, jakieś (szacunkowo) kilometr na kilometr. Na placu były kopane głębokie doły

(jakieś 2-3 m) i długie (około 100 m) jeden przy drugim. Do tych dołów zwożono nagie trupy jeńców na samochodach lub wozach konnych i widłami zrzucano ciała do dołów, widłami układano je warstwami i posypywano chlorem. Gdy dół był wypełniony prawie do pełna, przysypywano dół warstwą chloru i później ziemi. Takie to były wyniki sojuszu Hitlera ze Stalinem dla prostych żołnierzy sowieckich. To co tu napisałem wiem z obserwacji, bo kiedy pracowaliśmy przy budowie dachu parowozowni, to z dachu było widać jak przywożono trupy i zrzucano je do dołów.

Resztę opowiedzieli jeńcy, którzy z nami pracowali (przeważnie przy pracach ziemnych), a którzy to wszystko widzieli na własne oczy. Wątpię czy doczekali oni w tym obozie wolności.

Mieszkanie w baraku i obiady firmowe już nam tak obrzydły, że postanowiliśmy – ja i czterech kolegów – wynająć kawalerkę w Chełmie. Kawalerkę tę zaproponowała nam jedna z pracownic firmy, w której pracowaliśmy razem. Pani dysponowała mieszkaniem dwupokojowym z kuchnią bez urządzeń sanitarnych. Mieszkała z mężem (inwalidą) i z dwiema córkami, w wieku około 20 lat, nazywały się Bogda i Halina – nawet ładne, fajne „babki”. Pani odstąpiła nam jeden duży pokój, gdzie zaraz się sprowadziliśmy. Pokój był umeblowany skromnie, ale dla nas wystarczający. Teraz musieliśmy kombinować, żeby choć jeden raz dziennie zjeść coś gorącego. Różnie to bywało. Starsza pani Halina uczyła się w gimnazjum i ma zdolności do pisania wierszy. O tych naszych staraniach i organizacji wyżywienia i o nas samych napisała wiersz pt. „Jak Banaszkiewicz z Gębczykiem zupę gotowali”

Nieporządek, nieład wielki  
Rozrzucone spodnie, szelki  
Tutaj krawat, a tam ścierka  
Nic dziwnego - kawalerka

Kawalerka mój Ty Boże  
Człowiek pisać wprost nie może  
Bo ta granda Chryste Panie  
Ale to przemiłe dranie

U Perskiego „szpurna” mina  
Bo kotlety końskie wcina  
Łaski usiadł se za stołem  
Oparł się na rękę czołem  
I zawodzi smętnym basem  
Jak to on potrafi czasem

Lecz spójrzcie na Sawickiego  
Ten ma dosyć już wszystkiego  
Przemęczony trudem znojnym  
Śpi już cicho snem spokojnym  
Uśmiecha się przez sen miło  
Pewnie coś mu się przyśniło  
Coś miłego to być musi  
Pewnie marzy o Helusi

Banaszkiewicz zaś z Gębczykiem  
Wzięli się pod grabę z szykiem  
Poszeptali, pogadali  
Będą zupę gotowali

Ogniem bucha wewnątrz pieca  
Miłe ciepło wokół wznieca  
Pod pokrywką, wre, paruje  
To już zupa się gotuje  
Jeszcze tylko dosmakować  
Będzie zupka „pocałować”

A więc najpierw się posoli  
Każdy zupę słono woli  
A więc sypią, dosypują  
Biorą łyżkę i próbują  
Spojrzał jeden na drugiego  
Nie wychodzi coś nic z tego

Hm! Wiadomym jest to wszędzie  
Więcej soli - lepsza będzie  
Janek się więc rozmachuje  
Łyżkę soli dosypuje

W końcu Bogda przylatuje  
Co to, zupka się gotuje?  
Popatrzyła, powąchała  
Łyżkę soli dosypała  
Bo powiada moi mili  
Pewnieście nie posolili

W końcu wszystko jest w komplecie  
Zupka rzecz najlepsza w świecie  
Dobra, smaczna jak malinka  
Naszym chłopcom płynie ślinka  
Zasiadają z dobrą miną  
Lecz apetyt gdzieś zaginał

Janek do ust łyżkę bierze  
I uśmiecha się nieszczerze  
Banaszkiewicz kiwa głową  
Nasoliliśmy morowo!

Lecz cokolwiek się przydarzy  
Musi wypić kto nawarzy  
Więc kiwając głową smętnie  
Zjedli zupę aż doszczętnie

Za to później wodę pili  
Całe wiadro postawili  
Za oknami noc ponura  
Słota, plucha i wichura  
Deszcz o szyby pokrapuje  
Wiatr w kominie pojękuje

Wszyscy chłopcy śpią już pięknie  
Czasem któryś przez sen stęknie  
Tylko Janek, o mój Boże  
I Franciszek spać nie może

Coraz któryś koc swój bierze  
Na powietrze idzie świeże  
I wpatrzony w sierp księżycy  
Czarem nocy się zachwyca  
Nie przespali ani chwili  
Całą noc tak wychodzili

Romantycznie się nastraja  
Ten co słoń zupę wtraja

Trafnie tu Halinka opisała, to co zazwyczaj robiliśmy po południu, gdy przyszliśmy z pracy. Perski bardzo często wcinał kotlety z koniny, bo mu je przynosiła jakaś babka z miasta (jakaś kochanka), Łaski – stary kawaler – zawsze siadał za stołem, składał dłonie w pięść, opierał na niej głowę i buczał jakąś piosenkę. Sawicki zawsze po południu spał długo – opowiadał nam nieraz o swojej żonie, która się nazywała Helusia. Mogła mu się więc przyśnić. Ja i Janek Gębczyk czasami coś pichciliśmy w kuchni, no i kiedyś gotowaliśmy tę zupę, o której mowa w wierszu. Tak było! – tylko z tym soleniem to Halina „przesoliła”. Zupka była rzeczywiście trochę za słona, ale takiego sypania to nie było – no, ale poeta może przesadzać i upiększać. Z tym wychodzeniem i owijaniem się w koc też prawda. Ubikacja była w podwórku, więc jeżeli któryś musiał tam się udać w nocy, to opasywał się w koc, żeby mu było ciepło i żeby wyglądać jako – tako. Wtedy nie spaliliśmy w pizamach tylko w krótkich spodenkach albo w gaciach. Szlafroków też nie mieliśmy – więc sprawy rozwiązywał koc.

Halinka napisała również to jak się prezentuje każdy z nas osobiście. Nie pamiętam tych charakterystyk oprócz swojej, której kawałek cytuję:

„Teraz, który tam z kolei  
Chyba Franio, bo się śmieje

Sąd o nim wydać nie jest łatwo  
Proszę podejść tu pod światło

Trochę z lewa, trochę z prawa  
Hm! – niczego se postawa



Czarne oczy, czarne włoski  
Cera śniada, uśmiech boski

Lepiej się odsuńmy trocha  
Jeszcze która się zakocha...”

Czy tak wtedy wyglądałem? Kto to może stwierdzić po tylu latach? Ja sam już o tym zapomniałem.

Wszystko by było dobrze, mieszkało nam się też dobrze, gdyby nie to, że pewnego dnia wynikło jakieś nieporozumienie między Perskim a mężem pani domu. Jakieś sceny zażłości. Kłótnia była dosyć gwałtowna, obaj panowie dosyć często uderzali pięścią w stół (a chłopiska były potężne). Myślałem z przestachem co to będzie, gdy obaj panowie przestaną walić pięściami w stół, a zaczną nimi walić jeden drugiego. Do tego na szczęście nie doszło.

Perski oburzony wyprowadził się do swojej kochanki. Ja z Jankiem Gębczykiem wyprowadziliśmy się na kawalerkę przy ul. Lubelskiej 8. Reszta też się wyprowadziła. Gdzie? - Nie wiem, nie pamiętam.

W nowej kawalerce też się dobrze mieszkało, tylko że za często były okazje do picia wódki, a ściślej spirytusu tzw. „bonieckiego” (pędzony był w m. Bończa). Spirytus o mocy według tamtejszych speców 96,5 %, to nie było dla mnie. Poza tym Janek zapoznał jakąś babkę, która miała kontakt z Niemcami. To też było nie dla mnie i postanowiłem się wyprowadzić.

Wyprowadziłem się i jednocześnie zwolniłem się z pracy w firmie Schmidt. Wyjechałem z Chełma, powróciłem do Bytnia. W Bytniu mogłem się czuć względnie bezpiecznie, bo sprawy związane z wyjazdem (moim) do Niemiec już się przedawniły i nikt o mnie nie pytał w tej sprawie.

W Bytniu nic nowego się nie zdarzyło, ale w odległej od Bytnia 7 km wsi Sobibór Niemcy wczesną wiosną w marcu 1942 roku zaczęli budować obóz śmierci przeznaczony dla Żydów.

Obóz zbudowano w lesie w pobliżu stacji kolejowej Sobibór. Najpierw wykonano wysoki około 4m płot szczelny, tak żeby nikt nie mógł mieć wglądu co się za tym płotem dzieje. Później wybudowano bocznice i tor kolejowy, który odgałęział się przed stacją Sobibór i wchodził na teren obozu za płotem. Wokół płotu ustawiono pola minowe oraz tablice ostrzegawcze.

Wszystkie prace przy budowie tego obozu wykonywali Żydzi, których później w tym obozie zgładzono.

Obóz wyglądał dość prosto (jeżeli chodzi o uśmiercanie i spalanie zwłok). Transport kolejowy składający się zazwyczaj z kilkunastu wagonów, w których znajdowali się Żydzi, wjeżdżał na tor prowadzący do obozu i zatrzymywał się na jego terenie. Żydzi po opuszczeniu wagonów byli pędzeni przez SS-manów do pomieszczenia rozbieralni, gdzie kazano im rozbierać się do kąpielni. Po zdjęciu ubrań i zdaniu ich oraz wszystkiego co posiadali w „depozyt” musieli przejść do następnego pomieszczenia, o którym mówiono, że jest to łaźnia i będą mogli się wykąpać. Było ono przeznaczone do uśmiercania. Po wejściu odpowiedniej ilości osób pomieszczenie szczelnie zamykano i doprowadzano gazy spalinowe kilku silników, później stosowano cyklon.

Zwłoki wynosiło specjalne komando składające się z wybranych przez załogę niemiecką Żydów i palono je w przygotowanych dołach.

Rzeczy zabrane do tzw. depozytu, a właściwie zrabowane Żydom, segregowano i co cenniejsze wywożono z obozu prawdopodobnie do Niemiec. Mniej wartościowe często były przedmiotem handlu. Ukraińscy SS-owcy ukradkiem wynosili je i sprzedawali w okolicznych wsiach. Mieszkańcy pobliskich wsi, a nawet odległego Bytnia od czasu do czasu odczuwali dokuczliwy swąd palonych ciał, a zależało to od kierunku wiatru.

Żydów do obozu zagłady Niemcy zwozili nie tylko z Polski, ale również z zachodniej Europy tj. Francji Belgii Holandii i innych okupowanych krajów. Żydzi z zachodu początkowo nie wiedzieli, że jadą do obozu zagłady, bo wmawiano im, że jadą do obozów pracy. Warunki w jakich podróżowali były całkiem znośne. Podróżowali w wagonach osobowych, było dużo swobody, dość dobre wyżywienie po to, by stworzyć trochę zaufania, by w czasie podróży nie buntowali się i nie uciekali.

Taka niewiedza trwała dopóki Polacy nie podali im po kryjomu wiadomości dokąd jadą. Wtedy następowało duże zamieszanie, ale SS-owcy szybko zaprowadzali ład przy pomocy pistoletów maszynowych. Pociąg ruszał szybko, no i lądowali w Sobiborze. Zdarzały się jednak ucieczki – nieudane, bo nie było na ucieczki żadnych szans – jedna czy dwie skończyły się masakrą uciekających.

Byłem świadkiem tragicznego zdarzenia związanego z ucieczką z transportu Żydów. Miało ono miejsce gdzieś między stacją Uhrusk a przystankiem w Stulnie. Nie byłem przy tej ucieczce tam gdzie ona nastąpiła, byłem wtedy na podwórku przy naszej stodole. W pewnej chwili usłyszałem strzał odwróciłem głowę i zobaczyłem biegnącą przez pole dziewczynkę ok. 12-14lat (nasze mieszkanie jest na końcu wsi, za nim tuż jest pole i łąki). Za chwilę zobaczyłem Niemca z karabinem, który biegł w dość dużej odległości za tą dziewczynką. Niemiec przystanął wycelował i strzelił po raz drugi – dziewczynka padła na polu. Niemiec przybiegł na nasze podwórko, gdzie oprócz mnie stał mój ojciec ze swoim znajomym Janem Baranowiczem ze Zbereża. Niemiec dobiegł do nich i krzyknął: „szpadl, szpadl” .Ojciec struchlały z przerażenia przyniósł łopatę, która stała gdzieś na podwórku. Niemiec kazał im obydwu iść i zakopać zwłoki dziewczynki. Zakopali. Przy zakopywaniu zobaczyli, że miała odstrzelony krwawiący palec u ręki – widocznie rezultat pierwszego strzału. Drugi strzał był śmiertelny. Niemiec odszedł, ale przed tym pokazał na migi, że mają trzymać język za zębami, bo inaczej kaput. Wiedzieliśmy co to znaczy, a po drugie gdzie mieliśmy iść poskarżyć się na tę ohydną zbrodnię?

Co działo się z Żydami mieszkającymi w Bytniu na Woli czy w Uhrusku? Na początku okupacji nosili opaski i byli używani do różnych robót, a później po kilka rodzin wywożono do Sobiboru na stracenie lub do getta we Włodawie, stamtąd później do Sobiboru.

Małżeństwo żydowskie z Bytnia : Teper z żoną i kilkorgiem dzieci chcąc uniknąć wywózki do Sobiboru ukryli się w pobliskim lesie. Teper wyszukał bardzo gęsty młodniak, wykopał tam ziemiankę, przykrył ją żerdziami, gałęziami, igliwem i ziemią i tam skrył się z całą rodziną – przebywał tam chyba dwa miesiące. Wykryli ich jednak Niemcy, którzy nie wiadomo jak dowiedzieli się, że w lesie ukrywa się rodzina żydowska. Poszedł po nich policjant i dwóch Niemców ze straży granicznej. Po dojściu do kryjówki kazali wyjść z niej rodzinie Tepera. Wyszli. Widok był okropny – byli oni wprost nie podobni do ludzi – wynędzniali, brudni, zawszeni i głodni. Przez dwa miesiące przebywali w tej kryjówce bez odpowiedniego zaopatrzenia – prawie bez wody do picia i prawie bez pożywienia. Przewieziono ich tak jak innych Żydów do Sobiboru.

Zagłada Żydów w Sobiborze trwała do połowy października 1943. W tym miesiącu wybuchł bunt uwięzionych w Sobiborze. Organizatorem i dowódcą buntu był jeńiec sowiecki. Bunt ten się powiódł, ale tylko częściowo. Zginęło 12 SS-manów i ok. 300 Żydów – ci zginęli od serii pistoletów maszynowych i na polach minowych. Ucieczka udała się ok. 600 Żydom.

Po buncie Niemcy zaczęli likwidować obóz w Sobiborze. Rozebrali i wywieźli wszystkie urządzenia i na miejscu, gdzie był obóz, posadzili las i częściowo zaorali, tak że trudno poznać miejsca, gdzie dokonywano masowych zbrodni.

W domu Marysia gospodarzyła dzielnie, stawiając czoła wszelkim trudnościom, których wtedy nie brakowało. Zastępowała nam naszą mamę. Jak mogła tak prowadziła to gospodarstwo, a musiała też wojować z ojcem, który ciągle chciał się żenić, a przy tym uciekinierzy zza Buga nauczyli ojca pędzenia dobrego bimbru, no i przy każdej okazji, zbyt często, próbował tego swego produktu. To było niepotrzebne i przy tym niebezpieczne. Tak że kłopotów było dosyć.

Jest rok 1943, zmienia się sytuacja II-ej wojny światowej, no i w Bytniu też. Przede wszystkim wstępuję do organizacji podziemnej Armii Krajowej, a było to tak: Przyszedł do mnie mój starszy kolega – Władek Zańczuk, podoficer zawodowy – i zaproponował mi żebym wstąpił do AK. Wyjaśnił mi krótko, że AK jest organizowana do walki z okupantem, na razie w konspiracji, a oddziały zbrojne w ukryciu. Do oddziału zbrojnego zaciąga się tych z AK, którzy zostali zdekonspirowani lub też z innych względów, na przykład gdy poszukiwani są przez Niemców. O żadnych politycznych stowarzyszeniach i o żadnych innych organizacjach podziemnych wtedy nie wiedziałem i Władek też nie wspominał. Późnym wieczorem odbyła się przysięga u Władka w mieszkaniu. Przysięgałem ja i jeszcze jeden kolega Kazik Zalewski. Na stole stał krzyż i obok paliła się świeca. Podnieśliśmy z Kazikiem dwa palce w górę i za Władkiem powtórzyliśmy słowa przysięgi:

„W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny  
Kładę swe ręce na ten święty krzyż, znak męki i zbawienia  
Przysięgam itd...”

Przysięga kończy się słowami: „a tajemnicy dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało”. Przysięga była podpisana przez Generała Grota. Broni nie mieliśmy i nie dostaliśmy. „O broń trzeba się w miarę możliwości samemu postarać, bo w każdej chwili każdy zaprzysiężony może być powołany do akcji zbrojnej” – powiedział na zakończenie Władek. Zdobycie broni wtedy było bardzo trudne. Miałem gdzieś w stodole zakopany karabin typu „Mauzer”, ale na razie nie było potrzeby go wydostawać. Na akcję na razie mnie nie wzywano – była tylko akcja – działalność informacyjna.

Za Bugiem tymczasem szaleli Ukraińcy, ściślej UPA – Ukraińska Powstańcza Armia. Postawili ci zbrodniarze sobie za cel wyrząść wszystkim Polaków za Bugiem, żeby tam była, jak mówili, tylko „Samostyjnaja Ukraina”. Piszę o wyrzynaniu polskiej ludności, bo były tam dokonywane ohydne, okrutne, bestialskie mordy polskiej ludności przy pomocy noży i siekier. Pewnego dnia zaczęli masowo przez granicę na Bugu uciekać na naszą stronę Polacy. Niemiecka straż graniczna ich nie zatrzymywała. Bytyń zapełnił się uciekinierami, których mieszkańcy Bytnia gościnnie przyjęli.

U nas uciekinierów nie kwaterowano, bo nie było gdzie. Przychodziła tylko jedna rodzina na obiady. Później przestali i zaczęli lokować się w sąsiednich wioskach, z których dużo Ukraińców wyjechało razem z sowietami do ZSRR.

Nas odwiedzała moja i Marysi cioteczna siostra Lodzia wraz z mężem i 12-letnią córką, którzy cudem uszli z pogromu wsi polskich za Bugiem. Ta siostrzenica, córka siostry mojej mamy, mieszkała z rodziną we wsi polskiej Ostrówki za Bugiem. Tę wieś oraz sąsiednią – Ostrowiecka Wola – wyróżnili prawie całkowicie ukraińscy bandyci UPA. Lodzia z mężem i córką ocalili dlatego, że wtedy nie było ich we wsi. Przyszli, gdy mordowano, ale zorientowali się i ukryli pod stosem gałęzi, gdzie siedzieli aż do końca, do odejścia bandytów. Władek Kruk - mąż Lodzi - był radiotelegrafistą w 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Szybko dowiedzieli się jak było. Bandyci UPA po wejściu do wsi zarządzili normalnie zebranie mężczyzn z całej wsi w jednym większym mieszkaniu. Każdemu mężczyźnie, gdy wchodził do mieszkania kazano wejść do następnego pokoju, gdzie zadawano mu śmiertelny cios siekierą – jeżeli jeszcze żył, natychmiast rąbano dalej, do skutku. Tym sposobem wymordowano mężczyzn ze wsi Ostrówki i Ostrowiecka Wola.

Kobiety z całej wsi pognano do lasu i tam na polanie kazano im się położyć twarzą do ziemi. Mordercy chodzili i przystawiając lufę broni do głowy uśmiercali kobiety. Tak uśmiercono kobiety z obydwu wsi, które wymieniłem.

Dzieci wrzucano do studni. To robili mordercy, dla których ukraińscy działacze chcą stawiać teraz pomniki w Polsce.

Siedzieliśmy i słuchaliśmy z przerażeniem tego co opowiadali oboje nasi kuzyni. Płakaliśmy wszyscy długo w ten wieczór. W kilka dni potem spotkałem dziewczynę, która jako jedna z kobiet mordowanych w Ostrówkach leżała wtedy na polanie twarzą do ziemi. Bandyta strzelił jej w głowę, ale kula prześlizgnęła się po czaszce i dziewczyna ocalała. Bandyta był przekonany, że ją zabił i poszedł zabijać następne. Dziewczyna udawała martwą, aż do odejścia oprawców, później wstała i udała się po ratunek do ludzi.

Gdy rozmawialiśmy widać było bliznę biegnącą od potylicy aż do czoła nad okiem. To ślad po kuli mordercy ukraińskiego UPA.

Pracuję teraz dorywczo u brata Antosia oraz w domu. Wieczorem ja i niektórzy moi koledzy lubiliśmy posiedzieć u Felki. Felka była krawcową, mieszkała po sąsiedzku niedaleko, a co najważniejsze miała zawsze kilka młodych uczennic, które u niej uczyły się krawiectwa. Było wesoło, rozmawialiśmy i żartowaliśmy z dziewczynami albo graliśmy w warcaby. Podkochiwaliśmy się w dziewczynach, ale one były bardziej zajęte szyciem niż nami, więc do większego zakochania się nie doszło.

Zakochałem się kiedyś w dziewczynie, ale nie w uczennicy Felki. Przyjechała do Felki latem na wakacje z Lublina jej kuzynka Gienia . Zaczęliśmy się spotykać i rozmawiać z Gienią, a trwało to chyba miesiąc. No i wyznaliśmy sobie miłość. Poza tym rozmawialiśmy o sprawach krajowych tj. o sytuacji jaka wówczas była w Polsce. Nie zgadzaliśmy się ze sobą, bo ona należała do Narodowej Demokracji – partii skrajnie prawicowej - i do jej organizacji podziemnej NSZ (Narodowe Siły Zbrojne). A ja miałem raczej poglądy lewicowe i nazywałem się utworów Żeromskiego, a zwłaszcza utkwili mi w pamięci: „Ludzie Bezdomni”, „Przedwiośnie”, i nowela „Słowo o Bandosie”. Miłość i dyskusja trwały krótko. Gienia musiała wracać do Lublina. Pisaliśmy do siebie dość długo, ale na tym się skończyło. Trochę było żal tej miłości. Cytuję tu urywek z jej listu: „Franku – drogi, jedyny Franku! – jedna rzecz mnie niepokoi i boli. Pamiętasz jak żegnałeś się ze mną, odchodząc zdjąłeś czapkę i z takim dziwnym uśmiechem ukłoniłeś się. Tak wyglądało, że odchodzisz

na zawsze. Franku, ja nie chcę!” Miała rację, rozeszliśmy się na zawsze. Nie bardzo pasowaliśmy wtedy do siebie. Ona wykształcona, a ja prosty chłopak ze wsi, ale ona na to nie zwracała uwagi – ja tak. Poza tym ja miałem poglądy i zapatrywania inne, a ona inne – no i wyszło tak jak wyszło. Przysłała mi wtedy Gienia wiersz Iklakiewicza „O polskim żołnierzu” – wiedziała, że należę do wojskowej organizacji podziemnej AK. Wiersz ten pamiętam, a ponieważ jest piękny i patriotyczny więc go zacytuję:

### O polskim żołnierzu

Wichurą niesiony przebiegłeś świat  
Od tyłu, od tyłu bolesnych lat  
W przedziwnym z wolnością przymierzu  
Tysiące męczeńskich przebyłeś dróg  
Nie wiedząc kto brat Ci, nie znając kto wróg  
Żołnierzu, polski żołnierzu!

Pod świstem proporców, pod błyskiem pik  
Ułańsko – strzelecki ulatał krzyk  
Za Polskę! do szabel! do broni!  
I zastęp rycerski wyrastał jak łan  
I znowu krwawiła pierś polska od ran  
I mogił przybyło na błoni

Głęboko pod ziemią zarzewiem tli  
Skarb drogi przelanej bezcennej twej krwi  
Na swoim i obcym pobrzeżu  
I przyszła godzina gdy spełnił się czar  
I buchnął płomieniem tej krwi wolnej żar  
Żołnierzu, polski żołnierzu

Słyszycie? to huczy nad światem sąd  
Niewola opada z ludzkości jak trąd  
Pękają łańcuchów ogniwa  
Przy gromów pomruku, wśród krzyku surm  
Ostatni huzarski gotuje się szturm  
Na skrzydłach do biegu się zrywa

Nadchodzi godzina już widać cud  
Rozcina wiekowe pieczęcie u wrót  
Archanioł w ognistym pancerzu  
A za nim tuż wali zwycięski twój szyk  
Pod świstem chorągwi pod błyskiem pik  
Żołnierzu, polski żołnierzu

Wiersz ten dzisiaj nie robi specjalnego wrażenia, ale wtedy, gdy kraj był w niewoli, podnosił ludzi umęczonych tą niewolą na duchu, budził nadzieję na wolność i dlatego go umieściłem w tych swoich wspomnieniach.

Tymczasem w Bytyniu zaczęło coś się dziać. Do bunkrów i schronów wybudowanych na skraju Bytynia – to jest Podmaleniu – w ubiegłych dwu latach przez junaków, zaczęli przybywać Ukraińcy z SS Galizien i zamieszkali w tych bunkrach. Bunkrów było około 10. Były ze sobą połączone rowami głębokimi na około 2 m i przykryte belkami drewnianymi i ziemią. Wszystko było dokładnie zamaskowane.

Teraz cały ten punkt oporu tj. całe Podmalenie zostało otoczone zasiekami z drutu kolczastego. Wszystkie zabudowania końca wsi znalazły się w obrębie tych zasieków. Na drodze do wsi była brama i stał wartownik, a wieczorem i w nocy była zastawiona i nie wolno było przechodzić. Trzeba było bardzo uważać, bo z Ukraińcami z „SS” nie było żartów i można było łatwo stracić życie.

Takich jak ten punktów oporu powstało więcej. W sąsiednich wsiach tj. Zbereże i Rudka, położonych nad Bugiem jak Bytyń, powstały również podobne punkty oporu obsadzone przez ukraińskie „SS”. Szeregowcy z tych jednostek to byli Ukraińcy, natomiast oficerowie i podoficerowie to byli Niemcy też z „SS”.

Tak to trwało chyba, o ile pamiętam, około dwóch, trzech miesięcy. Wkrótce doszła do nas wiadomość, że w punktach oporu we wsi Rudka i Zbereże Ukraińcy zamordowali oficerów i podoficerów – Niemców, swoich dowódców, pucinali im głowy i wbili je na kołki od płotu, a sami uciekli za Bug do swoich, którzy tam mordowali Polaków. Wystraszeni tym oficerowie niemieccy w Bytyniu odebrali broń swoim podwładnym Ukraińcom i po kilku dniach wszyscy załadowali się na transport kolejowy w Woli Uhruskiej i odjechali. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że ten transport dojechał do stacji Żawadówka za Chełmem i tam kazano Ukraińcom wysiąść, a Niemcy z wagonów wysiekli z karabinów maszynowych całą tę kompanię Ukraińców.

Niemcy z SS, w czasie swego pobytu w Bytyniu urządzili sobie pewnej nocy makabryczną zabawę z mieszkającym na Podmaleniu kuzynem Czupryńskich Władysławem Jałtoszewskim.

W czasie nocnego patrolu zauważyli, że w mieszkaniu Jałtoszewskiego pali się światło więc wtargnęli do mieszkania i zaczęli rewizję, w wyniku której znaleźli kilka naboje karabinowych, które zostawili Niemcy, kiedy miesiąc temu kwaterowali u Jałtoszewskiego.

Natychmiast aresztowano go i przywiązano do drzwi mieszkania, które następnie podpalono. Jałtoszewski byłby spłonął żywcem, ale uratował go pan Motwicki, który uprosił żołnierzy ze straży pogranicznej, którzy przybiegli na widok płonącego budynku i mimo protestów SS Jałtoszewski został odwiązany od budynku, ale go aresztowano i odstawiono do więzienia, do Chełma.

Po pewnym czasie przeczytałem obwieszczenie niemieckie na charakterystycznym czerwonym arkuszu, że Jałtoszewski został rozstrzelany za nielegalne przechowywanie amunicji.

Na tym samym ogłoszeniu widniało nazwisko (wśród kilku innych) mego kolegi szkolnego Mariana Wojeża, który też został rozstrzelany.

W wyniku zbrodniczych represji okupanta w Bytyniu aresztowało gestapo z Chełma czterech mieszkańców Bytynia, tj. Antoniego Zańczuka, Andrzeja Zalewskiego, Władysława Zalewskiego i Bronisława Hacıuka.

Aresztowanie nastąpiło wskutek zdradzieckiego donosu (tak twierdzą rodziny aresztowanych) byłego podoficera zawodowego, który udawał przyjaciela aresztowanych, a później zdradził.

Wszyscy czterej zginęli w Oświęcimiu. Aresztowania miały miejsce również w Woli Uhruskiej w 1943r., gdzie aresztowano nauczyciela naszej szkoły Wincentego Kłosa i gospodarza Józefa Uhruskiego za organizację walki podziemnej.

Najwięcej osób aresztowano w Nadbużance, gdzie organizowano, a później przeprowadzano walki partyzanckie na terenie pow. włodawskiego, a później również w powiatach sąsiednich.

Aresztowano wtedy bardzo wiele osób: prawie całą rodzinę Franasów, połowę rodziny Pasikowskich i Donalda Gębickiego.

Józef Uhruski, Wincenty Kłos i Donald Gębicki zostali zamordowani w obozie koncentracyjnym Stutthoff niedługo po aresztowaniu.

Zygmunt Franas i jego ojciec Jan Franas zostali rozstrzelani w 1944r. w Borku k/Chełma.

Aniela Franas i Stanisław Pasikowski (senior) zostali osadzeni w więzieniu na Zamku Lubelskim, gdzie przebywali do wyzwolenia w 1944r. Janina Pasikowska i Zofia Franasówna zostały wywiezione do obozu Ravensbruck, gdzie przebywały do 1946r.

O terrorze i zbrodniach okupanta, a zwłaszcza o walkach, które z okupantem prowadzili partyzanci z Nadbużanki, Bytnia i wielu innych wsi zorganizowani później jako Lotny Oddział AK „Nadbużanka” bardzo szczegółowo opisał w swojej książce wydanej w 2003 r. pod tytułem *Lotny Oddział AK „Nadbużanka”* uczestnik tych walk mgr Stanisław Pasikowski, a tym samym ocalił on od zapomnienia trud i poświęcenie żołnierzy AK, którzy walczyli, cierpieli, a wielu z nich poległo w tych walkach za ojczyznę.

Przez wiele lat nie bardzo było wiadomo o walkach, jakie stoczyli partyzanci z naszych stron, bo władze ówczesne nie sprzyjały rozgłaszaniu wiadomości o tych walkach.

Mgr Pasikowski nie tylko opisał te walki w swojej książce, ale był inicjatorem budowy wielu pomników, które wzniesiono w miejscach, gdzie walczyli i ginęli nasi partyzanci, również jest współorganizatorem uroczystości 3-cio majowych młodzieży i miejscowej ludności w czasie których odbywają się również apele poległych partyzantów. Pisze autor tych wspomnień mgr Stanisław Pasikowski: „Niech pamięć, o tych co walczyli trwa. Niech trwa!”

Wracamy od tych wspomnień na Podmalenie, do tych bunkrów, które opuścili Ukraińcy z SS Galizien.

Po upływie chyba 2-3 tygodni od wyjazdu Ukraińców z „SS” przyjechali nowi „goście” do tych bunkrów i obsadzili je. Byli to tzw. „własowcy w służbie niemieckiej armii”. Własowcy to byli żołnierze sowieckiej armii, którą dowodził gen. Własow. W 41 roku po krótkiej walce gen. Własow poddał się Niemcom razem ze swoją całą armią. Jeńców z armii Własowa Niemcy częściowo dobrowolnie, ale raczej siłą wcielili do niemieckiego wojska. Nosili oni mundury innego koloru niż Wehrmacht, był to kolor czarny. Własowcy byli bardziej przystępni niż Ukraińcy.

Tymczasem z frontu wschodniego dochodzą, coraz to dla nas pomyślniejsze, wieści. Niemcy, a właściwie niemiecka 6 armia po dowództwem gen. Paulusa została otoczona pod Stalingradem i częściowo zlikwidowana, a reszta poszła do niewoli. Niemcy ponoszą jedną klęskę po drugiej. Niemieckie „gadzinówki” (gazety) zamieszczają alarmujące wieści „Stepy zwały się na nas”, „Niemcy wycofali się na z góry zaplanowane pozycje i w odpowiednim momencie ruszą do kontrofensywy”.

Ruszali teraz nie raz jeden i nic z tego nie wyszło, nie byli już w stanie zatrzymać sowieckiej armii i samym przejść do ofensywy.

Rok 1944, do Bytnia przybywa bardzo duża grupa (ze 100 osób) ludzi, cywilów pędzonych przez Niemców aż z okolic Mińska, których skierowano do prac przy urządzeniu kolejnych rubieży obrony. Grupą kierowali wojskowi Niemcy. Ludzie ci, cywile, byli w opłakanym stanie, brody do pasa, brudni, głodni i osłabieni pracą i głodem. Po przybyciu do Bytnia zajęli się oczyszczaniem przedpola. W pasie wzdłuż Bugu wycinali wszystkie drzewa. Ogromne dęby, topole wysadzali materiałem wybuchowym. Niemcy wiercili świdrami pneumatycznymi otwory, zakładali materiał wybuchowy i wysadzali. Cieńsze drzewa szły pod piły i topory. Zmienił się krajobraz u nas nad Bugiem nie do poznania.

Również na naszym podwórku wycinano drzewa. Ścięto kilka dużych brzoź, które kiedyś sadił mój dziadek i ojciec oraz wiele drzew owocowych. Patrzyliśmy na to z żalem, ale to była wojna i ginęli ludzie, więc nie czas było żałować drzew, ale zawsze żal.

Lato 1944 r., a właściwie wiosna. Z bardzo daleka, zza Bugu dochodzą odgłosy wybuchów, to ciężka artyleria, to zbliża się front, to koniec niewoli. Nikt jeszcze nie wiedział, że nasi sojusznicy w Jałcie powierzyli nasz kraj człowiekowi takiemu samemu jak Hitler tj. Stalinowi, ale i tak prawie nikt nie wierzył, że zbliżająca się Armia Radziecka przyniesie nam prawdziwe wyzwolenie i wolną Polskę. Wierzono, że Stany Zjednoczone, Anglia, Francja nasi sojusznicy, rozwiążą te sprawy po myśli Polaków po zakończeniu wojny.

Tymczasem z radością nasłuchiwalismy dochodzącego do nas z daleka huku dział i bomb lotniczych. Jakie te odgłosy były miłe... ocenić je może tylko ten kto je wtedy słyszał. Odgłosy te zbliżały się coraz bardziej do nas.

W ślad za grupą oczyszczającą z drzew przyszło pole ostrzału nad Bugiem, zaczęły przybywać niewielkie oddziały niemieckich frontowych żołnierzy. Przygotowywali oni też obronę na Bugu. Do wycinania drzew zaczęto angażować również miejscową ludność. Front zbliżał się coraz bardziej do linii Bugu.

W tej sytuacji postanowiliśmy uciekać z Bytnia, żeby nie znaleźć się bezpośrednio w rejonie walk, które mogły lada dzień rozgorzeć na linii rzeki Bug.

Swój skromny dobytek znajdujący się w mieszkaniu tj. głównie pościel i inne rzeczy, umieściliśmy w piwnicy na podwórku, bo w budynku w czasie ewentualnych walk mogły spłonąć razem z budynkiem. Najniezbędniejsze rzeczy załadowaliśmy na furmankę, którą po nas przyjechał Leon Zalewski – nasz kuzyn – i wyjechaliśmy do rodziny tegoż Leona, która mieszkała kilka kilometrów od Bytnia na skraju dużego lasu zwanego przez tutejszych mieszkańców „werchlisie”. Rozładowaliśmy swoje rzeczy i czekaliśmy na to co będzie dalej.

Czekaliśmy niedługo, bo następnego dnia Sowieci sforsowali Bug w rejonie Włodawy i uderzyli ze skrzydła z boku. Usłyszeliśmy strzały armatnie z pobliskiego lasu, a pociski padały i rozrywały się obok sąsiedniego zabudowania. Ukryliśmy się w murowanej piwnicy i przesiedzieliśmy tam do wieczora i noc. W nocy Sowieci wyparli Niemców, no i pojawili się na podwórzu.

Wyszliśmy z piwnicy na podwórko i omal tego nie przypłaciliśmy życiem. Z lasu posypały się serie z karabinu maszynowego, które na szczęście nikogo nie trafiły, ani nas, ani znajdujących się na podwórku sowieckich żołnierzy. Spojrzałem w kierunku Bytnia i widziałem jak nad wsią unosił się dym, to paliły się czyjeś zabudowania – czyje? nie wiadomo, a może nasze? Obawa ścisnęła mi serce, tak niedawno spalił się nasz dom, wybudowaliśmy z trudem nowy, czyżby znowu czekał nas los podobny do tego sprzed kilku lat.

Jeszcze tego dnia widziałem walkę powietrzną samolotów. Niemcy w tej walce strącili dwa sowieckie samoloty. Piloci tych zestrzelonych samolotów wyskoczyli ze spado-



chronami, ale niemieccy piloci podjeżdżali do nich i ostrzeliwali seriami. Na spadochronach na ziemię wylądowali zabici piloci. Barbarzyństwo jakich wiele w tej wojnie.

Po kilku godzinach na drodze pojawiła się kolumna jeńców niemieckich, konwojowanych przez sowieckich żołnierzy. Losy wojenne się odwróciły. Niemcy – jeńcy szli dwójkami w skarpetach, bo buty (solidne niemieckie buty) Sowietci zabierali i sami je nosili, bo te sowieckie brezentowe „sapogi” były nic nie warte. „Wot waszyje frycy” mówili do nas, gdy z ciekawością przyglądaliśmy się tej kolumnie. Oni nie są nasi odpowiedzieliśmy, a w duchu dodałem – wy też nie! Przez łan dworskiej pszenicy tyralierą zbliżały się czołgi sowieckie, minęły nasze zabudowania i drogą obok lasu pojechały dalej w kierunku Chełma.

„Nawałnica” przeszła, trzeba wracać do domu. Pałała nas ciekawość co zastaniemy gdy wrócimy. Wróciliśmy, no i na szczęście zabudowania nasze ocalały. Spaliły się chyba dwa domy pośrodku wsi. U nas szkód większych nie było. Była rozerwana przez pociski jedna ściana obory, no a przy naszym domu jakieś 2 m widać było ślad po bombie zapalającej (stopiona ziemia w leju). W pobliżu domu rosnąca brzoza wyglądała jak pędzel – ściał ją pocisk z działa pancernego. Ta brzoza uchroniła ścianę domu przed pociskiem z działa. Tyle było wojennych szkód.

Front oddalał się od nas coraz bardziej na zachód w kierunku Wisły. Lublin wolny, Manifest Lipcowy ogłoszony, nareszcie wolność, ale ludzie nie cieszą się tak, jak powinni i nie szaleją z radości. Są nieufni, woleliby żeby to przyszli wyzwolicieli z zachodu, nasi sojusznicy. Nawet wieści, że wraz z sowieckim wojskiem jest 1-sza Dywizja Kościuszkowska nie budzi zaufania. Rzeczywistość jednak jest taka jaka jest – zobaczymy co będzie dalej.

W Bytniu i w gminie naszej specjalne zmiany nie zaszły, zmienił się tylko wójt, a urzędnicy zostali ci sami, no bo kto będzie szukał nowych. Zorganizowany został posterunek Milicji Obywatelskiej.

Często przyjeżdżali do gminy i do Bytnia żołnierze kościuszkowscy, ale byli bardzo oficjalni i nie można było z nimi pogadać po swojemu. Pewnego razu spotkałem żołnierza znajomego, który przed wojną mieszkał na Woli i z którym chodziłem do szkoły. „Cześć Jankiel!” - krzyknąłem uradowany. „Co robisz? Gdzie byłeś? Opowiadaj!” Jankiel (to był Żyd) wcale się nie ucieszył tak jak ja i odrzekł: „Jaki Jankiel?” -ja na to „Przecież ty jesteś Jankiel Baum i chodziliśmy razem do szkoły, nie pamiętasz?” „Chodziliśmy razem do szkoły, ale ja się teraz nazywam Bronek Zalewski, a nie żaden Jankiel – rozumiesz?” – odpowiedział.

Jankiel – „Bronek” zorientował się szybko, że wszyscy Żydzi z Woli Uhruskiej i okolicy zginęli w Sobiborze i posprzedawał ich domy, te które się dało sprzedać, ożenił się z córką Hołowacza – gospodarza z Majdanu – i wyjechał razem z żoną do Kanady.

W Hucie Nadbużanka szykowano się do wznowienia produkcji butelek. Poza tym nic specjalnego się nie działo, wszyscy czekali na dalsze wydarzenia.

1 sierpnia 44 r. - znamienna data wybuchu Powstania Warszawskiego. Dowiadujemy się o tym z nadzieją, że się powiedzie, że Sowietci uderzą. Tymczasem nic dalej nie wiadomo. Po chyba dwóch tygodniach przyszedł do mnie łącznik AK - J. Kozaczuk pseudonim „Lew” - i powiadomił mnie, że idziemy na pomoc powstańcom Warszawy. Zbiórka jutro o godz. 10 między torem kolejowym, a tzw. błotem (błotnista łąka) na ugorze. „Karabin masz?” – spytał Lew. „Mam.” - odpowiedziałem. „A więc do zobaczenia na zbiórce.”

Zbiórka odbyła się punktualnie, zebrał nas się spory oddziałek – chyba z 15 osób. Wszyscy pełni zapału, chociaż „towarzystwo” ubrane i obute łąco – za okupacji trudno było o materiały przemysłowe. Któryś z kolegów żartobliwie zauważył, że idziemy niby w butach, ale ślady zostawiamy bosych nóg. Miał trochę racji...

Maszerujemy w kierunku szosy Włodawa - Trawniki – Lublin. Zatrzymujemy się w lesie obok gajówki czy leśniczówki. Czekamy na inny oddział, który po godzinie przybył. Rano maszerujemy dalej, dołącza jeszcze jakiś oddział i mamy tabor – furmankę z amunicją i punkt sanitarny. Jest dowódca całości, który będzie nas prowadził i dowodził, tak że jesteśmy w komplecie.

Przekraczamy szosę Włodawa – Lublin i maszerujemy dalej. Niepokoi nas jednak czy nasza akcja – marsz jest uzgodniona z Sowietami.

Zapytujemy dowódcę czy nasz przemarsz jest uzgodniony z Sowietami. „Nie jest z nimi uzgodniony” – odpowiedział. „To co będzie jeżeli spotkamy Sowietów?” – zapytujemy dalej. „Jeżeli będzie mały oddział, to przejedziemy mu po brzuchu, jeżeli będzie duży to go ominiemy” – odpowiedział dowódca.

Dyskusji być nie mogło, bo dyscyplina była surowa, jeszcze większa jak w wojsku. Maszerowaliśmy dalej, ale niepokój ogarniał nas coraz większy. Zapytywaliśmy siebie co będzie jak spotkamy wojskowy oddział sowiecki i wywiąże się walka. Maszerowaliśmy jednak dalej poboczami po obu stronach szosy. Po godzinie marszu dowódca otrzymał jakiś meldunek i nagle wydał rozkaz - zesłaliśmy z szosy do pobliskiego lasu, gdzie zatrzymaliśmy się na jego skraju.

Dowódca zarządził zbiórkę w lesie i powiedział: „Wracamy z powrotem. Wracać będziemy nie grupowo lecz pojedynczo, po dwóch lub trzech. Co 10-15 minut będziecie opuszczać las i wracać do domu. Wychodzić w różnych kierunkach tak żeby nie zwracać na siebie uwagi. Marsz zakończyliśmy, gdy zajdzie taka potrzeba to was wezwiemy ponownie.”

Następnie dowódca wyznaczył kilku ludzi do ukrycia broni i rozkazał: „Rozejść się i wykonać rozkaz!”

Rozeszliśmy się zaskoczeni takim obrotem sprawy, no i trochę zawiedzeni, że nie będziemy mogli wziąć udziału w walce w Warszawie. Nikt z nas nie zastanawiał się nad tym w jaki sposób oddział w tych warunkach mógł dostać się do Warszawy i wziąć udział w walkach.

Ja i dwóch moich kolegów, Kazik Suchań i Staszek Jatczak postanowiliśmy iść razem we trzech. Przed wyjściem z lasu wstąpiliśmy do stodoły na skraju lasu. Chłop w stodole młócił żyto z tegorocznych zbiorów. Młócił cepem. Przystanęliśmy w drzwiach stodoły i patrzyliśmy przez chwilę jak chłop walił cepem po snopkach na klepisku.

W pewnym momencie Jatczak zwrócił się do chłopca: „Gospodarzu!” – chłop przestał młócić i odwrócił się do nas. Jatczak mówił dalej: „Czy nie moglibyście każdemu z nas „przyłożyć” po dziesięć takich cepów po plecach?” –chłop się roześmiał, my też. Byliśmy trochę zawiedzeni tym powrotem do domów.

Poszedłem z Kazikiem Suchaniem w drogę powrotną. Bolały nas nogi, ale trzeba było iść, bo wieść o nas prawdopodobnie zanadto się rozeszła i zrobiło się niebezpiecznie, więc trzeba było szybko dawać „drapak” z powrotem.

Gdy przyszedłem do domu i trochę się ogarnąłem po tym marszu, moja siostra Marysia podała mi papier ze słowami: „To do ciebie” – jakieś wezwanie do wojska.

Spojrzałem na ten papier – było to wezwanie bym stawił się na wojskową komisję lekarską we Włodawie celem poboru do wojska.

Po kilku dniach pojechałem wraz z kilkunastoma kolegami z Bytynia na komisję lekarską do Włodawy. W komisji zasiadali oficerowie polscy – kościuszkowscy. Badania były krótkie. Kto był żywy i się ruszał jako – tako, został uznany za zdolnego do służby wojskowej.

Otrzymałem na komisji kategorię A i przydział do 2 Brygady Inż.- Sap. Do tej Brygady otrzymało przydział jeszcze trzech kolegów. Pozostali otrzymali przydziały do 21 Zapasowego Pułku Artylerii.

Trochę byłem niezadowolony z tego przydziału do saperów. Wolałbym do artylerii, ale nic zmienić się nie da. Pojechaliśmy wraz z kolegami furmankami z powrotem do domu, do Bytynia, by czekać na powołanie do właściwych jednostek wojskowych, do których otrzymaliśmy przydział na komisji.

1-go września 44 r. to termin, w którym mamy się stawić - ja i moi koledzy w jednostkach we Włodawie. Znowu, tak jak na komisję, pojechaliśmy wyznaczonymi przez sołtysa furmankami do Włodawy (kolejowy tor był wtedy zniszczony), by zgłosić się do służby wojskowej.

We Włodawie zgromadziło się z całego powiatu bardzo dużo poborowych. Oficerowie organizowali grupy i maszerowaliśmy tam, gdzie miały być rozlokowane bataliony 2 Brygady tj. wsie Suszno, Różanka Stawki 10-15 km za Włodawą.

Znalazłem się w grupie liczącej około 80-100 poborowych. Ciekawie to towarzystwo wyglądało. Poubierani chłopcy rozmaicie, kto w czym mógł. Każdy miał coś na drogę, jedni w walizce, drudzy w kufunku, a jeszcze inni w zwyczajnym tobołku. Trochę to wyglądało jak banda Cyganów. Taka to była w czasie wojny sytuacja – na to nie ma rady.

Maszerowaliśmy kilka godzin. Po drodze nic się nie zdarzyło, tylko może to, że Jasiowi K. w czasie marszu po bardzo wysokiej skarpie przy dolinie Bugu, otworzył się kuferek i wypadł bochenek chleba, który mama dała na drogę. Bochenek był okrągły i toczył się szybko z bardzo wysokiej skarpy, a Jasio gonił za nim. Dopadł go aż w dolinie i w pośpiechu chciał go schować do kieszeni. To rozbawiło całą grupę.

Doszliśmy wreszcie do wsi Stawki, gdzie mieliśmy być zakwaterowani, umundurowani, uzbrojeni i wcieleni do pododdziałów.

We wsi Stawki z naszej grupy, obecni tam oficerowie, zaczęli formować pododdziały. Ja znalazłem się w 1-szym plutonie 1 kompania 29 batalion 2 Brygada Inż.-Sap.

Dowódca batalionu mjr Panow, dowódca 1 komp. ppor. Arżanowski, dowódca 1-go plutonu plut. zaw. Rakowski. Tak więc rozpoczął się nowy okres w moim życiu – służba w Wojsku Polskim.

### ROZDZIAŁ III

#### Służba w Wojsku Polskim

Tak więc zacząłem służbę w 2-giej Brygadzie Saperów. Brygada – jej pododdziały były rozmieszczone we wsiach w pobliżu Włodawy.

Sztab Brygady mieścił się we Włodawie, 24 bat sap we wsi Suszno, 26 bat-sap. we wsi Różanka, 27 i 29 bspap w Stawkach.

Moja 1-sza kompania 29 bspap została zakwaterowana w dużym murowanym domu w Stawkach. Dom był pusty - bez okien, nie zamieszkały, więc zakwaterowano tam wojsko. Pozostałe kompanie zostały zakwaterowane w wolnych pomieszczeniach w tej samej wsi.

W kompanii poznałem kilku chłopaków, którzy razem ze mną niedawno maszerowali do Warszawy na pomoc powstańcom. Więc poczułem się lepiej, bo dobrze mieć znajomych kolegów.

Moi koledzy z Bytnia trafili do innych pododdziałów tej samej Brygady. Ci, którzy na komisji otrzymali przydział do artylerii też trafili do saperów tj. do 27 batalionu naszej Brygady.

Tak więc do 2-giej Brygady Saperów, do której w znacznej większości zmobilizowani zostali chłopcy z powiatów włodawskiego, chełmskiego, hrubieszowskiego i zamojskiego, trafiło kilkunastu chłopaków z Bytnia, a byli to: Banaszekiewicz Franciszek, Borysiuk Stanisław, Hołowacz Tadeusz, Hacıuk Franciszek, Hacıuk Stanisław, Hacıuk Tadeusz, Jączak Stanisław Kozaczuk Władysław, Kozaczuk Antoni, Motwicki Marian, Nowosad Tadeusz, Soroczyński Stanisław.

Prawie wszyscy brali później po przeszkoleniu udział w forsowaniu Wisły i rozminowaniu Warszawy oraz zachodniego brzegu Wisły, a zwłaszcza przyczółków Sandomierskiego i Warecko-Magnuszewskiego, gdzie przez ponad pół roku wojska sowieckie i niemieckie ustawiły olbrzymią ilość pól minowych na znacznym obszarze. Wielu chłopaków z Brygady, w tym i z Bytnia, poległo na polach minowych o czym w dalszej części wspomnień.

Kilku chłopaków z Bytnia zostało zmobilizowanych do innych jednostek 2 Armii WP. Kazik Suchań i Kazik Zalewski trafili do jednostki pancernej i brali udział w walkach pod Budziszynem i Dreznem. Władek Zańczuk został powołany do Szkoły Oficerskiej Artylerii w Toruniu. Do 2 Armii WP powołano również podoficerów rezerwy między innymi Franciszka Zalewskiego i Franciszka Swyrydę. Brali oni też udział w walkach o wyzwolenie Polski

Po kilku dniach otrzymaliśmy broń, ale mundurów nie otrzymaliśmy. Chodziliśmy na ćwiczenia w tym co mieliśmy na sobie z domu.

Umundurowanie dostaliśmy chyba po trzech tygodniach – było niezłe jak na wojenne czasy. Mundury drelichowe z solidnego drelichu, płaszcze jak przed wojną, buty amerykańskie na gumowych spodach (podeszwach), czapki polskie - polówki.

Wyglądaliśmy więc dosyć dobrze i ćwiczyliśmy na rozległych łąkach nad Bugiem, normalnie tak jak ćwiczy się rekrutów, no i przygotowywaliśmy się do przysięgi.

Gdzieś po miesiącu ćwiczeń i przygotowań odbyła się przysięga wojskowa całej Brygady na łąkach nad Bugiem, na których ćwiczyliśmy. Przysięgę odbierał generał Berling, który przybył na tą uroczystość.

Po przysiędze generał miał przemówienie, ale nie pamiętam co mówił, tak się nasłuchałem później tych samych kazań, że mi się teraz wszystko pomieszało i nie pamiętam co, kto i kiedy mówił w tych przemówieniach.

Po przemówieniu generała odbyła się defilada, no i wojsko odmaszerowało na kwatery na obiad. Wyżywienie było bardzo słabe. Szczególnie nie lubiłem mamałygi, to coś w rodzaju kaszy z kukurydzy, ale nie było na to rady, trzeba było jeść to co było.

D-ca naszej kompani ppor. Arżanowski (Żyd rosyjski) poprosił mnie, żebym pisał rozkłady zajęć, raporty stanu osobowego, rozkazy itp. Krótko mówiąc - zostałem pisarzem kompanii. Chodziłem na ćwiczenia, pisałem i załatwiałem różne bieżące sprawy w kompanii, których nie brakowało.

Niedługo por. Arżanowskiego zastąpił kapitan Nizow (Rosjanin), który bardzo lubił wódkę. Skąd było brać wódkę? Namówiłem go więc, by dawał przepustki chłopakom, to oni wódki przyniosą, bo po wsiach pędzony był bimber na całego. Każdy więc chłopak, gdy z przepustki wracał do kompanii, przywoził z domu bimber. Kapitan był bardzo a bardzo zadowolony i chętnie dawał chłopakom przepustki.

Po 1-szym listopada z Brygady przyszedł rozkaz do naszego batalionu, by wytypować kandydatów do oficerskiej szkoły saperów w Przemyślu. Z naszej kompanii miało być wytypowanych kilku kandydatów (chyba czterech). Kpt. Nizow zlecił mi, żebym wytypował i mu przedstawił tych kandydatów.

Rozmawiałem więc z chłopakami i pytałem czy któryś chce iść na tę szkołę. Żaden nie chciał na ochotnika, a więc trzeba było wyznaczyć. Po namyśle i naradzie z dowódcą 1-go plutonu, plutonowym Rakowskim, który był jak to się mówi „swój chłop”, wytypowaliśmy czterech „pierwszych lepszych” i podałem ich nazwiska dowódcy kompanii.

Dowódca kompanii zapisał nazwiska, wezwał tych żołnierzy, oznajmił im, że są wytypowani na szkołę i że któregoś dnia, gdy przyjdzie rozkaz, zostaną tam skierowani.

Zbliżał się dzień 11 listopada. Ku naszemu zdziwieniu dzień ten wtedy potraktowano jako święto. Dowódca kompanii pozwolił wydać dużo przepustek z tej okazji – chyba na przepustkę poszło 2/3 stanu osobowego.

Ja też udałem się na tę przepustkę na 3 dni. Maszerowałem piechotą około 50 km, bo tor kolejowy z Włodawy do Chełma przez Uhrusk był pozrywany. Do domu dotarłem 10 listopada około północy. W domu wszyscy się cieszyli, a Marysia jak to gospodyni, kazała mi przebrać się w cywilne ubranie, a wojskowe porządnie wyprała.

Przepustką cieszyłem się niedługo, bo nazajutrz do moich drzwi w domu zapukał niespodziewanie – kto? Trudno wprost uwierzyć – szef naszej kompanii. Przyszedł ze Stawek na piechotę do Bytnia, bo dowódca kompanii kazał mu „ściągnąć” mnie z przepustki do kompanii i to natychmiast. Dlaczego? – okazało się, że kandydaci wytypowani przez nas na szkołę nie zostali w Sztapie Brygady przyjęci i trzeba było wytypować innych, a tu prawie wszyscy na przepustkach.

Dowódca kompanii tak się „rozsierdził”, że sam wyznaczył nowych kandydatów, w tym mnie, a ponieważ byłem na przepustce, więc kazał szefowi kompanii pójść do Bytnia, sprowadzić mnie do Kompanii i skierować do Brygady skąd kierowano kandydatów do Szkoły Oficerskiej. Nie było innej rady jak udać się razem z szefem do Stawek do kompanii. Włożyłem więc mocno wilgotny po upraniu mundur i spodnie, na to płaszcz, pożegnałem się z najbliższymi i ruszyłem wraz z szefem w drogę.

Nie poszliśmy na piechotę, bo do Włodawy już chodził pociąg, więc pojechaliśmy pociągiem do Włodawy, a stąd kilkanaście kilometrów do Stawek. Do Stawek dobrnęliśmy

o 4-tej rano. Podoficer dyżurny kompanii przekazał mi rozkaz dowódcy, że wraz z trzema wyznaczonymi kandydatami mam dzisiaj o godz. 9 stawić się w Sztapie Brygady we Włodawie.

Zdałem więc szybko broń, pobrałem rozkaz wyjazdu od podoficera dyżurnego, spakowałem manatki i wraz z innymi (trzema) kandydatami pomaszerowałem znowu do Włodawy, by w oznaczonej godzinie stawić się w Sztapie Brygady. Nogi mnie jeszcze nie przestały boleć po tak dalekiej podróży na tę cholerną przepustkę do domu, a tu „apiat` ” maszeruj kupę kilometrów, ale młodość może jak się przekonałem wytrzymać bardzo wiele.

Doszliśmy do Sztabu Brygady w oznaczonym czasie. Komisja kwalifikacyjna nie rozmawiała z nami zbyt wiele. Po kilku pytaniach zakwalifikowano nas bez ceremonii do Szkoły Oficerskiej w Przemyślu jako kandydatów na podchorążych.

Wyszliśmy na dziedziniec. Przed budynkiem Sztabu już się zgromadził komplet kandydatów do Szkoły Oficerskiej z całej Brygady. Było, jak się dowiedziałem później, 60-ciu kandydatów.

Oficer radziecki w stopniu lejtnanta zarządził zbiórkę całości, ale źle mu to szło, bo nie umiał po polsku. Wdałem się z nim w rozmowę. Powiedział mi, że ma rozkaz całą grupę kandydatów doprowadzić do Przemyśla. Do Lublina na piechotę, a z Lublina do Przemyśla pociągiem. Powiedziałem, że to jest bardzo daleko na piechotę do Lublina, a później dopiero pociągiem, lepiej będzie od razu z Włodawy pojechać pociągiem, bo już tory kolejowe są odbudowane i chodzą pociągi na razie towarowe, ale my jako wojsko możemy pojechać towarowym. Lejtnant z początku nie bardzo chciał mnie słuchać, ale pomału dał się przekonać. Powiedziałem mu, że ja zrobię zbiórkę i poprowadzę oddział na stację k/Włodawy, bo on nie wiedział gdzie to jest i nie bardzo mógł się dogadać z kimkolwiek, bo nie umiał po polsku.

Wziąłem więc grupę na swoją komendę. Powiedziałem, że pójdziemy przez Włodawę do stacji, wsiądziemy na pierwszy napotkany pociąg towarowy i pojedziemy z przesiadkami do Lublina i Przemyśla. Lepiej tak, aniżeli maszerować na piechotę ponad 100 km. „Zgoda, zgoda” – usłyszałem w szeregu.

Wydałem komendy, ruszyliśmy naprzód ze śpiewem „Marsz, marsz Polonio”. W czasie marszu przez miasto ludzie wylegli na ulice, byli stęsknieni przez lata okupacji za Wojskiem Polskim. Mieliśmy szczęście, bo na stacji koło Włodawy stał pociąg towarowy, na który akurat ładowano siano i jeszcze jakieś towary – nie pamiętam jakie.

Załadowali się, jak kto potrafił, do wagonów. Było wygodnie, bo było siano. Czekaliśmy chyba ze 3 godziny i pociąg odjechał, a zatrzymał się dopiero w Chełmie. W Chełmie pełno sowieckiego wojska podążającego na front.

Nasz transport miał być częściowo rozładowany w Chemie, więc musieliśmy przesiąść się na inny pociąg towarowy zmierzający do Lublina.

W Lublinie przesiadliśmy się do pociągu osobowego i późnym wieczorem dojechaliśmy do Przemyśla. Ze stacji udaliśmy się do koszar gdzie nasz lejtnant zameldował oficerowi dyżurnemu nasze przybycie.

Podzielono nas na grupy, żeby było łatwiej przenocować, bo nie bardzo było gdzie spać. Koszary były zdewastowane, bez sprzętu, bez łóżek, bez żadnego wyposażenia. Szyby w oknach częściowo powybijane. Oficer dyżurny zaprowadził naszą grupę do pokoju w koszarach. Pokój był pusty, więc nam go przydzielono.

Do spania ułożyliśmy się na gołej podłodze na parkiecie, sumkę (plecak) położyliśmy pod głowę. Po ułożeniu się wszystkich na podłodze zrobiło się za ciasno. Jeden czy dwóch musiało spać stojąc, bo i siedzieć nie było gdzie. To była męcząca noc i dlatego ją zapamiętałem i opisuję.

Nazajutrz z naszej grupy została zorganizowana 1-sza Kompania podchorążych. Po dokooptowaniu kilkunastu również przyjętych do Szkoły Kościuszkowców kompania liczyła około 90-ciu ludzi.

Kompanii naszej przydzielono dwie bardzo duże sale w budynku koszarowym. Sale te trzeba było urządzić, tak by nadawały się do zakwaterowania. Były w tych salach tylko szafy żołnierskie i więcej nic. Z kompanii wybrano stolarzy i cieśli, którzy wykonali prycze do spania.

Prycze były piętrowe, na których ułożono sienniki, jeden obok drugiego. Dokoła prycz były zbudowane przylegające do nich ławy do siedzenia i składania na noc umundurowania w kostkę. Te prycze i ławy zajmowały prawie całe pomieszczenia. Pomieszczenia, krótko mówiąc, były przeładowane. W nocy, mówiąc żołnierskim językiem, można było siekierę umieścić pod sufitem i nie spadłaby, ale tu znowu ratowało nas to, że szyby w oknach były powybijane no i nigdy nikt nie palił w piecach, również w mrozy, bo nie było czym palić, więc dopływ powietrza świeżego był stale zapewniony. Na salach za to było zimno.

Do szkoły tymczasem przybywały następne grupy kandydatów. Zorganizowano i zakwaterowano razem 11 czy 12 kompanii takich jak nasza. Ogółem szkoła liczyła ponad 1000 ludzi (w przybliżeniu). Koszary, które zajęła szkoła, zajmowało kiedyś Wojsko Polskie, później niemieckie, teraz po wkroczeniu Sowietów koszary były puste. W koszarach nie było wyposażenia oprócz tych szaf, o których wspomniałem, trochę stołów i innego sprzętu kwaterunkowego w bardzo małych ilościach. Wszystko trzeba było ściągnąć ze wszystkich stron i wykonywać własnymi siłami.

W koszarach nie było prądu elektrycznego przez cały czas szkolenia. Urządzenia sanitarne były, ale na dużo mniejszą ilość żołnierzy. Trzeba było, więc wybudowano na terenie koszar tzw. latryny do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Mycie się podchorążych było bardzo utrudnione, gdyż było za mało punktów czerpania wody na tyle osób. Ponieważ przyszła zima, korzystano również ze śniegu (myto się śniegiem). Wieczorem do oświetlenia używano pudełek wypełnionych smarem do czyszczenia butów (prawdopodobnie), bo właściwie nie wiadomo było do czego Niemcy używali tego smaru, który pozostał tu w magazynach w dużych ilościach.

Do pudełka ze smarem wkładano knot i to się paliło zamiast lampy i kopcilo niesamowicie, ale co mogliśmy w tej sytuacji zrobić? – nic, poza wypluwaniem sadzy ze spalonego smaru. Tej sadzy wieczorem pełno było w powietrzu.

Wracam do naszej kompanii. Kompanię podzielono na 3 plutony. Ja trafiłem do pierwszego plutonu, zostałem mianowany do stopnia plutonowego i wyznaczony na zastępcę dowódcy pierwszego plutonu.

D-cą plutonu był ppor. Smółka, d-cą kompani por. Tarakanow, oficer radziecki, wykładowca ze Szkoły Oficerskiej w Moskwie.

Kadra dowódcza całej Szkoły (z wyjątkiem d-ców plutonów) oraz kadra wykładowców, to byli oficerowie radzieccy skierowani do nas ze Szkoły Oficerskiej Saperów w Moskwie.

Kompania nasza (również i pozostałe) szkoliła się w tym samym umundurowaniu, które dostaliśmy zaraz po wcieleniu do wojska i tej samej bieliznie bez zmiany chyba dwa miesiące, a może i więcej. Do łaźni po drugiej stronie Sanu chodziliśmy co soboty – łaźnia bardzo duża i wygodna, można się było ciepłą wodą pod prysznicem myć szarym mydłem do woli.

Mimo uczęszczania do łaźni (bez zmiany bielizny) pojawiły się wszy, które dokuczały niesamowicie, bo jak się ich pozbyć? Próbowaliśmy je wypalać w koszulach pod pachami

mi (gdzie było ich najwięcej) nad tymi lampkami z palącym się knotem w smarze, ale to nie pomagało, bo pojawiły się w mundurach.

Dopiero po przeszło dwóch miesiącach przysłała bielizna i umundurowanie. Poszliśmy do łaźni i przy wejściu rozbieraliśmy się i zostawialiśmy wszystko - umundurowanie i buty oraz bieliznę pościelową i koce, przechodziliśmy strzyżenie włosów, później mycie się pod prysznicem i wychodziliśmy z drugiej strony, gdzie dostawaliśmy wszystko nowe od A do Z.

W ten sposób wszystkie kompanie pozbyły się insektów i od tego czasu bielizna była zmieniana raz w tygodniu w czasie kąpieli w łaźni.

Teraz trochę o wyżywieniu w tej „kochanej” szkole. Stołówka była na dziedzińcu koszarowym. Dwie duże hale, w każdej były w dwóch rzędach ustawione świeżo wykonane z desek długie stoły i przy nich po obu stronach stołów także ławki. Przy każdym stole do posiłku zasiadało 10-ciu podchorążych, 5-ciu z jednej i 5-ciu z drugiej strony stołu.

Do każdego stołu obsługa kuchni przynosiła mały czarny chlebek (na 10 osób) i baniak z pożywieniem też na 10 osób. Na obiad zazwyczaj do tego chleba każdemu wlewało się do miski z baniaka jedną chochlę zalewajki ze starej, suszonej fasoli lub grochu. Powiem krótko: to trudno było jeść, ale się zjadło szybko, bo się było głodnym. Po tej zalewajce do każdego stołu przynoszono następny baniak z drugim daniem. Drugie danie było bardzo dobre np. kasza z konserwą amerykańską - bardzo dobra, tylko problem w tym, że każdy dostawał tej kaszy czy tego dania jedną łyżkę stołową, najwyżej dwie. To było prawie nic. Ze stołówki wychodziło się po każdym posiłku głodnym i z upływem czasu głód się pogłębiał.

Na śniadanie czy na kolację mniej więcej tak samo głodno: kromka czarnego chleba i 2-3 deko dobrej, amerykańskiej konserwy oraz czarna kawa zbożowa. Czasami była jedna chochla zalewajki. Myślałem nieraz czy nadejdzie wreszcie taki czas, że będę mógł się najeść chleba do syta. To święta prawda, że głodnemu chleb na myśli, bo nie myślałem wtedy o żadnych specjałach tylko o chlebie.

Szkolenie teoretyczne prowadzili wykładowcy radzieccy w salach wykładowych, które też były zimą nie opalane. Sale były wyposażone w pomoce naukowe, modele i ekspozyty przywiezione z uczelni z Moskwy - były wystarczające do nauki.

Ćwiczenia praktyczne odbywały się w polu na poligonie. Problemem w zimie było obuwie, które niedawno otrzymaliśmy. Były to buty z lichej świńskiej skóry na gumowych podeszwach i z brezentowymi cholewkami. Buty te w czasie ćwiczeń były całkiem mokre. Co robiliśmy żeby wysuszyć obuwie i onuce? – właściwie nic!

Po przybyciu z ćwiczeń chodziło się w tych mokrych butach aż do capstrzyku, bo przecież zapasowych butów nie było. Po capstrzyku, po zdjęciu butów, onuce się kładło pod prześcieradło i w nocy suszyło się je ciepłem własnego ciała. Buty wyschły bez suszenia po pewnym czasie – suszyć nie było gdzie, bo w piecach nie paliło się wcale.

Mimo tych złych warunków jak przemakające obuwie, mieszkanie w nie ogrzewanych pomieszczeniach w zimę, licha odzież, marne odżywianie, ani razu nie byłem u lekarza, nie miałem ani razu kataru. To chyba dlatego, że byłem młody, a młodość wytrzymuje bardzo wiele.

Początek dnia w szkole był podobny jak wszędzie w wojsku. Pobudka o 6 i biegiem na dziedziniec na zbiórkę, na gimnastykę poranną. Strój był prawie zawsze taki sam – każdy rozebrany do pasa bez koszuli chyba, że mróz był poniżej -10 stopni, wtedy w koszulach. Najpierw był bieg, 5-10 minut, a później 20-25 minut gimnastyki na 16-cie temp, zawsze to samo.



Po zakończeniu gimnastyki - mycie się obok pompy, bo była ona nieczynna, więc myto się śniegiem (a tej zimy śniegu było dosyć). W umywalni w kompanii było tylko 2 czy 3 krany, pod którym można się było myć, a „chłopa” do mycia – 90, więc było tak jak było.

Po gimnastyce - porządkowanie sali, sianie łóżek, zbiórka, raport dowódcy kompanii i marsz do stołówki na śniadanie. Przebieg śniadania i jakości potraw już opisałem. Po śniadaniu plutony maszerowały każdy w swoje miejsce na zajęcia, które trwały do godziny 14. Po 14 obiad, który też opisałam i z którego jak i z każdego innego posiłku wracaliśmy głodni. Po obiedzie tzw. praca świetlicowa, pogadanki i powtarzanie przerabianego materiału na wykładach.

W niedzielę o dziwo! Chodziliśmy do kościoła w Przemyślu. Kompanię do kościoła prowadził sam d-ca kompani kpt. Tarakanow. W rozmowie z nami po przyjeździe z kościoła Tarakanow chwalił zwyczaj chodzenia do kościoła, mówił, że ksiądz na kazaniu każe być dobrym człowiekiem i słowem d-ca kompani był zadowolony. Na Wielkanoc nasza kompania wystawiła pluton honorowy, który pełnił straż przy grobie Chrystusa – ja też tę straż pełniłem.

Co się specjalnego więcej w szkole wtedy wydarzyło? Gdzieś w styczniu 45 czy w którymś następnym miesiącu, Szkołę wizytował generał Karol Świerczewski. Odwiedził kilka kompanii, a później był wiec w hali sportowej, na którym generał przemawiał po swojemu. Nie pamiętam dokładnie co mówił, ale co mógł mówić generał do podchorążych wtedy to przecież wiadomo: trzeba zwyciężyć wroga i budować Polskę Ludową. Tak bym skrótowo określił godzinę przemówienia generała.

Jeden raz w szkole był alarm bojowy w nocy, bo w okolicy pojawiła się któraś z band UPA. Wyszliśmy w pełnym rynsztunku z bronią i amunicją i maszerowaliśmy kilka ładnych kilometrów, ale do spotkania z bandą nie doszło. Wycofali się oni, jak się później dowiedziałem, w góry.

Dobrze, że się wycofali, bo w walce z nimi niewiele mielibyśmy szans. UPA była dobrze uzbrojona przez wycofujące się wojska niemieckie w ciężką broń maszynową oraz moździerze. My mieliśmy tylko karabiny i trochę granatów. Można sobie wyobrazić spotkanie podchorążych naszej szkoły z tak uzbrojonym oddziałem UPA. Wróciliśmy nad ranem do koszar.

Pod koniec marca 45 r. przeprowadzono w szkole sprawdzian i spośród mających najlepsze wyniki w nauce podchorążych wytypowano chyba z półtorej setki, których zamierzano wcześniej awansować na stopień oficerski i wysłać na front. Ja też zostałem wytypowany. Pozostali podchorążowie mieli zostać na uczelni pełne trzy lata.

Zakwaterowano nas oddzielnie i intensywnie szkolono, a w połowie kwietnia przeprowadzono końcowy egzamin i odbyła się promocja. Promocja odbyła się skromnie. Przyjechał generał Półturzycki no i ceremonia się odbyła. Podchorążowie zostali mianowani na stopień oficerski podporucznika lub chorążego. Ja zostałem awansowany na stopień chorążego.

Przygotowano w związku z tym lepszy obiad, znowu przemówienia. Generał Półturzycki, trochę po żydowsku, zaapelował do nas: „Żebyście pamiętali, żeście byli pod szablą.”

Dostaliśmy nowe umundurowanie takie, że wstyd było się w nim pokazać. Materiał, z którego były szyte mundury trzęsły się jak galareta – był wyprodukowany w naszych fabrykach w Łodzi. Kompletnie nieudany.

Dostałem skierowanie do 2-giej Brygady Saperów, tj. tej, z której przyszedłem do szkoły. Sztab Brygady znajdował się wtedy w Radomiu, a bataliony były w terenie w województwie kieleckim i rozminowywały teren.

Do Brygady przybyło nas około 20-stu świeżo upieczonych młodszych oficerów. Zorganizowano z nas pluton i przez tydzień szkolono w wykrywaniu i unieszkodliwianiu min oraz wszelkiego rodzaju amunicji i materiałów wybuchowych.

Po tygodniu szkolenia wszyscy otrzymaliśmy po 10 dni urlopu. Udałem się więc do Bytnia, do domu.

W domu wszyscy się ucieszyli, bo tak długo mnie tam nie było. Ludzie w Bytniu gadali, że ja zostałem oficerem politycznym i że byłem na takiej szkole. Czego to ludzie złośliwi nie wymyślą.

W Bytniu ogólnie nic nowego, tyle że majątek Majdan Stuleński został rozparcelowany. Ziemię podzielono między fernali z tego majątku, no i niektórych rolników z Bytnia. Ojciec mój dostał też kawałek ziemi, ale nie miał jak zwykle szczęścia, bo to był zabagniony kawałek gruntu i do uprawy mało przydatny. Dobrą ziemię otrzymali fernali z tego majątku. W majątku w Uhrusku zorganizowano PGR.

Koledzy z AK, których roczniki nie były wcielone do wojska, zorganizowali się znowu do walki – jak mówili: „walczymy o wolność Polski.” „No dobrze” – mówiłem – „To z kim właściwie walczymy? Niemcy, a właściwie wojsko niemieckie daleko, z Sowiecami też nie, bo to za wielka dla nas siła. Więc z kim? – z tymi milicjantami, młodymi chłopakami? z chłopami którzy dostali ziemię? Czy walczyć ma Polak z Polakiem?”

Nie bardzo chcieli rozmawiać na ten temat. Sytuacja była trudna, bo UB polowało na tych co należeli do AK. Ja w wojsku nie przyznawałem się w ankietach do tego, że należałem do AK, zresztą składałem przysięgę kiedyś. Do przynależności do AK przyznawać się to było wielkie ryzyko, że się zniknie na zawsze.

Namawiali koledzy mnie, żebym pozostał, tzn. zdezerterował z wojska i działał razem z nimi, ale odmówiłem, bo ten rodzaj działalności i walki mi nie odpowiadał. Trzeba czekać co wielkie walczące strony postanowią. Dziś wiemy, że nasi sprzymierzeńcy w Jańcie oddali nas w „opiekę” Stalinowi.

Wtedy nie bardzo wiadomo było co robić. Nie podobała mi się akcja moich kolegów z AK, którą przeprowadzili wtedy, gdy byłem na urlopie. W wyniku tej akcji w sąsiedniej wiosce pobili gospodarza, bo nie chciał im dać klucza do chlewu, gdzie były świnie, więc wyrabali siekierą drzwi i zabrali chłopu chyba dwie czy więcej świń.

Pytałem później jednego z nich: „Po cholere wam potrzebne te świnie?” „Oddział ma swoje różne potrzeby” – odpowiedział. Potrzeby są zawsze i będą, ale zabieranie siłą dobytku gospodarzowi nic teraz nie usprawiedliwia.

Postanowiłem, że wrócę do wojska i po skończeniu urlopu pojechałem do Radomia do Sztabu 2 Brygady.

W Brygadzie dostałem przydział do 1-szej kompanii 24 batalionu saperów. Kompania ta kwaterowała wtedy we wsi Nietuliska w pobliżu Gór Świętokrzyskich. Udaliśmy się tam wozem zaopatrzenia. Na miejsce dotarliśmy po południu. Tu na razie byłem przydzielony do dyspozycji będącego przy Kompanii zastępcy dowódcy batalionu kpt Besaraba.

Miałem zadanie organizować obronę w razie napadu partyzantów na kompanię, gdyż w pobliżu w Górach Świętokrzyskich przebywała Brygada NSZ pod dowództwem sławnego Bohuna.

Oceniając sytuację, obrona nasza nie była wcale potrzebna, bo partyzanci nie mieli zamiaru nas atakować, gdyż nie stanowiliśmy dla nich zagrożenia. Gdyby chcieli nas zaatakować, to nie pomogłaby nam nasza obrona – wysiekliby nas „do nogi”. Wystarczyło by im zrobić jedną zasadzkę, którą bardzo łatwo mogli urządzić. Mój plan obrony, który sporządziłem to była, „zwyczajna lipa”, o czym dobrze od razu wiedziałem.

Obrona ta była nie potrzebna również dlatego, że zanim skończyłem ten plan i przedstawiłem kpt Besarabowi, kompania nasza przedyskutowała się do pobliskiego miasteczka Opatowa.

W Opatowie rozlokowaliśmy się w dwóch barakach stojących na skraju miasta i czekaliśmy na dalsze dyspozycje ze sztabu batalionu. Żołnierze doprowadzili sprzęt do porządku i próżnowali.

Wyszedłem do miasteczka, żeby zobaczyć jakie ono jest i trochę odetchnąć od żołnierskiego gwaru. Idąc ulicą spotkałem kpt Besarabę, który gdy mnie zobaczył podszedł do mnie i całkiem niespodziewanie zapytał: Czy ty nie budiesz piany jeśli ty wypijesz stakan, no dwa stakany wódki? (Czy ty nie będziesz pijany, jeżeli wypijesz kielich lub dwa kielichy wódki?)

Byłem zaskoczony tym jego pytaniem i odpowiedziałem, że nie. Poszliśmy dalej ulicą. Po chwili Besarab skręcił do pobliskiego budynku i zastukał do drzwi, a na mnie kiwnął ręką żebym szedł za nim.

Weszliśmy do tego budynku, a następnie do mieszkania, którego drzwi otworzyła jakaś kobieta. W mieszkaniu w dużym pokoju stał stół, a na stole ogromny litr bimbrowy i duży, chyba ze dwa kilogramy, połączony słoniny, obok tego kilka szklanek.

Za stołem siedział d-ca kompanii kpt Babalin – kumpel Besarabę (obaj byli Rosjanami) w towarzystwie dwóch kobiet – jedna była młoda, a druga starsza, chyba jej matka.

Besarabę wchodząc powiedział „zdrastwujtie”, po czym bezceremonialnie podszedł do stołu, wziął do ręki ten litr bimbrowy, nalał pełną szklankę, podał mi i rzekł: Na! Pij!

Zdumiany tym postępowaniem Besarabę i jego kategorycznym tonem wziąłem tę szklankę i wypilem. Besarabę nalał drugą i znowu krzyknął: Pij! Wypilem do połowy i powiedziałem Besarabowi: Do czorta z waszym bimbrem i wyszedłem z domu na ulicę.

Takie to przyjęcie powitalne zorganizował dla mnie kpt Besarabę.

Po kilku dniach pobytu w Opatowie, kompania została ściągnięta do Ostrowca Świętokrzyskiego, gdzie również stacjonował sztab batalionu. Zostałem przydzielony na dowódcę 1-go plutonu w miejsce lejtnanta Warkilazego, który został poważnie ranny przy unieszkodliwianiu miny i zwolniony z funkcji.

Pluton miał zadanie wysadzenia pocisków artyleryjskich zgromadzonych niedaleko Ćmielowa (słynna fabryka porcelany). Nazajutrz po objęciu stanowiska wyruszyliśmy piechotą z plutonem w kierunku Ćmielowa. Po wyjściu na szosę żołnierze zatrzymali dwie jadące przygodne furmanki i pojechaliśmy nimi aż do owego majątku, gdzie były pociski. Było ich bardzo dużo, bo dwie stodoły wyładowane były nimi po brzegi.

Załadowaliśmy dwie furmanki pociskami i pojechaliśmy do pobliskiego lasu je wysadzić. Robotami kierował plutonowy Rybak – mój zastępca – miał piękne sumiaste wąsy (przedwojenny podoficer zawodowy) wyglądał z tymi wąsami bardzo sympatycznie.

Pociski wysadziliśmy po czym udaliśmy się do pobliskiej wioski na obiad – prowadził nas i wszystko organizował plut. Rybak. Żołnierze rozeszli się po wsi, a my z Rybakiem weszliśmy do wskazanego przez niego mieszkania. W mieszkaniu na stole stał już przygotowany spirytus tzw. gorzelany, zakąski i się zaczęło...

Plut. Rybak jak się przekonałem był świetnym organizatorem, bo gdzieś po godzinie naszego posiedzenia przyjechały zamówione przez niego furmanki, które odwiozły cały nasz pluton (około 16 ludzi) do kwater do Ostrowca. Dobrze nam było w Ostrowcu, a z tym spirytusem gorzelnym to chyba zanadto dobrze, ale batalion nasz otrzymał rozkaz przedislokowania się do Sandomierza.

Po kilku dniach załadowaliśmy się na transport kolejowy i przenieśliśmy się do majątku w pobliżu Sandomierza. W budynkach tego majątku mieściła się kiedyś szkoła rolnicza, a teraz zajęliśmy ją na kwatery, ale też nie na długo, bo zaraz po przybyciu otrzymałem rozkaz udać się do miejscowości Dwikozy, aby wyszukać kwatery dla naszej kompanii. Udałem się więc do Dwikóz, zacząłem od sołtysa, który mi polecił kwatery w budynku szkolnym, bo nauki jeszcze po przejściu frontu nie rozpoczęto, a był to koniec maja 1945 r.

Kompania nasza przeniosła się szybko do Dwikóz (około 7 km od Sandomierza) i zakwaterowała w szkole. Kompania otrzymała zadanie rozminowania terenów przyczółka sandomierskiego na odcinku Zawichost – Wistka Szlachecka. Na tym odcinku przebiegał pas obrony niemieckiej mocno zaminowany, a tuż przed nim mniej więcej równolegle do niego pas obrony sowieckiej też zaminowany (każda pozycja była zaminowana), bo obaj przeciwnicy długi czas trwali na tych samych pozycjach (na przyczółku) i zaminowali teren wprost niesamowicie.

Teren ten zdążył na wiosnę porosnąć trawą, bo nikt na tych terenach nie rozpoczynał żadnych prac na roli, bo jak wspominałem tereny te były mocno zaminowane. Tam kompania nasza pracowała przy rozminowywaniu dwa sezony (sezon trwał od wczesnej wiosny do późnej jesieni) no i były też ofiary. Zaczęliśmy prace w maju 1945, a skończyliśmy w sierpniu 1946 r. Jak to było? Jak przebiegało rozminowanie wtedy na przyczółku?

A więc zajęliśmy kwatery w szkole. Kompania nasza liczyła 3 plutony po „plus, minus” 20 ludzi. D-ca kompanii (nowy) przybył do Dwikóz, a był to kpt. Nizow, ten sam który w Stawkach k/Włodawy wyprawił mnie na szkołę oficerską. Co za zbieg okoliczności! D-ca 1-go plutonu ja - F.Banaszkiewicz. D-ca 2-go plut. ppor Zygiert, a d-ca 3-go plut. chor Łukasiewicz. Szef kompanii sierżant Maronny. Mój zastępca sympatyczny, węsaty plutonowy Rybak został zwolniony do rezerwy – szkoda.

W Dwikozach zaprzyjaźniłem się z d-cą 2-go plutonu (a po tygodniu d-cą kompanii) ppor Zygiertem. Mieszkaliśmy w szkole w Dwikozach w jednym pokoju, opowiadaliśmy swoje dzieje i rozmawialiśmy o aktualnej sytuacji wojenno – politycznej.

Ppor. Zygiert urodził się niedaleko Żytomierza w ZSRR w rodzinie polskiej. Jego ojciec ponieważ był Polakiem i jako tako dawał sobie radę w tej niesamowicie trudnej sytuacji jaka wtedy była w ZSRR, został dość szybko aresztowany i skazany na karę śmierci. Zygiert pozostał z matką i młodszym bratem. W czasie wojny został powołany do wojska sowieckiego. Po rozbiciu jego jednostki przez Niemców dostał się do partyzantki sowieckiej Kowpaka, a później na szkołę oficerską w Riazaniu (polska szkoła). Po uzyskaniu stopnia oficerskiego został przydzielony do 2 Brygady Sap – no i spotkaliśmy się w Dwikozach.

Z rozmowy z nim wywnioskowałem, że to „swój chłop”, rozmawialiśmy szczerze i współpracowaliśmy przy rozminowywaniu terenów na przyczółku sandomierskim.

Pracy na przyczółku było bardzo dużo i była bardzo niebezpieczna, ale i bardzo pilna i konieczna ze względu na ludność cywilną, która zamieszkiwała te tereny. W czasie działań wojennych ludność cywilna albo sama uciekła z terenu przyczółka, albo została wypędzona przez wojsko niemieckie.

Po ofensywie styczniowej w 1945 r., kiedy wojska sowieckie wyparły Niemców z tych terenów ludność zaczęła wracać do swoich domów. Domy i zabudowania były albo całkowicie zniszczone, albo były to tylko szczątki zabudowań, ale ludzie wracali, bo gdzie mieli się podziąć. Powroty te były przeważnie tragiczne, bo tu wszędzie było pełno min i w czasie powrotów było bardzo dużo wypadków śmiertelnych lub kalectwa, zwłaszcza wśród dzieci.

Duże połacie – obszary żyznej sandomierskiej ziemi leżało odłogiem, gdyż wejście tam groziło kalectwem lub śmiercią.

Kompania nasza do rozminowania specjalnego sprzętu nie miała. Były wprawdzie wykrywacze min elektro – magnetyczne, ale były one bardzo mało przydatne, bo wykrywały one tylko miny z kadłubami metalowymi, a tam na przyczółku były ustawione przeważnie miny w kadłubach (obudowie) drewnianej lub tekturowej wysyconej smołą. Min w obudowie metalowej było znacznie mniej.

Do rozminowania więc używano bardzo prostego narzędzia tj. macki. Macka to był zwyczajny drewniany pręt o długości co najmniej 2 m zakończony ostrym, metalowym drutem. Nasi chłopcy wycinali w sosnowym gęstym lesie takie młode wysokie sosenki (tyczki), ostrugiwali je pozostawiając łyko i tym się posługiwali. Tyczki te były bardzo do tego celu przydatne. Tymi mackami wyszukiwano miny nakłuwając grunt raz przy razie. Można więc sobie wyobrazić mozolną pracę saperską. Dlaczego macka miała długość 2 m – dlatego, że zdarzało się iż przy nakłuciu (stuknięciu) macką, mina przeciwpiechotna wybuchała w odległości 2 m. Skutki były niewielkie, lekkie ogłuszenie, zasypanie oczu pyłem i piaskiem.

Otrzymywaliśmy dokumentację na sowiecki pas obrony dotyczącą zaminowania. Były to tzw. formularze pól minowych, ale były niedokładne, bo wykonywane w warunkach walki i trudno było się nimi posługiwać przy rozminowaniu – można się było wpakować na miny. Trochę jednak ogólnie można się było orientować.

Zanim rozpoczęliśmy prace na polach minowych trzeba było je rozpoznać. Wybraliśmy się więc obaj z ppor Zygiertem na to rozpoznanie. Wybrałem najpierw z dużej sterty formularzy sowieckich pól minowych i rzuciłem okiem na jeden z nich. Był na nim szkic terenu, na którym było pole minowe oznaczone czerwoną obwódką i azymuty do punktów orientacyjnych, według których powinno się przy rozminowaniu to pole odszukać.

W opisie szkicu zaznaczone było, że pole minowe było ustawiane nocą w czasie kontrataku nieprzyjaciela. Należało więc się domyślić w jaki sposób było ustawione w tych warunkach i jak dokładny jest ten formularz. Udaliśmy się w kierunku wsi Czernin, gdzie według formularza miało się znajdować jedno z bardzo wielu pól minowych.

Do wsi Czernin było około 3 km poszliśmy pieszo, bo nie było czym jechać. Mieliśmy wprawdzie trzy pary koni i trzy wozy, ale były to dzikie koniki łapane na stepach, a później oswojone – malutkie, płochliwe, tak że na przejażdżkę nam nie pasowały. Do Czernina doszliśmy po godzinie drogi. Kiedy znaleźliśmy się według mapy w rejonie wsi Czernin, zobaczyliśmy, że wsi nie ma – są tylko zgliszcza i ziemianki, które wykonali sowieci (znajdowaliśmy się w pasie obrony wojsk sowieckich). Dookoła jak okiem sięgnąć trawy i chwasty na polach. I gdzie tu szukać pola minowego w takiej przestrzeni? Próbowaliśmy odszukać punkty orientacyjne, do których przywiązane były pola minowe i które oznaczone były na szkicach. Okazało się, że tych punktów nie ma, bo po prostu zostały zniszczone później w czasie walk np. budynki pojedyncze drzewa itp. „Więc jak znajdziemy pola w takiej sytuacji?” – pytałem ppor Zygierta. „A coś ty myślał, że pole minowe w terenie, gdzie przez około pół roku toczyły się walki będzie wyglądało jak na formularzu na stole? Że dojdziemy do niego i zaczniesz rozminowywać?” – odpowiedział Zygiert. „Zanim do niego

dojdiesz to możesz wylecieć w powietrze lub stracić nogę, bo w czasie walk saperzy ustawią sporo tzw. dzikich pól minowych nie oznaczonych na żadnym szkicu czy mapie, gdyż nie było takiej możliwości”- ciągnął dalej Zygiert.

Tak więc stwierdziliśmy, że te formularze na nic nam się nie przydadzą i trzeba będzie mackami długo i cierpliwie szukać pól i poszczególnych min.

Teren dookoła to pobojuwisko porośnięte trawą i chwastami, widać było na nim pogruhotane w czasie walk czołgi, działa, samochody, wozy i zabite konie, a nawet jak się później okazało trupy żołnierzy, których nikt nie odważył się wydostać z zaminowanego terenu.

Z mapy, na której były naniesione pasy obrony sowieckiej i niemieckiej wynikało, że oba pasy składające się z dwóch lub trzech pozycji obronnych biegły w odległości 50-70m od siebie, a między nimi, przed skrajami obrony sowieckiej i niemieckiej, były ciągłe pola minowe przeciwpiechotne i na ważnych kierunkach przeciwczołgowe.

Miny ustawiane były nie tylko przed przednim skrajem obrony, ale także w głębi obrony.

Po tym rozpoznaniu w rejonie Czernina, dokładnie po raz drugi przejrzelśmy formularze pól minowych i ustaliliśmy, że zarówno przed przednim skrajem obrony sowieckiej, jak i niemieckiej są ustawione ciągłe pola minowe przeciwpiechotne.

Pola minowe tak niemieckie jak sowieckie były bardzo do siebie podobne pod względem budowy. Ustawiane na tych polach były cztery rzędy min przeciwpiechotnych w drewnianej obudowie (pudełko z dykty lub z cienkich deseczek o wym. 20/10/5 cm), w których były ładunki materiału wybuchowego w postaci kostki 200g trotylu i zapalnika naciśkowego ze spłonką i zapalem. Po nacisku (wejściu) żołnierza na minę, stopa ulegała pogruhotaniu przez wybuch kostki trotylu, w który uzbrojona była mina. Żołnierz tracił nogę i był wyeliminowany z walki.

Te miny ustawiane były w cztery rzędy odległe od siebie 1,5-2m, a w rzędach co ok. 40 cm jedna od drugiej. Można sobie wyobrazić jak olbrzymia ilość min była ustawiona naciągających się kilometrami polach.

Przed przednim skrajem obrony niemieckiej, oprócz wspomnianych min przeciwpiechotnych, ustawiane były bardzo groźne „S-mine”. Mina ta po naciśnięciu stopą wyskakiwała z ziemi na wysokości około 0,5m i wybuchała rażąc śmiertelnie w promieniu do 100m.

W głębi obrony też były ustawiane miny na głównych kierunkach spodziewanego ataku nieprzyjaciela. Były to głównie miny odłamkowe, ustawiane w trawie na niskich kołkach. Skutki rażenia takiej miny są podobne do granatu obronnego w promieniu 10m.

Miny przeciwczołgowe, tak po jednej jak i po drugiej stronie obrony, ustawiane były w pasach na kierunku spodziewanego ataku nieprzyjaciela.

Po tym rozpoznaniu ustaliliśmy, że prace przy rozminowaniu rozpoczniemy od wsi Czernin, bo tam do przedniego skraju obrony dochodziła droga – przejście wolne od pól minowych, która w czasie walk służyła do komunikowania się z tyłami i zapleczem. Z tej drogi będziemy plutonami wchodzić na przedni skraj obrony wzdłuż rowu strzeleckiego. Pluton każdy zajmie odcinek ustawiając żołnierzy saperów co 50m i zaczniemy w ten sposób rozminowywać pola przed przednim skrajem obrony a później w głębi obrony.

Porządek na rozminowaniu był taki, że rano była zbiórka o godzinie 8 ze sprzętem saperskim. Na zbiórce był również sanitariusz i furmanka konna do przewożenia rannych. Po sprawdzeniu stanu i raporcie, wymarsz na pola minowe, do których było około 3 km

marszu. W pobliżu pól minowych kompania dzieliła się na plutony – każdy pluton udawał się na swój odcinek rozminowania. Praca trwała do godziny 14, a następnie powrót do kwater na obiad. Po obiedzie był czas wolny – uprawiano przeważnie sport na szkolnym boisku.

Ja i Zygiert z zapalem czytaliśmy książki lub czasem pograliśmy w siatkówkę, a to dlatego żeby nie wpaść w nałóg picia wódki, której nigdy i nigdzie nie brakowało. Inna rzecz, że nie bardzo było za co kupować wódkę, bo moja pensja miesięczna wtedy, to akurat tyle ile kosztowało 1,5 litra wódki, a przecież nie samą wódką żyje człowiek nawet na rozminowaniu.

Rano znowu marsz na pole minowe. Pamiętam wymarsz na rozminowanie (pierwszy na przyczółku). Poszliśmy w kierunku wsi Czernin, którą miałem zaznaczoną na formularzu i przez którą przebiegało według szkicu pole minowe. Po dojściu na miejsce stwierdziliśmy, że tej wsi nie ma, a są tylko spalone szczątki domów no i ziemianki wykonane w czasie walk z okrągłaków lub z rozebranych budynków (w niektórych mieszkali teraz ludzie). Krótko mówiąc - wsi nie było, ale były pola minowe. Trudno je było odszukać, bo jak okiem sięgnąć szumiały trawy i bądź tu mądry. Kosztowało nas pracy i ofiar to rozminowanie niemało.

Już w pierwszym dniu w 3-cim plutonie zdarzył się wypadek. Na minę przeciwpiechotną wszedł saper Czeszej no i poharatało mu stopę, która nadawała się tylko do amputacji. Sanitariusz ścisnął nogę specjalną opaską, żeby się saper nie wykrwawił, potem na nosze i na furmankę i odjazd do szpitala do Sandomierza (około 7 km). Czeszej był w szoku i śpiewał jakieś nieprzyzwoite piosenki. Popatrzyłem na to i pomyślałem jak to ja będę śpiewał i czy będę – chyba baraním głosem będę śpiewał. Takich wypadków było więcej. Wtedy nie przyszło mi nawet do głowy ile razy będę o krok, a nawet o milimetry od takiego wypadku i jeszcze gorszych od tego, jakiemu przed chwilą uległ saper Czeszej.

W kilka dni później podobnemu wypadkowi uległ dowódca kompanii kpt. Nizow, któremu też mina przeciwpiechotna poharatała stopę. Dowódcą kompanii po odejściu Nizowa został mój kolega Zygiert. Rozminowanie nadal było kontynuowane.

Rannych w szpitalu odwiedzaliśmy w niedzielę i przynosiliśmy trochę żywności. Skąd braliśmy żywność? Niedaleko szkoły, w której kwaterowaliśmy była czynna fabryka marmolady, dżemów i soków owocowych – zresztą pracuje ona do dzisiaj. Obok fabryki była duża hala – stołówka dla pracowników. W tej sali urządzaliśmy czasem zabawę i dochód przeznaczaliśmy dla rannych (dochód bardzo skromny). Widziałem w czasie tych odwiedzin również rannych cywili ze wsi na przyczółku – było ich bardzo wiele.

Szczególnie mnie serce zabolalo, gdy zobaczyłem małego chłopczyka bez obu nóg. Nie zdawał sobie sprawy z ogromu swego kalectwa i bawił się tymi kikutami nóg, które mu pozostały po amputacji. Nie mogłem na to patrzeć.

Rozminowanie tego lata 1945 r. kompania prowadziła do listopada, po czym przenieśliśmy się do kwater w Sandomierzu. Kwaterowaliśmy w pomieszczeniach przeznaczonych dla zakonników, były to specjalne cele. Kwaterowaliśmy tam za zgodą władz kościelnych.

Wracając do pobytu na rozminowaniu w Dwikozach chcę wspomnieć, że w 2-giej kompanii naszego batalionu, która zajmowała następny odcinek (za naszym) do rozminowania poległ mój kolega z Bytnia – Antek Kozaczuk.

Powiadomił mnie o tym jego ojciec, który wraz z córką był na jego (Antka) i trzech jego kolegów poległych razem z nim pogrzebie we wsi Wilczyce niedaleko Sandomierza. W czasie rozmowy z Antka ojcem mówiliśmy o wypadkach samobójstw saperów na polu minowym w chwili gdy po wybuchu miny stwierdzili, że noga jest poharatana, bo to zdarzało się najczęściej. Kozaczuk mówił, że wolałby, żeby syn był kaleką byleby żył. Przenoco-

wali u nas i na drugi dzień pojechali do domu do Bytnia. Antek pozostał na zawsze na cmentarzu w Wilczycach.

W Sandomierzu kwaterowaliśmy dalej, a na Boże Narodzenie natura sprawiła nam niespodziankę, bo ruszył lód na Wiśle i musieliśmy w Święta bronić przez kilka dni i nocy mostu na Wiśle w Sandomierzu. Most został uratowany, a kompania nasza transportem kolejowym wyjechała do Radomia.

W Radomiu nie bardzo było co robić. Mój pluton od czasu do czasu chodził na szkolenie do parku, bo nie było placu do ćwiczeń dla pododdziałów Brygady. Spotkałem w Radomiu kpt. Besarabę, zastępcę dowódcy naszego batalionu. Besarab szykował się do wyjazdu do ZSRR i miał dużą walizkę pełną słoniny, którą chciał zawieźć do swojego kraju, do ZSRR – pilnował tej walizki jak oka w głowie. Nikt jednak wtedy nie miał chęci na słoninę.

Przypuszczam, że słoninę Besarabowi zabrali dopiero jego rodacy na granicy, bo ci na granicy to każdego wjeżdżającego oficera radzieckiego z Polski do ZSRR dokładnie obrabiali ze wszystkiego co wiozł ze sobą, bo taki mieli od władzy rozkaz.

Pod koniec stycznia nagle otrzymałem rozkaz, żebym wraz z plutonem udał się do Puław na ochronę mostu. Rozkaz otrzymałem w południe, że wieczorem tego dnia mam wyjechać z plutonem do Puław. Część mego plutonu była na warcie, część na służbie lub na przepustkach i bądź to mądry, zbierz ich i jedź za kilka godzin w drogę. Rozkaz nie gazeta, jak mówi wojskowe porzekadło. Zebrałem z trzech plutonów kilkunastu ludzi, załatwiłem formalności i prowiant i jako z pierwszym plutonem udałem się na dworzec w Radomiu.

Pojechałem z tym zbieranym plutonem pociągiem towarowym, bo na osobowy trzeba by było czekać chyba ze 6 godzin. W podróżowaniu pociągiem towarowym miałem już wprawę i doświadczenie z podróży do szkoły oficerskiej.

Około godziny 4-tej rano byliśmy już na stacji Puławy. Ze stacji do urzędu miasta tzw. magistratu było ponad 3 km, a sprzętu i zaopatrzenia mieliśmy sporo, więc obudziliśmy mieszkającego niedaleko stacji gospodarza i załadowaliśmy sprzęt i manele na sanie, pojechaliśmy do magistratu w Puławach i tam w poczekalni przesiedzieliśmy do 8-mej rano.

Rano skontaktowałem się z por Bandurkiem, dowódcą grupy dotychczas ochraniającej most, zakwaterowaliśmy mój pluton, przekazaliśmy sobie magazyn materiałów wybuchowych, obejrzelśmy w jakim stanie jest chroniony most i zapoznałem się z sytuacją jaka była tam w rejonie mostu po pochodzie lodów.

Sytuacja wyglądała tak, że jakieś 15 km od mostu w górę rzeki utworzył się w czasie pochodu lodów zator lodowy, który, gdy ruszy będzie stanowił zagrożenie dla mostu. Most był drewniany, wysokowodny, wybudowany przez sowietów w czasie działań wojennych i w razie gwałtownego spływu kry mógł się zawalić.

Miałem więc zadanie wraz z moim plutonem patrolować most w dzień i w nocy i w razie pochodu lodów wykonywać prace i czynności, by zator nie tworzył się na podporach mostu. Po przekazaniu sobie tych obowiązków i magazynu materiałów wybuchowych por Bandurek zaprosił mnie do swojej kwatery, gdzie mieszkał w czasie ochrony mostu.

Poszliśmy więc nie zwlekając. Por. Bandurek miał kwaterę blisko magistratu i blisko mostu. Mieszkał na kwaterze u państwa Misiurków, młodych małżonków zajmujących na II piętrze jeden duży pokój i dużą kuchnię. Bandurek miał tam ustawione łóżko w kuchni. Weszliśmy do środka. Gospodyni, pani Maria Misiurek była bardzo uprzejma i rozmawialiśmy około godziny, w trakcie rozmowy zapytałem czy ja mógłbym korzystać z kwatery i z łóżka por. Bandurka. Pani się zgodziła, tym bardziej, że w magistracie powiedzieli mi, że



nie mają kwater i żebym postarał się zamieszkać w kwaterze, gdzie dotychczas mieszkał mój poprzednik.

Tak więc zamieszkałem u Państwa Misiurków. Gdy przyszedłem wieczorem do tej swojej kwatery, był już w domu pan Henryk Misiurek – małżonek pani Marii, bardzo przy stojny i miły człowiek. Była również siostra pani Marii – panna Olesia (tak ją tu nazywano), która również tam mieszkała. Obie panie były w moim wieku i bardzo ładne, gościnne i miłe. Z panem Henrykiem Misiurkiem tego wieczora rozmawialiśmy o różnych sprawach chyba do północy. Zadzwońmy się więc u państwa Misiurków na dobre. Zapomniałem tu napisać o bardzo ważnym wydarzeniu u państwa Misiurków – przed dwoma tygodniami urodził się im bardzo przez nich oczekiwany syn.

Praca przy ochronie mostu polegała na ciągłej obserwacji i gotowości do ochrony. Ładunki materiałów wybuchowych mieliśmy przygotowane, obserwowaliśmy i czekaliśmy kiedy ten cały zator nadejdzie.

Zator nie nadchodził. Spływały tylko ciągle pojedyncze kry lub ich większe ilości, ale nie stanowiły one zagrożenia dla izbic lub podpór mostu.

Żołnierze z plutonu trochę mi się rozbisurmanili, bo przewozili szmuglerom bimber przez most za co dostawali pewną „dole” bimbrowa (na moście stał milicjant, który zwracał uwagę czy chłopcy – szmuglerzy nie przenoszą bimbrowa zza Wisły do Puław). Milicjant oczywiście żołnierzy moich nie kontrolował. Tym sposobem bimber szedł do Puław, a żołnierze z mego plutonu zaczęli pić bimber. Uprzedziłem milicjantów i proceder się skończył.

W domu na kwaterze wszystko było dobrze. Zaprzyjaźniłem się z domownikami, a zwłaszcza z Oleńką i przyjaźń z nią przerodziła się w coś więcej jak przyjaźń.

Rodzice Oleńki mieszkali we wsi Jaroszyn, po drugiej stronie Wisły w pobliżu mostu. Byliśmy tam jeden raz wtedy z wizytą, to znaczy Misiurkowie, Oleńka i ja.

Oleńka później opowiedziała mi po trochu dzieje swojej rodziny. Oboje rodzice Oleńki byli rolnikami. Gdzieś około roku 1910-15 kupili we wsi Jaroszyn dość duże gospodarstwo rolne, dobra jakość gruntów, bliskość miasta Puławy (około 1 km przez most) i gospodarzyli na tym z powodzeniem. Nazwisko ojca Józef Michta, matka Marianna z domu Pawlonka. Rodzeństwo to siostra Maria, o której pisałem, siostra (nieżyjąca) Helena, brat Stefan oraz brat (nieżyjący) – Jan. Oleńka mieszkała u siostry Marii, której pomagała po urodzeniu się dziecka, oraz częściowo pomagała rodzicom w gospodarstwie.

Rodzicom Oleńki dobrze się wiodło do wojny i nieźle w czasie wojny, aż do czasu, gdy wojska sowieckie rozpoczęły ofensywę z nad Wisły. Wtedy Niemcy zaczęli wysiedlać z pasa przylegającego do Wisły na zachodnim jej brzegu wszystkich mieszkańców.

Oleńka wraz z rodziną po załadowaniu tego co najcenniejsze i co dało się zabrać na wóz, wyruszyli ponaglani i przymuszani przez żołnierzy niemieckich na zachód. Pozostałe mienie różnego rodzaju zakopano. W czasie tej wędrówki – ucieczki, rodzina Oleńki straciła dosłownie wszystko. Ojcu zabrano konia i wóz i to co na wozie, w dodatku pobito dotkliwie, a uczynili to żołnierze niemieccy – byli w odwrocie, więc dopuszczali się różnych przestępstw i zbrodni.

Po powrocie z tej wędrówki – ucieczki - przed frontem z powrotem do domu, stwierdzili, że domu nie ma. Co się stało z niedawno wybudowanym i prawie wykończonym domem? Otóż okazało się, że dom rozebrali sowieci przy pomocy chłopów, którzy dowozili zapotrzebowanie i materiały na most! Materiał po rozebraniu domu wcale nie był

potrzebny i nie zużyto go na potrzeby walki. Materiał z rozbiórki domu został przez sowieckich żołnierzy – złodziei sprzedany polskim chłopom – złodziejom, za bimber.

Podwórze domu zostało dokładnie przez tych samych złodziei przepenetrowane przy pomocy szpikulców i wszystkie rzeczy odkopano i ukradziono. Tak, że rodzina Michtów – rodzina Oleńki - została całkowicie „wyzwolona” z wszystkiego co miała. Przykro to pisać, ale takie to wyzwolenie Michtom zafundowali sowieccy żołnierze (mam na myśli tylko tych złodziei) i polscy chłopci – złodzieje.

Tak więc po powrocie nie było gdzie mieszkać i nie można było zasiać czegoś na roli, bo nie było czym siać, ani czym orać ziemię. Dzisiaj ludzie przesiedleni zza Buga dostają za swoje mienie odszkodowania, a kto zapłaci odszkodowanie tysiącom takich rodzinom jak rodzina Oleńki – Michtowie? – nikt!

Wracam do sytuacji na Wiśle. Minęło chyba dwa tygodnie, a tego zatoru, którego się spodziewaliśmy nie widać było. Podjąłem decyzję, by wysłać patrol tam, gdzie był zator i zobaczyć co się z nim dzieje. Patrol wyjechał i stwierdził na miejscu, że zatoru już nie ma, bo pomалу stopniowo się rozplątał – to te pojedyncze kry i grupy kry, które płynęły przez dwa tygodnie to były właśnie z tego zatoru.

Zameldowałem o tym do sztabu Brygady w Radomiu i otrzymałem krótkie polecenie – wracać do Radomia. Spakowaliśmy manele i wyjazd. Pożegnałem się z Oleńką i z jej całą rodziną, podziękowałem, serdecznie pp. Misiurkom za gościnę. Obiecaliśmy sobie z Oleńką, że będziemy do siebie pisali i pojechałem z plutonem do Radomia.

W Radomiu otrzymałem następne polecenie by udać się z plutonem do Dwikóz, gdzie już przed tym wyjechała nasza kompania na rozminowanie.

Kompania w Dwikozach zajęła nowe lokum spółdzielni ogrodniczej, bo w dawnej kwaterze w szkole uczyły się już dzieci. Zadanie kompanii było takie samo jak w roku ubiegłym – rozminowanie wyznaczonego rejonu od Zawichostu do Wistki Szlacheckiej. W tym roku wzięliśmy się za rozminowanie pasa obrony niemieckiej. Na razie kompania wypalała zeschnięte trawy w tym pasie, żeby umożliwić dostęp do pól minowych. Później przystępowaliśmy do rozminowania. Był kwiecień 1946 r.

Tymczasem zbliżały się Święta Wielkanocne i trzeba było je jakoś urządzić. Nasz szef kompanii załatwił po wsiach sporo jaj. Z kwatermistrzostwa batalionu otrzymaliśmy trochę dodatkowo wędlin i czekaliśmy na święta. Niespodziewanie w Wielki Piątek oficerowie naszej kompanii i szef otrzymali zaproszenie od komitetu Partii w Sandomierzu na uroczystość podzielenia się święconym jajkiem. Przyznam się szczerze, że dotychczas w wojsku o takich uroczystościach nawet nie słyszałem. Owszem ludzie dzielili się jajkiem święconym na Wielkanoc.

W Wielką Sobotę ze sztabu batalionu w Sandomierzu przysłano po nas powóz (taką staroświecką, krytą landarę) zaprzężony w dwa konie i pojechaliśmy do siedziby partii, by podzielić się święconym jajkiem.

Na tej uroczystości byli zaproszeni oficerowie z całego naszego batalionu z dowódcą włącznie. Zaproszono również władze kościelne, dyrektorów i kierowników ważniejszych zakładów i przedsiębiorstw w Sandomierzu. Było bardzo wiele osób. Za głównym stołem siedział biskup diecezji Sandomierskiej obok niego nasz dowódca batalionu kpt. Griaznow, a z drugiej strony po lewej stronie biskupa kpt. Besarab (który pojechał do ZSRR dopiero jesienią 46 r.), wszyscy w przyjaźni i zgodzie.

Sekretarz zagał zgromadzenie, a biskup diecezji miał krótkie przemówienie i zaczęliśmy od święconych jaj. Stoły były jak na owe powojenne czasy zastawione dosyć obficie.

Była również i gorzałka jak to zwykle na przyjęciach bywa, ale używano jej z umiarem, choćby ze względu na osoby duchowne, bo oprócz biskupa było również kilku księży.

Biesiadowaliśmy dość długo, po czym tym samym powozem, którym przyjechaliśmy, wróciliśmy do Dwikóz i dziwiliśmy się, ale byliśmy zadowoleni, że władze partyjne i kościelne funkcjonowały w takiej przyjaźni i zgodzie. W okresie późniejszym, jak wiemy, było z tymi sprawami bardzo źle.

Na polach minowych w dalszym ciągu pracowaliśmy. Po wypaleniu traw na danym kawałku zdejmowaliśmy i rozbajaliśmy miny. Właściwie rozkazy z góry zabraniały rozbajania min, należało każdą minę wysadzić. W praktyce było to jednak niemożliwe. Bo po pierwsze trzeba by było wozić bardzo dużą ilość materiałów wybuchowych i wykonać sporo manipulacji, przy których o wypadek bardzo łatwo, a po drugie rozminowanie trwało by wiele, wiele lat. Była tu więc (z tym wysadzaniem) asekuracja dowództwa, które chciało się uwolnić od odpowiedzialności od wypadków.

Próbowaliśmy jednak mechanicznego sposobu rozminowania tj. ciągnięcie ciężkiego wału po polu minowym p. piechotnym, ale nie zdało to egzaminu - po przeciągnięciu wału zostawała w polu minowym spora część min, które trudno było później zdjąć. Oprócz mechanicznego sposobu próbowaliśmy również wysadzanie przy pomocy wydłużonych lub skupionych ładunków materiałów wybuchowych – rezultat był podobny, zostawały w polu miny, które nie zdetonowały i trudno było je później unieszkodliwić. W związku z tym prób zaniechaliśmy.

Tak czy inaczej prace na polach minowych przy unieszkodliwianiu min są bardzo niebezpieczne i wypadki zdarzały się dość często. Sam kilka razy byłem o przysłowiowe milimetry od śmierci, ale widocznie nie sądzono mi było polec na polu minowym.

Nie będę opisywał wszystkich wypadków, które wtedy się zdarzyły na przyczółku Sandomierskim i w naszej kompanii w czasie rozminowania, bo są to tragiczne przykre sprawy. Opiszę tylko kilka najbardziej tragicznych.

Niemieckie wojska po zajęciu obrony na zachodnim brzegu rzeki Wisły zaczęły stosować, oprócz znanych, również nowe nieznane dotychczas rodzaje min. Były to miny bardzo niebezpieczne i przy ich rozbajaniu poległo wielu saperów. Były to między innymi miny przeciwtransportowe R-mi-43 (Rigelmine) i przeciwczołgowe T-mi Pilz-43.

Spotkawszy po raz pierwszy te miny, nasi saperzy próbowali je rozbajać. Rozbajanie tych min zwykle kończyło się wybuchem miny i śmiercią jednego, a czasem kilku saperów.

Wczesną wiosną 1945r. próbował rozbroić minę R-mi-43 ppor. Hercig, dowódca 3-go plutonu naszej kompanii. Mina w czasie rozbajania wybuchła zabijając por. Herciga i czterech żołnierzy saperów, którzy razem z nim chcieli ją rozbroić.

Wkrótce ukazał się surowy, kategoryczny rozkaz zabraniający rozbajania min, a mimo to wydarzył się w naszej kompanii znowu bardzo tragiczny wypadek z minami R-mi-43, tym razem w 2-gim plutonie naszej kompanii.

Pluton przestrzegał rozkazów i saperzy nie rozbajali min, lecz w myśl instrukcji, po odnalezieniu ściągali je przy pomocy liny z kotwiczką z pola minowego i zanosili je w jedno miejsce celem wysadzenia.

Kiedy była już ściągnięta duża ilość min i ułożony z nich dość duży stos, kapral Cap i st. saper Pasicki przynieśli i rzucili (czy też położyli – nie wiadomo) na ten stos każdy jeszcze po dwie miny – wtedy wszystkie miny wybuchły!

Można sobie wyobrazić (a właściwie trudno jest sobie wyobrazić) skutki wybuchu kilkudziesięciu siedmio-kilogramowych min R-mi-43 ułożonych na stosie.

Szczałki obu żołnierzy zbierali ich koledzy saperzy po całym polu, wybuch rozrzucił wszystko w drobnych kawałkach. Nazbierali trochę strzępków odzieży i szczątków ciał, żeby było co włożyć do trumien i pochować – było tego bardzo mało.

Dlaczego nastąpił wybuch? – nie wiadomo, bo ci co byli przy tym zginęli. Przypuszczalnie któryś z nich rzucił mocno minę na ten stos, albo ten był już tak duży, że pod wpływem ciężaru min nastąpiła detonacja.

Po tych wypadkach przestaliśmy miny p. czołgowe układać w stosy do wysadzania. Pamiętam, że kiedy z plutonem rozminowywałem pole minowe z min R-mi-43, to ściągaliśmy je kotwicami z linką w jedno miejsce, ale układano je jedną obok drugiej w długi, około 10m rząd po czym wysadzano je.

Powstawał długi 10-metrowy dół podobny do tych jakie widziałem w majątku do kopcowania ziemniaków. W ten to sposób zabezpieczaliśmy się od wypadków.

Bardzo niebezpieczne były również miny przeciwpiechotne niemieckie tzw. „S”-mine (Springmine) po polsku mina skacząca. Na tych minach na naszym odcinku rozminowania na przyczółku sandomierskim najpierw zostało zabitych ośmiu żołnierzy sowieckich wracających wiosną 1945 roku z frontu z Niemiec do Związku Radzieckiego transportem kolejowym. Jak się to zdarzyło? Transport z żołnierzami zatrzymał się przed przystankiem Góry Wysokie (około 10km od Sandomierza). Ta stacja to jeden niewielki budynek, a dookoła puste pola i miny. Tuż obok torów przebiegał pas min przeciwpiechotnych „S”. Pas o szerokości około 20m, na którym ustawiono 8 rzędów tych min dochodził do torów kolejowych, które były w czasie działań bojowych (tylko tory) rozminowane i biegł dalej w kierunku Wistki Szlacheckiej.

Po zatrzymaniu pociągu żołnierze jak to zwykle bywa wysiedli z transportu, żeby trochę odetchnąć. Na ich nieszczęście tuż obok biegł i przykucnął na chwilę zająca. Jeden z oficerów wy dobył rewolwer i strzelił do zająca, który po wystrzale poleciał trochę dalej i znowu przykucnął. Oficer poszedł za nim celując, wszedł wtedy na pole minowe, gdzie nadepnął na minę „S” i oczywiście został natychmiast zabity.

Żołnierze, którzy to wszystko widzieli, pobiegli na ratunek swojemu dowódcy, żeby go wynieść z pola minowego. Zanim go wynieśli poległo ich jeszcze siedmiu, ale wynieśli wszystkich. Takie to żniwa zbierają pola minowe.

Na tym polu minowym poległ również plutonowy Żyśko z drugiego plutonu naszej kompanii, wzorowy podoficer i bardzo przyjemny kolega. Żyśko nadepnął na minę na polu minowym na odcinku już rozminowanym. Na jego nieszczęście któryś z saperów przeoczył jedną minę „S” i na nią wszedł Żyśko. To bardzo groźna mina, po naciśnięciu np. stopą wyskakuje z ziemi i na wysokości około pół metra od ziemi rozrywa się na bardzo wiele odłamków, które śmiertelnie rażą w promieniu 100 m. Żyśko został ciężko ranny i zmarł po 10 minutach.

Było to gdzieś w połowie maja. Powiadomiliśmy rodzinę i przyjechał jego ojciec - starszy człowiek, około 70 lat. Ojciec Żyśka prosił dowódcę batalionu, by trumnę ze zwłokami jego syna przewieźć do jego miejscowości rodzinnej – Wysokie k/Lublina, gdzie byłby pochowany.

Dowódca batalionu, mjr Boguszewski, (nowy d-ca), polecił mi, żebym wziął drużynę żołnierzy i żebym zajął się przewiezieniem zwłok do miejscowości Wysokie. Zadanie nie było wtedy takie proste tak jak dzisiaj. Samochodu ciężarowego nie było i polecono mi, żeby przewieźć trumnę transportem kolejowym. Oficerowie kompanii złożyli się po parę

skromnych złotych, żeby obić trumnę blachą i szczelnie zalutować. Furmanką odwieźliśmy ją do stacji w Sandomierzu, załadowaliśmy do wagonu towarowego i sami wsiedliśmy do tegoż wagonu.

Transport dojechał do Lublina i tam, bez naszej zgody i wiedzy, wagon odstawiono daleko na tory między inne wagony. Sytuacja była trochę trudna. Dowódca batalionu polecił mi, żebym w Lublinie zwrócił się do milicji, żeby uzyskać samochód i dowieźć trumnę do Wysokiego, bo do tej miejscowości nie było połączenia kolejowego.

W komendzie milicji w Lublinie odmówiono mi samochodu, gdyż oni sami mieli zabitych i pogrzeby. Wyszedłem więc na szosę z dwoma żołnierzami i złapałem samochód jadący do Wysokiego, ale samochód nie mógł dojechać do wagonu z trumną. Trumnę nieśli żołnierze poprzez składy wagonów, tory i inne przeszkody chyba około 1 km.

Wreszcie po trudach dotarliśmy na miejsce. Na miejscu miałem utarczkę z miejscowym proboszczem, gdyż zażądał on wysokiej zapłaty za pogrzeb od ojca plutonowego. Staruszek przyszedł z tym do mnie. Zaoferowałem księdzu całą miesięczną gażę, jaką otrzymywał zmarły w wojsku. Była to mała suma i ksiądz się obraził. Sytuację uratował kuzyn zmarłego, który zapłacił księdzu tyle ile on chciał. Taki to był duszpasterz.

Nasz duszpasterz w Dwikozach odprawił mszę św. żałobną, później prowadził kondukt chyba ze 3 km do miejsca przeładowania na furmankę i gdy zapytaliśmy o zapłatę to się obraził. „Jak wy możecie mnie coś takiego proponować? Ja to robię dla polskiego żołnierza, który poległ na rozminowaniu” – powiedział ksiądz – „Nie wezmę żadnych pieniędzy.” To był inny duszpasterz aniżeli ten z Wysokiej.

Rozminowanie dalej szło utartym torem. Pracowaliśmy dalej, chociaż działy się takie historie jaką opisałem bardzo często. Ludzie czekali, kiedy rozminujemy, bo kto to robi. Saperzy nie tylko rozminowywali, ale i orali pola, z których zdjęli miny, bo chłopci bali się wejść na te pola. Taka to była kiepska dola saperów.

W czerwcu otrzymałem urlop i pojechałem do Bytnia. W czasie podróży miałem przesiadkę w Chełmie. Usiadłem na ławce przed dworcem i czekałem na podstawienie pociągu do Uhruska. Po chwili podeszła do mnie dawna koleżanka ze szkoły – Janka Baranowska – i zdziwiona moim widokiem zawołała: „To ty żyjesz? Przecież twoi koledzy powiedzieli, że zostałeś zabity na polu minowym!”

Byłem teraz ja zdziwiony: „Przecież widzisz, że żyję, jeżeli myślisz, że jestem duchem to dotknij mnie ręką, a przekonasz się, że żyję.” Roześmialiśmy się oboje.

W domu dowiedziałem się, że Janka miała pewne wiadomości o śmierci na polu minowym, tylko że chodziło o kogo innego, to zginął Tadzio Nowosad – syn męża naszej Józki – taki dobry, spokojny uczynny chłopak. Poszedłem do Nowosadów. Jaki tam był nastrój i atmosfera to trudno opisać. Płakaliśmy po śmierci Tadzia wszyscy.

Jak to się stało z Tadzkiem? Poszedłem do Tadka Hołowacza, który wtedy był akurat w domu, żeby mi opowiedział jak to było. Hołowacz był w drużynie Tadzia i był przy wypadku. Tadzio w czasie rozpoznania pola minowego wszedł na minę sowiecką Jam-5 przeciwczołgową. Mina ta właściwie nie powinna wybuchnąć pod naciskiem stopy człowieka, gdyż do jej zdetonowania potrzebny nacisk to 200 kg, ale była widocznie na nieszczęście mocno spartaczona i wybuchła przy dużo mniejszym nacisku.

Skutki wybuchu były okropne. Wybuch urwał Tadziewi obie ręce i obie nogi. Tadzio żył po wybuchu jakieś 10 min. Był przytomny, zobaczył że nie ma rąk, a później że również nie ma nóg. „Koledzy dobijcie!” – prosił słabym głosem. Podano mu wody, ale woda uciekała gdzieś przez ranę w gardle. „Koledzy dobijcie!” – z tymi słowami umarł. Tadzio został pochowany na cmentarzu w Warce.

Te słowa: „koledzy dobijcie” wymawiał niejeden saper po wypadku. Najczęściej bywało, że zastrzelił się sam, bo wielu nosiło ze sobą broń.

Po odwiedzeniu kolegów i znajomych oraz gdy się nacieszyłem swoją rodziną, a oni mną, wróciłem do kompanii do Dwikóz. W Dwikozach w dalszym ciągu to samo – praca na polach minowych. Dla wszystkich wojna się skończyła – dla nas nie! – w dalszym ciągu wykonujemy zadanie bojowe. Tak przynajmniej traktuje to nasze dowództwo. Czy ktoś kiedyś doceni to poświęcenie i ten trud? – nikt. Nie bardzo kto chce nawet wspomnieć gdziekolwiek, że takie zadania wykonywaliśmy po wojnie, gdy inni zagospodarowywali się, zdobywali wykształcenie, my wykonywaliśmy wojenne zadania bojowe.

Tymczasem w czasie tego rozminowania (wykonywania zadań bojowych), działy się rzeczy, o których nie miałem pojęcia i dotyczyły oficerów naszej kompanii, a zwłaszcza mnie i ppor. Zygierta.

Działo się to za sprawą zastępcy dowódcy naszej kompanii d/s politycznych, który przybył do nas na rozminowanie do Dwikóz i objął stanowisko w kwietniu 1945r.

Przyjeliśmy go bardzo gościnnie i uważaliśmy za przyjaciela i wprawdzie wystrzegaliśmy się przy nim rozmów o polityce tak po swojemu, ale nieraz nam się to i owo powiedziało. Zastępca bardzo szybko nas rozszyfrował i nastroje w kompanii też. Przybył on do nas po szkole oficerów politycznych, gdzie nasłuchiwał się aktywistów politycznych więc ostro wziął się do swojej roboty i o wynikach meldował najpierw szefowi sztabu, a później dowódcy naszego batalionu majorowi Griaznowowi.

Z jego meldunków wynikało, że oficerowie naszej kompanii, a głównie ja i ppor. Zygiert to tzw. “reakcja” wrogo nastawiona do władzy ludowej, co się ujemnie odbija na nastrojach w naszej kompanii. Było to wtedy oskarżenie bardzo poważne i groziło to postawieniem nas przed sądem.

Nie oddano nas jednak pod sąd, a to dlatego, że dowódca batalionu mjr Griaznow nie nadał biegu tej sprawie., a zastępcy dowódcy kompanii powiedział, że zna dobrze oficerów naszej kompanii i odpowiednio postąpi, a postąpił tak, że nam ani nikomu innemu o tym nie powiedział. Dowiedzieliśmy się o tym później przez zbieg okoliczności. - a jak to było?

Dowódca 3-go plutonu naszej kompanii chor. Antoni Weremczuk pochodził ze wsi Dołhobrody niedaleko Włodawy. W pobliżu tej wsi organizowała się w 1944r nasza Brygada i w tej wsi dowódca naszego batalionu mjr Griaznow poznał swoją kochankę, która wraz z nim pojechała do Sandomierza i kiedyś, gdy byliśmy w Sandomierzu rozpoznała chor. Weremczuka, bo pochodzili z tej samej wsi Dołhobrody.

W czasie rozmowy powiedziała Weremczukowi, że wybiera się ze swoim kochankiem do Dołhobród na urlop i zaproponowała Weremczukowi, że go zabiorą ze sobą, bo jadą samochodem. Weremczuk chętnie się zgodził, otrzymał urlop i pojechali we troje.

W czasie podróży mjr Griaznow opowiedział wszystko, co mu doniósł nasz zastępca d/s politycznych no i “rugnął” mocno Weremczuka, klął po rosyjsku na nas wszystkich i mówił, że mamy szczęście, że to on otrzymał ten donos, bo gdyby to się doniosło do jego zastępcy, to siedzielibyśmy prawdopodobnie w więzieniu. W ten to sposób dowiedzieliśmy się później od Weremczuka, jaki to jest ten nasz “politruk”, o kpt. Griaznowie już dawno wiedzieliśmy, że to porządny człowiek.

Swoją drogą sytuacja w naszym batalionie była wtedy dość dziwna. Żołnierze jawnie okazywali niechęć do naszej władzy ludowej i do Związku Radzieckiego. Oficerowie polityczni o tym wiedzieli dobrze, ale nie wyciągali wniosków, no bo jakże ukarać np. całą kompanię.

Prowadzili więc tzw. pracę uświadamiającą, która była skuteczna dla kompanii tak, jak skuteczne jest przysłowiowe kadzidło dla umarłego. Żołnierze zadawali podchwytliwe pytania i nie bardzo słuchali tych uświadamiających pogadanek.

Zdarzały się jednak pojedyncze nieprzyjemne przypadki osadzania w więzieniu przez oficerów informacji niektórych żołnierzy. Oficerowie informacji mieli swoje “wtyczki” w pododdziałach i zdarzało się, że ktoś im podpadł, no i go aresztowali.

W naszym batalionie zdarzył się jeden taki przypadek ze st. saperem Białkiem z Łodzi. Był on bardzo odważny i gadał wszystkim w oczy co mu tylko ślina na język przyniosła, doniosło się to do informacji, no i dostał rok więzienia.

Oficerowie w batalionie w wystąpieniach oficjalnych nie “wywnętrzali” się zanadto, ale w swoim ścisłym gronie to się czuliśmy swobodnie i mówił każdy to co chciał.

Była wtedy atmosfera tymczasowości, myślał każdy, że to musi się zmienić, że będzie wojna, albo, że Polska stopniowo pokojowo wyzwoli się spod wpływów sowieckich, a pomoże w tym nacisk ze strony państw zachodnich.

Dziś wiemy, że te nadzieje nie mogły się wtedy spełnić. Nasz zastępca d/s politycznych już był przeniesiony do innej jednostki.

Przez długi czas, chyba blisko rok, nie było zastępcy d/s politycznych w naszej kompanii, a później, rozkazem odgórnym, etaty zastępców dowódcy kompanii d/s politycznych zostały zniesione, a pozostały tylko etaty zastępców dowódców batalionów.

W naszym batalionie, takim zastępcą d/s politycznych został por. Lech Wojnarowicz, bardzo porządny i kulturalny oficer, krótko mówiąc “swój chłop” z którym można było się przyjaźnić - “chłop do wypitki i do wybitki” jak mówi ludowe porzekadło.

Wybiegłem nieco do przodu z tymi swoimi wspomnieniami, a tymczasem prace na polach minowych trwają i posuwają się naprzód. Pod koniec sierpnia pracujemy już w pobliżu Wistki Szlacheckiej, tj. blisko granicy wyznaczonego naszej kompanii rejonu – pasa do rozminowania.

Zbliża się więc czas pożegnania z Dwikozami i zniszczonymi przez wojnę miejscowościami: Zawichostem, Winiarami, Winiarkami, Słupcą, Czerninem, Górą Wysokimi i Wistką Szlachecką. Rozminowaliśmy je i w dużej części zaorali pola. Ile to nas i co kosztowało i jakie ponieśliśmy ofiary? – nie powiem! Zdjęliśmy setki tysięcy min.

Z władzami pożegnania oficjalne – podziękowanie i koniec. Z mieszkańcami, a właściwie z dziewczynami, to każdy się zegnał po swojemu, zależało to od każdego z nich.

Zygiert nasz dowódca kompanii, to zerwał zaręczyny z narzeczoną, bo taką miał w Dwikozach. Reszta kompanii, to miała takie sobie luźne lub bardziej bliskie związki z dziewczynami. Można je określić piosenką, że było tak:

Kryśka, Ircia i Małgosia  
Nawet najpiękniejsza Zosia  
Na ulice wybiegają  
Każdej do nas serce pika  
Patrząc na nas ślinkę łyka  
I tak nam śpiewają

Hej weźcie mili chłopcy, weźcie sobie nas  
Osłodziemy Wam życia smutny czas  
A więc Kryśku, Irciu, Zosiu z nami chodź  
Pamiętaj tylko - dobrze słodź!

Słodziły więc, a było różnie - raz słodko, aż zanadto, inny raz gorzko - jak to zwykle w życiu bywa. Pojechaliśmy!

Kompania nasza wróciła do Radomia i tam rozlokowano nas na kwaterach i było kilka dni odpoczynku. Po tym odpoczynku kompania miała się przenieść do Kazunia k/Modlina już na stałe.

Na początku września kompania nasza zaczęła się przenosić do Kazunia. Na początku, jako pierwsze pojechały dwa samochody ze sprzętem i ludźmi. Wyjazd nie był udany. Po godzinie jazdy wydarzył się wypadek. Zderzyły się samochody przy wymijaniu. Nasz, jadący jako pierwszy, samochód zderzył się burtą z samochodem jadącym z przeciwnego kierunku. Skutki były tragiczne, dwóch żołnierzy zabitych i kilkunastu rannych, wśród nich rannych nasz nowy dowódca batalionu kpt. Boguszewski, który wraz z żoną jechał w kabine pierwszego samochodu!

Jechałem wtedy w kabinie drugiego samochodu. Natychmiast, przy pomocy żołnierzy, zatrzymaliśmy pierwszy nadjeżdżający w stronę Radomia samochód, po udzieleniu przez sanitariuszy pierwszej pomocy załadowaliśmy wszystkich poszkodowanych i odwieźliśmy do szpitala do Radomia.

Pojechałem drugim samochodem z pozostałymi żołnierzami (jak rozkazał ranny kpt. Boguszewski) do Kazunia. Dalej jechało się nam normalnie, bez przygód i tak około południa dojechaliśmy do Warszawy od strony Grójca.

Po zbliżeniu się do miasta doznałem szoku. Czegoś takiego jak żyję nie widziałem. Przed nami rozciągał się olbrzymi ocean gruzów, zwałów cegły, betonu, żelastwa. W którą stronę spojrzeć kikuty i gruz – nie widać dobrze gdzie są ulice – są zawałone gruzami. Staliśmy długo oniemieli i przerażeni tym widokiem zamordowanego miasta – naszej stolicy. Niektóre ulice były już przystosowane do ruchu to znaczy, że odwalono z nich gruz tak, że można było się poruszać po tych ulicach i dojść do przywalonych, zniszczonych domów i tych, które w części ocalały.

Teraz, gdy to piszę przypomina mi się co powiedział pewien wysoki urzędnik polski Krzysztof Bielecki znany działacz Solidarności. Powiedział on wszem i wobec: że „Hitler nie zniszczył tak Polski jak komuna”. Porównując to jego „słynne” powiedzenie do tego, co w tedy widziałem w Warszawie (a było to we wrześniu 1946 r., blisko dwa lata po zniszczeniu stolicy) i zapytuję sam siebie: -Czy Hitler oszczędzał Polskę?

To morze gruzów mówi samo za siebie. Jeżeli chodzi o odbudowę Warszawy (w/g Bieleckiego zniszczona przez komunę) to wiem, że nie komuna odbudowała Warszawę, a polska ludność gołymi rękami, bo nie było wtedy prawie żadnych maszyn. Często przyjeżdżali do nas goście z zagranicy i byli pełni podziwu z jakim zapałem cały naród odbudowuje swoją stolicę. Z pomocą zagranica się nie kwapiła – odbudowaliśmy sami „gołymi rękoma” i niech nikt nie obraża nas, za nasz trud i poświęcenie!

Takie to myśli mi się teraz przy pisaniu nasuwają. Wtedy pojechaliśmy dalej przez Żoliborz, Bielany do Łomianek i wreszcie do Kazunia.

Kazuń to wieś położona kilka kilometrów od Wisły, natomiast koszary – Kazuń leżą nad Wisłą naprzeciwko twierdzy Modlin leżącej na przeciwległym brzegu Wisły. Koszary wybudowane za któregoś z carów rosyjskich (nie pamiętam którego) miały kształt łuku zwróconego cięciwą ku Wiśle. Mury bardzo grube około 1,5 m, a strop jeszcze potężniejszy. Był to rodzaj twierdzy otoczonej biegnącą takim samym łukiem, fosą, w której była



woda głębokości około 2 m. Od strony Wisły fosy nie było, biegła tam brukowana droga. Przed wojną stacjonował tam batalion czy pułk saperów – teraz miała tu się zmieścić nasza Brygada.

Na razie rozmieściliśmy w pomieszczeniach tych koszar naszą kompanię, a właściwie jej część, bo po wypadku przyjechało nas do Kazunia dwudziestu kilku. Niebawem jednak zaczęło przybywać coraz więcej pododdziałów naszej Brygady.

Nasz 24 batalion został przemianowany na 7-my batalion, bo włączono do naszego batalionu pozostały stan osobowy po rozformowanym 7-mym batalionie. Zmieniło się dowództwo batalionu. Dotychczasowe dowództwo zwolniono do rezerwy. Nowym dowódcą naszego 7-go batalionu został już wcześniej mianowany kpt. Boguszewski (oficer przedwojenny), szefem sztabu por Pietkiewicz, zastępcą dowódcy batalionu do spraw politycznych por Wojnarowicz. Wkrótce dołączyła do nas 2-ga kompania i batalion był w komplecie.

Niedługo przybyły do Kazunia pozostałe bataliony naszej Brygady tj. 26 i 27 bataliony saperów oraz kompanie: techniczna, dowodzenia i inne drobne pododdziały. Tak więc Brygada była w komplecie - składała się z trzech batalionów: nasz 7-my bsap, 26 bsap i 27 bsap oraz wyżej wymienionych pododdziałów dowodzenia i obsługi.

Nasza 2 Brygada zostaje przemianowana na 2 pułk Sap. D-cą pułku zostaje oficer radziecki płk Simończuk. Szefem sztabu płk Rakowski (Polak z Rosji). Z-cą d-cy pułku d/s politycznych mjr Rogoyski. Zastępcą d/s liniowych płk Sanyczew (oficer sowiecki czy radziecki – wszystko jedno).

Nasza 1-sza kompania 7-go batalionu saperów po przeformowaniu i zwolnieniu staro rocznika przemianowana została na drugą kompanię. D-ca kompanii por. Zygiert, dowódca 1-go plutonu ja – F. Banaszewicz, d-ca 2-go plutonu ppor. Łukasiewicz, d-ca 3-go plutonu ppor. Woremczuk.

Brygada przystępuje do normalnego szkolenia. Otrzymaliśmy niemiecki park pontonowy „B”, z którego buduje się promy i mosty pontonowe. Zaczęliśmy od nauki wiosłowania na Wiśle. Warunki do ćwiczeń wodnych idealne. Brzeg rzeki równiutki, piaszczysty, bardzo przystępny, a więc ćwiczenia, ćwiczenia i jeszcze raz ćwiczenia. Pogoda wspaniała, więc byliśmy wszyscy opaleni, wysportowani i chyba zadowoleni.

W tym roku mijają 2 lata od chwili powołania nas do wojska. Jak wiemy 2-ga Brygada zastała zorganizowana jesienią 1944 r., a więc powinniśmy być wszyscy zwolnieni do rezerwy, bo minęły dwa lata służby, a wojna się skończyła przeszło rok temu.

Zaczęto zwalniać częściowo roczniki do rezerwy, ale tylko podoficerów i szeregowców. Oficerowie na razie nie byli zwalniani. Do pułku przyjechała komisja z MON z Warszawy i każdego oficera wzywała pojedynczo na rozmowę. Rozmowa dotyczyła dalszej służby wojskowej już jako oficera zawodowego, bo dotychczas byliśmy jako służba czynna i podlegaliśmy zwolnieniu do rezerwy jak wszyscy szeregowcy.

Któregoś dnia zostałem i ja wezwany przed „szanowne” oblicze komisji. Przewodniczący komisji zapytał mnie o dalsze moje plany życiowe i zaproponował mi podpisanie deklaracji na pozostanie w wojsku jako oficer zawodowy.

Odmówiłem, motywując to tym, że miałem zamiar kontynuować naukę, którą prze-rwała mi kiedyś konieczność pracy w hucie, no a później wojna i służba wojskowa. Komisja jednak dalej nalegała – potrzebni byli przecież oficerowie zwłaszcza ci mający duże doświadczenie w rozminowaniu, a ja takim byłem, ale w dalszym ciągu rozmowy stanowczo odmówiłem pozostania w wojsku. Kończąc rozmowę ze mną przewodniczący komisji powiedział mi tak: „Będziecie na pewno tego żałować, żeście tu odmówili służby w wojsku.” I na tym nasza rozmowa się skończyła.

Słowa przewodniczącego komisji zabrzmiały jak pogrożka, a co ta pogrożka znaczyła wtedy, to się przekonałem, a właściwie dowiedziałem 10 lat później, gdy miałem możliwość już w innej sytuacji politycznej, przeczytać notatkę z mojej rozmowy z komisją, która została wtedy sporządzona i dołączona do moich akt personalnych. Notatka była krótka, obłudna i fałszywa, brzmiała tak: „Przejawia wybitną niechęć do służby wojskowej, agituje za opuszczaniem szeregów Wojska Polskiego”.

Taką to notatkę z tej rozmowy sporządziła Komisja. Co groziło za agitację w wojsku w owym czasie, to chyba nie potrzebuję tu pisać. To był swego rodzaju wyrok na mnie. Jak dalej czytałem akta, to doszedłem, że uratował mnie dowódca pułku ppłk Gołubicki (Rosjanin), który w obszernym piśmie zaprzeczył kategorycznie stwierdzeniom tej komisji, jakoby ja prowadził agitację za opuszczaniem szeregów wojska.

Z wojska tak czy inaczej nie zostałem zwolniony. Nadal ćwiczyliśmy na Wiśle naukę wiosłowania, budowę promów i mostów pontonowych. Tymczasem zbliżała się zima i w sztabie pułku zaczęto planować akcję ochrony mostów przed zimowym i wiosennym spływem lodów.

Gdzieś w końcu listopada 46 r. zostałem wyznaczony na dowódcę 1 kompani 27 batalionu i jednocześnie otrzymałem zadanie, że w razie pochodu lodów ta moja kompania ma ochraniać most w Puławach. Ucieszyłem się, bo będzie okazja spotkać się z Oleńką i Misiurkami.

Zaraz po otrzymaniu rozkazu pojechałem wraz z jednym zwiadowcą do Puław w celu nawiązania łączności i współpracy z Zarządem Dróg Wodnych w Puławach i rozpoznania sytuacji i stanu technicznego mostu. Oczywiście po przyjeździe najpierw udałem się do Misiurków i Oleńki. Przywitanie było bardzo przyjacielskie, a z Oleńką bardziej niż przyjacielskie, bo wyznawaliśmy już sobie miłość. U Misiurków i Oleńki zatrzymałem się dwa dni, bo musiałem pilnie wracać do Kazunia.

Koledzy przygotowywali się do wyjazdu na akcję wyborczą – mieli w/g oficjalnych informacji chronić wyborców przed partyzantami. Ja nie byłem wyznaczony do udziału w tej akcji, gdyż nie darzono mnie zaufaniem. Bardzo mnie to cieszyło, bo ja tego rodzaju fałszywych akcji bardzo nie znoszę. Bardzo lubiłem i lubię prawdę. Akcja wyborcza odbyła się w następnym roku. Wybory (wiemy to dzisiaj) zostały sfałszowane. To jest wiadome i nie będę o tym pisał.

Teraz trochę o sprawach i warunkach bytowych. Mieszkałem razem z kolegami Zygiertem i Łukasiewiczem w bloku oficerskim, zajmowaliśmy mieszkanie dwupokojowe z kuchnią i łazienką. Mieszkało nam się bardzo dobrze, mieliśmy ordynansa, którego obowiązkami było posprzątać w mieszkaniu i nic więcej.

Wyżywienie całodzienne było w kasynie oficerskiej, które mieściło się w sąsiednim bloku i było dość dobre jak na owe czasy. Umundurowanie drelichowe, które nosiliśmy dotychczas, zastąpiono, a właściwie do drelichów dodano jako wyjściowe umundurowanie gabardynowe. Wydawano materiał i pieniądze na uszycie. Pensja miesięczna to suma raczej symboliczna – na papierosy i mydło wystarczało. Za wyżywienie w kasynie na razie nie płaciliśmy.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Na urlop się nie wybierałem, bo w wojsku tak jest, że nie wszyscy mogą jechać naraz na urlopy. Część musi zostać w koszarach. Wigilię spędziłem wtedy z dwoma żołnierzami, których zaprosiłem. Był to nasz ordynans i jesz-

cze jeden podoficer, którego lubiłem. Zygiert poszedł do swojej nowej narzeczonej, która mieszkała wraz z rodzicami w sąsiednim bloku, a Łukasiewicz wyjechał chyba na urlop – nie pamiętam. My z ordynansem i podoficerem, o którym wspominałem, podzieliliśmy się opłatkiem i spożyliśmy wieczerzę wigilijną, którą przygotował nasz ordynans Muraszko. Wieczery takiej nie powstydziliby się niejedna dobra gospodyni. Muraszko pod tym względem to był mistrz – potrafił wszystko. Był z nami od samego początku, to jest od wiosny 1945 r. Teraz już raczej jak przyjaciel, a nie ordynans.

Po kolacji poszliśmy do stołówki żołnierskiej, gdzie urządzany był wieczór wigilijny dla poszczególnych kompanii. Było na ten cel odpowiednie zaopatrzenie, a opłatek przynieśli żołnierze. Dołączyliśmy do nich tj. do naszej kompanii i podzieliliśmy się opłatkami. Potem były kolędy. Ładnie chłopaki śpiewali! Pomyślałem o domu - co też tam nasi? jak spędzają święta?, szkoda, że nie jestem wśród nich.

Po świętach otrzymałem rozkaz, który zburzył moje poprzednie plany, według których miałem przejść kompanię w 27 batalionie i jechać po Nowym Roku na ochronę mostu w Puławach. Tymczasem w myśl nowego rozkazu miałem z plutonem saperów udać się do m. Ułęż leżącej między Dęblinem, a Kockiem w celu rozminowania i unieszkodliwienia bomb lotniczych znajdujących się na lotnisku w tej miejscowości.

Szef wydziału operacyjnego pułku poinformował mnie dlaczego mnie tam wysyłają. Grupa saperów sowieckich, która do tej pory rozminowywała to lotnisko miała tragiczny wypadek – zginęło 7 saperów i całkowitemu zniszczeniu uległ traktor, którym się posługiwali, więc zrezygnowali. „Wy, poruczniku, macie być bardzo ostrożnym przy wykonywaniu tego zadania.” Tyle usłyszałem wyjaśnień w sztabie pułku. A więc nie spotkałem się z Oleńką i przyjaciółmi z Puław, których tak bardzo polubiłem.

Rozkaz jest rozkazem, więc skompletowałem pluton, otrzymałem samochód wraz z kierowcą, pobrałem sprzęt, materiały wybuchowe, środki zapalające i któregoś dnia po Nowym 1947 Roku wyjechałem do owego Ułęża na rozminowanie. To był początek stycznia.

Najpierw udałem się do Komendanta Oficerskiej Szkoły Wojsk Lotniczych w Dęblinie, któremu podlegało to nieczynne lotnisko. Komendant szkoły – oficer przedwojenny, uczestnik Bitwy o Anglię, płk Madejski, przyjął mnie bardzo życzliwie i przydzielił do pomocy 10-ciu jeńców pod dowództwem leutnanta – też jeńca. Mieli oni wykonywać prace pomocnicze. Komendant przydzielił też dwóch żołnierzy jako konwojentów tych jeńców. Tak więc zebrała nas się spora kawalkada i wyruszyliśmy do Ułęża, a właściwie do Nowodworu, wioski leżącej tuż obok lotniska (w odległości około 1 km).

Po rozmowie z sołtysem otrzymałem kwatery dla mojego oddziału oraz oddzielnie dla grupy jeńców i konwojentów (dwóch). Rozlokowaliśmy się dość wygodnie, bo była na kwaterze również kuchnia, gdzie kucharz mógł przygotowywać posiłki dla plutonu.

Nazajutrz po zajęciu kwater udałem się na owe lotnisko na rozpoznanie. Objechaliśmy lotnisko dookoła, zajrzeliśmy do lasu na skraju tegoż lotniska. W lesie i obok lasu pełno było bomb lotniczych od 1-tonowych do 50 kg bomb oraz bomb – pojemników, w których mieściła się duża ilość małych „bombek” – po zrzuconiu z samolotu bomba pojemnik się otwierała i małe bomby rozlatywały się na znaczną odległość i raziły cele na dużym obszarze.

Stwierdziłem na rozpoznaniu, że bomb wysadzać na miejscu ich składowania się nie da i trzeba będzie je przewozić i wysadzać pojedynczo lub najwyżej po kilka ułożonych, jednak w pewnej odległości od siebie.

Na miejsce wysadzania upatryliśmy olbrzymi wykop, który powstał w czasie wojny, prawdopodobnie piasek z wykopu był gdzieś używany jako materiał. Odległości do najbliższych zabudowań były znaczne, tak więc mieliśmy miejsce do wysadzenia bomb.

Trudność największa była w tym, że bomby trzeba będzie dowozić do miejsca wysadzenia. Najgorzej będzie przemieścić ciężkie bomby 1-tonowe. Sowieci próbowali ciągnąć je traktorem z wiadomym skutkiem. Więc ten sposób odpada. Załadować na samochód w żaden sposób bomby tonowej się nie da – co zrobić?

Spojrzałem na te tonowe bomby – leżały niczym olbrzymie, srebrzyste złowrogie cygara, częściowo przysypane śniegiem. Przypomniało mi się jak kiedyś przed wojną, gdy byłem małym chłopcem przyglądałem się jak gospodarze zimą rozładowywali budulec przywieziony na saniach z lasu.

Olbrzymi kłoc sosny załadowany był na sanie, jeden koniec kłoca na jednych saniach, a drugi koniec na drugich saniach. Tak były przewożone zimą, a jak rozładowywano i ładowano? Otóż, przy pomocy bardzo prostego urządzenia zwanego ładami, podnoszono najpierw w jednym końcu olbrzymi kłoc – budulec i podstawiano pod niego sanie, a później to samo w drugim końcu, i tak na dwóch saniach przewożono długie i ciężkie kłoc drewna.

Pomyślałem sobie, a może nam tu się udać zastosować ten sposób ładowania i przewożenia tych najcięższych bomb. Wróciliśmy na kwatery, a na drugi dzień byłem już u sołtysa i prosiłem go, żeby wyszukał takie urządzenie, które się nazywa lady (były one powszechnie używane w lasach) i dwoje sań.

Sołtys bardzo chętnie się na to zgodził i już na drugi dzień chłop przyciągnął koniem dwoje sań no i lady, które we wsi wyszukał sołtys. Obejrzałem te lady i sanie. Sanie mi się nie bardzo podobały, wydały mi się za słabe – to nie takie same jak miał w Bytyniu np. Franek Nowosad, solidnie, mocno zrobione, okute mocno płaskownikiem, ale co zrobić? Lepszych podobno tu nie było, więc trzeba brać to co jest.

Pojechaliśmy na lotnisko wypróbować ten sposób ładowania, przewożenia i rozładowania. Wysadzania na razie nie planowaliśmy. Założyliśmy łańcuch na bombę od strony statecznika i podstawiliśmy lady i zaczęliśmy windować bombę do góry. Bomba to nie budulec drewniany, trzeba tu ostrożności niemałej, bo jest uzbrojona w zapalnik, którego nie znamy. Jest bardzo niebezpieczna o czym już się przekonali nasi poprzednicy – Sowieci, ale windujemy dalej na wysokość sań i podstawiamy jedno sanie. Pomału opuszczamy koniec bomby na sanie – wytrzymały! Teraz wykonujemy tę samą operację z drugim końcem bomby od strony dzioba. Też z powodzeniem. Teraz mocujemy łańcuch do sań i do samochodu. Ruszamy bardzo ostrożnie, bo sanie słabe, a teren jak to teren bywa nierówny, ale jakoś dojechaliśmy do wykopu, gdzie mieliśmy wysadzać bomby. Rozładowanie wykonaliśmy też bez specjalnych trudności.

Po tej próbie będziemy codziennie wysadzać bomby. Powiadomiłem gminę, że codziennie oprócz niedziel i świąt będziemy wysadzać bomby na lotnisku w Ułężu. Wysadzanie będzie dokonywane w godzinach od 13 do 14.30 i w tym czasie nie należy zbliżać się do lotniska, a okna które są zwrócone w stronę lotniska należy na ten czas otworzyć. Na czas wysadzania będą wystawiane posterunki ochronne, których zadaniem będzie pilnowanie, by nikt nie zbliżał się w tym czasie do lotniska.

W lesie niedaleko wykopu, gdzie mieliśmy wysadzać bomby, wykopaliśmy schron, na który ułożyliśmy strop z belek drewnianych (w tym celu ścięliśmy kilka dość grubych sosen). Ten belkowy strop przysypaliśmy warstwą ziemi i schron był gotów. Po wykonaniu przywieźliśmy trzy bomby 1-tonowe. Wystawiliśmy posterunki, założyliśmy ładunki inicjujące trotylu na każdą bombę oraz zapalniki lontowe do każdego ładunku i w oznaczo-

nej godzinie 13 wydałem komendę: „Przygotować ładunki do zapalenia!” Na tę komendę saperzy stojący po jednym przy każdej bombie uchwycili lonty i trzymali tak, by można je było zapalić. Każdy miał lont z przyłożoną do niego zapalką w lewej ręce, w drugiej ręce miał pudełko od zapalek. Następna komenda: „Zapalaj!” Po tej komendzie zapalono lonty. Po krótkiej chwili następną komendą: „Uciekać!” Po tej komendzie wszyscy uciekali do schronu niezależnie od tego czy udało się zapalić któremuś lont czy nie.

Jeżeli chodzi o schron, który wykonaliśmy, to popełniliśmy błąd – trochę zlekceważyliśmy sprawę i za blisko go wykonaliśmy od miejsca wybuchu jakieś 60-70 m. Zaraz po zapaleniu lontów zaszły całkiem nieprzewidziane wydarzenia. Gdy uciekaliśmy do schronu raptem zauważyłem, że zza lasu wyszedł człowiek i idzie w naszym kierunku, jest blisko, jakieś 50 m.

Gwałtowna decyzja, krzyknąłem: „Biegnij pan do mnie, bo będzie wybuch!” – usłuchał i przybiegł. Ledwie zdążyliśmy wbiec do schronu i nastąpiły wybuchy. Nasz schron się zatrzęsł, myślałem, że się zawali i nas zasypie, zewsząd sypała się ziemia. My saperzy byliśmy przyzwyczajeni do wybuchów, ale ów chłop, który się tu schronił padł na kolana i krzyczał: „Panowie ratujcie, bo zginie!” Nikt nie zginął, ale strachu to najedliśmy się wszyscy. Pomysł ze schronem do powietrza! – trzeba zrobić – zorganizować to inaczej.

Wyszukałem na drugi dzień inne schronienie na czas wysadzania, a mianowicie nieczynną dawną kotłownię, czy coś w tym rodzaju. Było to podziemne wybetonowane jakieś pomieszczenie, nad którym był betonowy dach. Nie wiem na pewno do czego ono na lotnisku służyło. Nam posłużyło jako schron przed wybuchem bomb, odległość od miejsca wysadzania około 200 m i na wysadzanie zapalnikami lontowymi czyli sposobem ogniowym za duża.

Mieliśmy ze sobą na szczęście sprzęt do wysadzania sposobem elektrycznym, a więc zapalniki elektryczne, zapalarkę PM-1 i bęben z przewodami elektrycznymi. Postanowiliśmy, że będziemy wysadzać sposobem elektrycznym. Sposób będzie bezpieczniejszy, ale zajmie dużo więcej czasu. Zaczęła się żmudna, ciężka i niebezpieczna saperska praca – od rana do 13 transport bomb i przygotowanie do wysadzania, od 13 do 14 detonowanie bomb. Szło bardzo powoli, bo mogliśmy wysadzić na raz najwyżej dwie bomby 1-tonowe. Więcej nie można było, bo za duża fala uderzeniowa mogła wyrządzić znaczne szkody we wsi niedaleko lotniska, a i tak skarżyli się chłopcy, że powypadały szyby, a ksiądz, że zagrożone są witraże w kościele.

Na wysadzaniu ciężkich, tonowych bomb zeszło nam chyba półtora czy więcej miesiąca (nie pamiętam) po czym przystąpiliśmy do wysadzenia mniejszych bo 500-250 kg, które ładowaliśmy na samochód i tak przewoziliśmy. Tych mniejszych bomb mogliśmy układać do wysadzania trochę więcej tj. do 2 ton, ale tych bomb było bardzo dużo.

Prace przy wysadzaniu bomb i rozminowaniu w Ułęży prowadziliśmy aż do Wielkanocy tj. do kwietnia. Co się wydarzyło w czasie rozminowania, czy były wypadki?

Rozminowanie przebiegło pomyślnie bez wypadków. Oczyszcziliśmy całkowicie lotnisko w Ułęży z bomb, min i innych pozostałości po wojnie bez żadnych strat i pretensji ze strony miejscowej ludności.

W czasie tych prac przekonałem się jak daleko może być posunięta zwyczajna ludzka głupota, w wyniku której mogło dojść do tragedii. Pewnego dnia, tak jak zwykle rano, odbyła się zbiórka plutonu oraz grupy jeńców przed wyjazdem na lotnisko. Plutonowy Dyrga zameldował mi pluton, a leutnant zameldował mi grupę jeńców – wydał komendę „Ach-

tung” i meldował: „herr leutnant, ich melde zehn mann zu stehlen” (panie poruczniku melduję dziesięciu ludzi na zbiórce).

Przyjąłem jak co dzień te raporty, ale nie pojechałem na lotnisko, gdyż musiałem dokończyć sprawozdanie z prac na lotnisku, to zajmie mi jeszcze jakieś pół godziny czasu. Poleciłem więc swemu zastępcy plutonowemu Szczerbakowi, żeby pojechał z grupą na lotnisko i załadował samochód bombami, zarządził potem przerwę i czekał na mnie.

Pluton i grupa jeńców pojechali na lotnisko, a ja wziąłem się za sprawozdanie. Po jakiejś pół godzinie usłyszałem wybuch dosyć silny i wybiegłem z pokoju na podwórkę. Spojrzałem w kierunku lotniska i zauważyłem unoszący się dym – a więc wybuchła bomba.

Pobiegłem szybko na lotnisko zupełnie zdruzgotany, wyobrażałem sobie co może zrobić wybuch bomby lotniczej w takiej grupie ludzi, a więc masakra, trupy, no a ja? Ja wyładuję na długo w kryminale – tak sobie biegnąc na „glinianych” nogach myślałem.

Dobiegłem na lotnisko, a tu jak gdyby nigdy nic pluton i grupa jeńców sobie siedzi na jakiejś belce, samochód jest załadowany, gotów do odjazdu. Zdziwiony tym pytam plutonowego co się stało, co to za wybuch był? To gdzieś dalej odpowiedział, ale zauważyłem, że on jak i wszyscy pozostali byli bardzo przestraszeni.

Gdy zobaczyli, że nie uwierzę w to co mówili, powiedzieli mi prawdę. Otóż niedaleko stosu bomb leżała rozwalona bomba lotnicza z obnażonym materiałem wybuchowym – pozostałość po wysadzaniu przez sowieckich saperów. Któremuś z naszych saperów przyszła myśl do beznadziejnie głupiej głowy, żeby ten materiał wychowy w rozwalonej bombie podpalić, no i podpalił.

Materiał wybuchowy w bombie to trotyl, więc palił się intensywnie i nie wybuchłby, ale przecież w bombie był zapalnik i kiedy został dogrzany spowodował wybuch materiału wybuchowego. Na szczęście wybuch nie rozerwał bomby, bo była ona rozpruta wzdłuż i materiał wybuchowy był na wierzchu. Nastąpił tylko silny podmuch. Wszyscy po podpaleniu odeszli na pewną odległość, jednak podmuch powalił ich na ziemię i strachu mieli pełne portki. Co ja przeżyłem – częściowo już opisałem.

Prace w Ułężu zostały zakończone. W Wielką Sobotę komendant Oficerskiej Szkoły w Dęblinie udzielił nam wszystkim 5-cio dniowego urlopu.

Udałem się do stacji kolejowej w Dęblinie i kupiłem bilet do Uhruska. Do pociągu było jeszcze trochę czasu, więc usiadłem na ławce i czekałem. Z głośnika na stacji pobiegła melodia: „Ludu mój ludu cóżem ci uczynił” – śpiewał jakiś chór przepięknie, tak że zapamiętałem to i opisuję. Później przez długie lata nie puszczano religijnych pieśni przez głośniki radiowe. Przyjechał pociąg, wsiadłem i pojechałem w dobrym nastroju, a gdy dojeżdżałem już do Uhruska spojrzałem przez okno stęskniony trochę za domem i swoimi stronami.

Oto już migają znajome domki, a tu obok toru cmentarz, widać nawet krzyż na grobie mojej mamy, a dalej to już znajoma stacja Uhrusk. Wsiadam i spotykam kogo? Naszego miłego Antosia, który pomaga mi nieść walizkę z ciuchami no i zaprasza koniecznie bym wstąpił do niego. Poszliśmy, posiedziałem, wypiliśmy herbatę i udałem się po tym już do Bytnia do domu.

W domu nic nowego, praca tak jak dawniej z tym, że doszły narzekania na tzw. dostawy obowiązkowe i różne inne trudności. Trudności nie brakowało, bo brakowało wszystkiego. Kraj był niesamowicie zniszczony i dokładnie obrabowany ze wszystkiego. Pod dostatkiem można było dostać bimbrowy, który na wsi był „pędzony” przez wielu gospodarzy na własne i nie tylko potrzeby. Próbowałem tego „specjału” i wydawał mi się wtedy niezły, chyba dlatego, że byłem młody.

Wielkanoc minęła jak zwykle spokojnie. Byłem w odwiedzinach u rodziny, a więc najpierw u Nowosadów u Józi i Franka. U nich jeszcze pamiętano o synu Tadziu, a zbliżała się rocznica jego śmierci, ale też cieszący się pozostałymi dziećmi, które rosły jak na przy-słowiowych drożdżach. Cesiak – kłuska (tak go pieszczotliwie nazywano), to już duży chłopak, oprócz tego dwie dziewczynki piękne jak lalki, Lucia i Janka, którą ochrzcziliśmy w czasie wojny w 1939 r. Porozmawialiśmy, pogościliśmy się, nacieszyliśmy się sobą i po-szedłem do domu.

Urlop się kończy po tych kilku dniach i trzeba wracać do wojska do Kazunia. W jed-nostce naszej, w tym „miłym” Kazuniu dowództwo wysłało mnie do WKR Ostrołęka po re-krutów, gdyż jak to już pisałem, stare roczniki - te wojenne - zwalniano do rezerwy. Po przyjeździe zaczęło się żmudne szkolenie młodego rocznika i tak to mi zeszło na tym szko-łeniu aż do wiosny 1948 r.

Nie tylko szkolenie młodego rocznika prowadziłem, ale wyjeżdżałem również z plu-tonem starego rocznika na rozminowania. Najdłużej, bo chyba dwa miesiące, pracowaliśmy przy rozminowaniu i oczyszczaniu pasa obrony na lewym brzegu Bugo-Narwi na odcinku Modlin – Legionowo.

Wysadzaliśmy przeważnie pociski artyleryjskie na łąkach nad Narwią, w tym wiele niewypałów. Z tymi niewypałami to był kłopot, bo jest on bardzo niebezpieczny i przy po-ruszeniu może wybuchnąć – może, ale nie musi. Rozkazy i instrukcje zabraniają ruszania min i niewypałów z miejsca, trzeba na taki niewypał położyć kostkę materiału wybuchowe-go i wysadzić. Myny też należy, w myśl tych instrukcji, wysadzać tak samo lub ładunkami skupionymi.

Dobrze jeżeli pocisk – niewypał leży w polu, to nie ma sprawy, ale gdy jest on przy budynku mieszkalnym lub na przykład w stodole (co mi się wiele razy przytrafiało), co wtedy zrobić? Jeżeli go wysadzimy, to budynek „poleci” lub się spali – co powiedzieć go-spodarzowi? Te rozkazy to była asekuracja dowództwa.

Zwykle w takim przypadku dowódca plutonu brał ten pocisk i wynosił na ramieniu w pole – jeżeli się rozerwie, to on jeden zginie i nikt nie będzie odpowiadał przed sądem za to, że postąpiono wbrew instrukcji. Taki problem czy wysadzać czy nie pojawił mi się również w czasie rozminowania w rejonie Modlina.

Pewnego dnia otrzymałem zgłoszenie od sołtysa, że we wsi Janówek II k/Nowego Dworu w czasie burzy nastąpił wybuch i spaliła się stodoła. Udałem się do tej wsi na drugi dzień celem wyjaśnienia tej sprawy. Stwierdziłem, że wybuch miał miejsce, a świadczył o tym dość duży lej powstały po wybuchu. Wezwałem pluton i zaczęliśmy rozpoznanie przy pomocy wykrywacza min – przypuszczałem, że to chyba będzie jakiś większy ładunek lub kilka ładunków skupionych, ustawionych wzdłuż drogi przez wieś.

Zacząłem we dwóch, reszta plutonu miała przerwę, bo za dużo ludzi nie może w jednym miejscu pracować ze względów bezpieczeństwa. Na drodze prowadzącej do wsi wykrywacz zapiszczał, że coś jest. Zacząłem ostrożnie kopać ziemię łopatką i na głębokość około 0,5 m odkryłem dwie bomby po 250 kg bez stateczników. Do bomb były przyłożone dwa standardowe ładunki materiałów wybuchowych uzbrojone w zapalniki elektryczne! Wyjąłem zapalniki i chciałem wyjąć ładunek, ale w tym momencie spostrzegłem, że ładunek ma inny zapalnik jako niespodziankę dla rozminowującego.

Natychmiast zaprzestałem dalszych manipulacji i pomyślałem, że skoro są przepisy zabraniające rozbierania min, to niech dowództwo zadecyduje co mam z tym fantem zrobić. Wysadzić na miejscu ładunki (a po chwili rozpoznaliśmy, że są one rozmieszczone wzdłuż

całej drogi biegnącej przez wieś), to znaczy zburzyć lub spalić prawie całą wieś. Rozbrając zaś te ładunki to wielkie ryzyko, zresztą zabronione oficjalnie rozkazem.

Udałem się więc do sztabu pułku w Kazuniu do oficera operacyjnego, żeby podjął decyzję co zrobić z tymi ładunkami. Oficer operacyjny, mjr Sukiennik, długo drapał się w głowę i myślał co by tu zrobić i wreszcie wpadł na pomysł i rzekł do mnie: „Słuchajcie, ja dam wam niemieckiego jeńca – sapers, wykorzystajcie go do zdjęcia tych ładunków. To oni ustawili te miny to niech teraz je zdejmują. Proszę tylko kierować tym jeńcem z ukrycia.”

W żaden sposób nie mogłem pojąć jak to możliwe będzie kierować tym jeńcem saperem z ukrycia. „Przecież to niemożliwe obywatelu majorze” – powiedziałem. „Macie lepszą radę i sposób to go zastosujcie, ja wam daję co mogę” – odrzekł mjr Sukiennik. Cóż miałem do gadania, trzeba spróbować wykonać to polecenie.

Jeniec za chwilę przyszedł do sztabu, a major powiedział mu o co chodzi. Widziałem jak jeniec się przestraszył i oponował jako, że w myśl porozumień międzynarodowych jeńców do prac niebezpiecznych używać się nie powinno, ale tak jak i ja nie miał on nic do gadania.

Poszliśmy obaj z jeńcem do Janówka. Po drodze jeniec pytał mnie dlaczego to my nie zdejmujemy tych min (rozumiałem po niemiecku) tylko używamy jeńca. Odpowiedziałem mu, że mógł to pytanie zadać oficerowi operacyjnemu, bo to on zdecydował o tym. Na to on, że ma żonę i dzieci, że nie pamięta jak się rozbraja takie ładunki i zaczął płakać najzwyczajniej w świecie. Tak rozmawiając doszliśmy do Janówka (było niedaleko jakieś 3 km) i na drugi dzień zaczęliśmy pracę.

Pluton miał przerwę i chłopcy grali w karty w pobliskim lasku, a ja z tym jeńcem – saperem poszliśmy zdejmować ładunki. Były bardzo niebezpieczne i pot często spływał z czoła, a serce „podchodziło” do gardła – taki to los sapers. Takich ładunków zdjęliśmy około 50. Niemiec był bardzo zadowolony, że razem pracowaliśmy, ale i zdziwiony, bo przecież on miał to zrobić sam, a ja kierować miałem nim z ukrycia. Na to nie pozwalał mi jednak mój honor oficera – sapers.

Po zakończeniu prac w Janówku otrzymałem zgłoszenie z Pomiechówka, tu znowu zaminowany był podjazd do mostu na rzece Wkra. Było bardzo trudno, a jeszcze bardziej niebezpiecznie, bo miny przeciwczołgowe Tmi-Pilz-43 były ustawione na drodze asfaltowej i zalane asfaltem tak, że trudno było je wykryć, a jeszcze trudniej unieszkodliwić. Istniały dwie możliwości, albo wysadzić każdą minę i zniszczyć około 1 km drogi asfaltowej prowadzącej do mostu na Wkrze albo odkuć wszystkie miny z asfaltu i zdjęć je co było bardzo niebezpieczne.

Wybraliśmy tę drugą możliwość i odkuliśmy wszystkie miny mimo ogromnego niebezpieczeństwa. Nie stać nas było wtedy na niszczenie dróg asfaltowych I kat. Pracowaliśmy wolno i niezwykle ostrożnie i zadanie postawione przez sztab pułku wykonaliśmy bez strat.

Tak to się pracowało nad Narwią, a co poza rozminowaniem? Jak układałem sobie życie i co zamierzałem dalej? Dopytywałem się o moje ewentualne zwolnienie do rezerwy, o które prosiłem w czasie rozmowy z komisją z Departamentu Kadr MON. Odpowiedziano mi, że decyzja będzie podjęta w swoim czasie, wtedy zostaną powiadomiony. Nie powiadomiono mnie o tym nigdy.

We wrześniu tego 1947 roku nasz batalion otrzymał zadanie udać się do Warszawy i na Polach Mokotowskich przygotować wszystkie urządzenia do mającego się tam odbyć zlotu Związku Walki Młodych, skrót: ZWM.



Do Warszawy do wykonania tego zadania pojechały dwie kompanie: por. Kalinowskiego i kpt. Zygierta w niepełnym składzie. Pojechałem więc i ja z moim plutonem.

Zadania były stosunkowo proste, trzeba było wykonać oświetlenie bądź co bądź olbrzymiego placu, to znaczy przywieźć i postawić na całym placu słupy do założenia przewodów elektrycznych, a również i telefonicznych, bo taka instalacja też miała być założona.

Oprócz tego trzeba było rozbić namioty dla chyba (mogę się mylić) ponad tysiąca osób, doprowadzić wodę, wykonać latryny i inne prace dla potrzeb tego zlotu.

Zadania te wykonaliśmy z powodzeniem, ale w czasie ich wykonywania zdarzył się nieprzyjemny wypadek, który mógł się dla niektórych oficerów źle skończyć, a było to tak.

Kompania Kalinowskiego pewnego dnia, podczas przemarszu przez ten plac śpiewała piosenkę, która miała między innymi takie słowa: „karabin ciężki ty do ręki weź, by z Polski hitlerowców znieść”. Żołnierze zamiast słów „by z Polski hitlerowców znieść” śpiewali: „by z Polski PPR-owców znieść”.

Ponieważ w czasie tych prac, gdzie miał się odbyć zlot jak i w czasie zlotu kręciło się i nadzorowało nasze prace wiele osób z kręgów zbliżonych do ówczesnej władzy więc usłyszeli nieprzyjemne dla nich słowa.

Zrobił się wielki szum, pytano żołnierzy kto ich tego nauczył, lecz oni odpowiadali, że każdy śpiewał „hitlerowców” a nie „PPR-owców” tak, że dojsć, kto tu jest winien było niemożliwe. Żołnierze twierdzili, że ktoś tu się przestyszał.

Informacja wzięła się więc za por. Kalinowskiego jako, że dowódca kompanii odpowiada za swoją kompanię i dowódcę batalionu kpt. Boguszewskiego, no bo to oficer przedwojenny i dlatego takie rzeczy dzieją się w jego batalionie.

Sprawa ta mogła się bardzo źle skończyć, ale uratował ją nadzorujący te wszystkie prace delegat z Komitetu Centralnego obywatel czy towarzysz Naftalin, z pochodzenia Żyd. Powiedział on Kalinowskiemu, którego bardzo lubił (trudno było miłego Kalinowskiego nie lubić) „Ma pan szczęście, że to na pana padło, bo gdyby to był kto inny to ja nie chcę mówić co to by było. Niech będzie, że to ja się przestyszałem, a i inni też.”

Tak się szczęśliwie cała ta niebezpieczna sprawa zakończyła.

Naftalin wcale się nie przestyszał, bo żołnierze nieraz w ten sposób tą piosenkę śpiewali, ale na rozminowaniu, a nawet w Kazuniu nikt nie robił z tego powodu szumu udając, że nie słyszy dokładnie jak brzmią te słowa, bo brzmią podobnie.

Dziwna wtedy była sytuacja polityczna u nas w pułku. Był cały szereg godzin zajęć politycznych, ale prawie nikt nie brał tej gadaniny na serio.

Słuchali tego oficerowie i żołnierze bo był to obowiązek służbowy i nic z tego nie wynikało. Każdy, lub prawie każdy czekał, że coś się zmieni, no i się zmieniało, ale na coraz to gorsze, ale o tym w dalszej części wspomnień.

Wróciliśmy po zakończeniu zlotu i likwidacji urzędzeń, które pobudowaliśmy, do Kazunia.

W Kazuniu normalna jak zwykle praca, codzienne żmudne szkolenie. Wyjazdów na rozminowanie więcej nie było.

Często pisałem do Oleńki, a ona do mnie i zastanawialiśmy się jak nasza miłość się skończy, bo jak na razie istniała i trwała na odległość. Wreszcie dogadaliśmy się, że przyjadę na Wielkanoc 48 r. i wtedy oznajmimy rodzicom Oleńki, że zamierzamy się pobrać. Oboje bardzo chcieliśmy tego małżeństwa. Oleńka bardzo mi się podobała, nie tylko dlatego, że była zgrabną, ładną dziewczyną, ale była przede wszystkim bardzo dzielna, zaradna i przedsiębiorcza. Widziałem jak pomagała rodzicom stanąć na nogi po utracie wszystkiego, dosłownie wszystkiego w trakcie wysiedlenia przed zbliżającym się frontem. Pomagała

również swojej siostrze Marysi, u której mieszkała. To bardzo dobre i ważne cechy charakteru przyszłej żony.

Zima 47/48 r. minęła szybko i zbliżały się Święta Wielkanocne, na które planowałem urlop no i wyjazd do Puław, do Oleńki. Zaszły jednak okoliczności, że ten wyjazd nie mógł dojść do skutku. Okoliczności bardzo nietypowe. Mieszkałem razem z Zygiertem i Łukasiewiczem w dwupokojowym mieszkaniu. Zygiert miał psa wilczura, nazywał się Dzek – piękny, mądry pies i bardzo go lubiliśmy wszyscy. Chodził sam na żołnierską kuchnię i ładnie się łaścił u szefa kuchni, żeby mu dał jeść. Odpadków i kości w kuchni nie brakowało tak, że z karmieniem nie było kłopotu.

Wszyscy bawiliśmy się świetnie, bo pies był naprawdę „fajny”, ale pewnego dnia (blisko Wielkanocy) zaczął dziwnie się zachowywać i lekarz pułkowy polecił zbadanie psa. Okazało się po zbadaniu, że to prawdopodobnie wścieklizna powoduje to dziwne zachowanie i psa uśmiercono.

My i wszyscy, którzy stykali się w tym czasie z psem poddani zostaliśmy szczepieniu. Każdy miał otrzymać i otrzymał 20 zastrzyków w ciągu 20 dni (po jednym dziennie). Zahaczyło to szczepienie o Wielkanoc i grubo po Wielkanocy. Wyjazd do Puław stał się niemożliwy i trzeba go było odłożyć.

Napisałem list do Oleńki z wyjaśnieniami no i z przeprosinami. Nie pamiętam jaki powód podałem że nie będę mógł przyjechać na Wielkanoc, tylko później gdzieś w maju. Jak się później dowiedziałem, Oleńka była trochę załamana, bo myślała, że może się rozmyśliłem i miała bardzo smutne Święta – ja też!

Przyjechałem do Puław gdzieś w połowie maja i udałem się do mieszkania Misiurków, ale akurat wszyscy domownicy gdzieś wyszli, jedni do pracy, drudzy po zakupy i mieszkanie było zamknięte. Postanowiłem i ja przejść się trochę i pospacerowałem nad Wisłą i na wał biegnący nad Wisłą. Usiadłem na skarpie wału i patrzyłem na rzekę, pogoda była bardzo piękna, więc można było posiedzieć, pomyśleć i pomarzyć. Z tego zamyslenia obudziła mnie Oleńka, która szła wałem w moim kierunku – dowiedziała się od koleżanki, że przyjechałem i że jestem nad Wisłą, więc przysłała.

Ucieszyliśmy się oboje, opowiadaniom i wyjaśnieniom nie było końca, no i pocałunkom też. Poszliśmy do Misiurków, a nazajutrz wybraliśmy się do rodziców Oleńki za Wisłę.

Rodzice Oleńki przyjęli nas życzliwie i serdecznie, zaczęliśmy rozmawiać o sprawach domowych, no i w czasie rozmowy poprosiłem rodziców o rękę Oleńki. Oświadczyzny zostały przyjęte. Mama wyciągnęła gdzieś z szafki ćwiartkę wódki, wytarła buteleczkę fartuszkami i postawiła na stole, a potem przyniosła zakąski. Wypiliśmy zdrowie rodziców, no i narzeczonych! Po tej „ceremonii” zaczęliśmy ustalać co i jak. Przede wszystkim ustaliliśmy datę ślubu na 18-sty wrześnie tegoż 1948 roku.

Późnym wieczorem powróciliśmy z Oleńką do Misiurków, a na drugi dzień zaczęliśmy przygotowywać „teren” do tego co miało nastąpić we wrześniu tj. ślubu. Przede wszystkim dowiedziałem się w Urzędzie Stanu Cywilnego, że jako oficer muszę mieć zezwolenie na zawarcie związku małżeńskiego od dowódcy Okręgu Warszawskiego.

Z tym zezwoleniem na zawarcie związku małżeńskiego było dużo kłopotu, bo do podania do dowódcy Okręgu trzeba było dołączyć metrykę urodzenia, świadectwo moralności, świadectwo lojalności i świadectwo zdrowia przyszłej żony. Załatwiania co niemiara. Daliśmy również na zapowiedzi i uzgodniliśmy z księdzem datę ślubu tj. 18-sty wrześnie. Ksiądz też wspomniał o zezwoleniu na ślub.

Po tych ustaleniach pojechałem do Kazunia do swojej jednostki. W jednostce złożyłem raport drogą służbową do dowódcy Okręgu z prośbą o zezwolenie na zawarcie związku małżeńskiego. Po długich oczekiwaniach i perypetiach, o których nie będę wspominał, otrzymałem wreszcie to zezwolenie podpisane przez dowódcę Okręgu Warszawskiego gen. Paszkiewicza.

Tymczasem w maju zaraz po powrocie z Puław zostałem przeniesiony do pułkowej szkoły podoficerskiej na dowódcę plutonu. Prace i codzienne „tyranie” po poligonie zapewnione, jak to w wojsku. Pracowałem mi się na tym stanowisku dobrze z tym, że miałem niezłe zatargi z szefem szkoły – plutonowym X (tak go nazwę, bo prawdziwego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć).

Ten szef słynął z tego, że był bardzo ostry w stosunku do żołnierzy. Pewnego dnia przyłapałem go jak stosował „pruską” dyscyplinę w stosunku do podoficerów z mego plutonu. Na moją uwagę i ostre napomnienie ów plutonowy brał się za rewolwer, który nosił zawsze ze sobą. Nie użył go jednak, ale za to wyleciał ze szkoły. Trafiał jednak na dobre stanowisko magazyniera materiałów i sprzętu technicznego pułku, a to dlatego, że za tę ostrość lubił go dowódca pułku.

Nie pisałem o tym, żeby nie dalsze tragiczne zdarzenie. Ten plutonowy po objęciu funkcji magazyniera materiałów technicznych, zaczął pomału kraść te materiały i sprzedawał je właścicielowi kiosku spożywczego znajdującego się w pobliżu koszar, niejakiemu Piegatowi.

Proceder ten trwał niezbyt długo, bo obaj złodzieje pokłócili się o pieniądze i pan plutonowy użył tym razem broni w czasie sprzeczki i zastrzelił Piegata w sieni jego domu, po czym udał się do oficera dyżurnego pułku i zameldował: „Obywatelu poruczniku, popełniłem samobójstwo.” -oficer dyżurny zdumiony tym meldunkiem powiedział: „Przecież życie.”

Na to plutonowy: „Zabiłem Piegata.” Oficer dyżurny kazał zamknąć plutonowego w areszcie i sam poszedł sprawdzić co się z tym Piegatem stało. Piegat nie żył, leżał w sieni tak jak go zastrzelił plutonowy i nawet żona nie wiedziała co się stało. Plutonowy na rozprawie tłumaczył, że zastrzelił Piegota dlatego, że on kupował od niego kradzione materiały wojskowe, co jest przestępstwem. Swoją drogą ciekawa to mentalność tego człowieka. Został skazany na chyba 20 lat więzienia. Pomyślałem sobie, że ze mną w czasie sprzeczki z tym plutonowym mogło dojść do tego do czego doszło z Piegatem, ale nie doszło!

Rok szkolny w Szkole Podoficerskiej trwa od października do końca sierpnia, a później wszyscy na urlopy, kadra szkoły na urlopy wypoczynkowe, a elewi po otrzymaniu stopni podoficerskich też na urlopy.

W połowie sierpnia odbyły się egzaminy elewów, a po egzaminach złożyłem raport o udzielenie mi planowanego urlopu wypoczynkowego. Gdy składałem raport niespodziewanie wezwał mnie do siebie na rozmowę szef sztabu pułku i oznajmił mi, że mam się udać do miejscowości Natolin, by tam kontynuować prace melioracyjne w parku gdzie mieści się letnia rezydencja prezydenta Bieruta.

Powiedziałem majorowi – szefowi sztabu pułku, że mam teraz we wrześniu planowy, miesięczny urlop wypoczynkowy i że w czasie tego urlopu 18-go września mam wziąć ślub i ma odbyć się moje wesele, że to wszystko jest już zaplanowane i rodzina przygotowuje się odpowiednio na ten termin. „Wszystko przełożcie na październik, a może i później, teraz macie jechać do Natolina.” – odpowiedział major.

Próbowałem jeszcze przekonać majora, ale bez skutku. „Nie mamy kogo wysłać, a pierwszego lepszego do rezydencji prezydenta nie pošlemy, bo może nam narobić kłopotów i to dużych kłopotów.” – odpowiedział major, na tym rozmowa się skończyła i wyszedłem z pokoju.

Tak to wtedy załatwiano sprawy osobiste kadry. Co ja teraz mam robić? – pomyślałem sobie. Przecież tam przygotowują się na wesele – będzie im wesoło, gdy się dowiedzą jak sprawy wyszły. Tak czy inaczej trzeba napisać do Oleńki i coś postanowić.

Napisałem więc list do Oleńki, w którym przedstawiłem jak wygląda nasza sytuacja i że w związku z tym postanowiłem i proponuję, żeby ślubu nie odkładać, bo bez względu na to gdzie pojedę, to na 18-go września na 3-4 dni na ślub przyjadę, cokolwiek by potem było.

Zaraz po 1-szym września pojechałem do tego Natolina, ale po drodze wstąpiłem do Warszawy, by zabrać ze sobą żołnierzy, którzy mieli pracować przy tej melioracji w siedzibie prezydenta.

Żołnierzy miałem zabrać kilku z kompanii por. Kalinowskiego, która utrzymywała i ochraniała most pontonowy przy ul. Karowej w Warszawie. Kalinowski - mój miły kolega – obchodził właśnie imieniny, bo to było 2-go września, a on miał na imię Stefan.

Poszliśmy więc do jednej z budek rozrzuconych wzdłuż nabrzeża Wisły w pobliżu pomnika Syrenki. W tych budkach był bimber no i wszelkie dostępne wtedy produkty spożywcze. Wypiliśmy wtedy trochę za wiele, Stefan z okazji imienin, a ja, bo byłem mocno sfrustrowany tym niespodziewanym wyjazdem, mimo to co za dużo to za dużo.

Dostałem od Kalinowskiego samochód, kilku ludzi i pojechałem trochę z bólem głowy do tego Natolina. Natolin leży niedaleko Warszawy, między Wilanowem a Konstancinem. Po około godzinie jazdy minęliśmy Wilanów i po kilku kilometrach skręciliśmy w prawo z szosy, gdzie w odległości około pół kilometra od szosy rozciągał się bardzo duży park, w którym była siedziba prezydenta Bieruta. Wieś Natolin była trochę dalej za parkiem.

Wjechaliśmy do środka przez bramę, którą otworzył stróż sprowadziwszy przedtem skierowanie z jednostki, które mu przedstawiłem, po czym udaliśmy się do wskazanych nam przez strażnika kilku domków fińskich. W jednym z tych domków mieszkała część grupy żołnierzy, którzy dotychczas pracowali w parku (część druga została zwolniona do rezerwy).

Żołnierze, którzy przyjechali ze mną, dołączyli do tych pozostałych i był komplet do pracy. Ja zamieszkałem w następnym domku fińskim, a po kilku dniach przybył do mnie z pułku ppor. Wesółowski na mojego zastępcę d/s politycznych. Bardzo się ucieszyłem, bo będzie nam we dwóch dużo raźniej niż mnie samemu, no i będzie komu prowadzić zajęcia polityczne z plutonem.

Kilka słów o tej sławnej rezydencji Bolesława Bieruta – prezydenta Polski. Park o powierzchni mniej więcej jakieś dwa kilometry kwadratowe (mogę się mylić w ocenie). Przed wojną własność hr. Tyszkiewicza, w parku pałac, zabudowania gospodarcze i obok sadzawka z rybami. Piękne drzewa i krzewy, czyste i dobrze utrzymane alejki. Kilka domków fińskich dla obsługi parku. Parku strzegli wartownicy z KBW, oprócz tego było trochę służby. W parku było sporo zwierzyny, były daniele, kilka czy kilkanaście sztuk, tyleż saren i para pięknych jeleni. Z tych zwierząt bardzo wyróżniał się koziołek (żołnierze z KBW nazywali go „sorek”). Koziołek był bardzo agresywny i przed jego rogami trzeba było się mocno a mocno bronić. W związku z tym po parku chodzić trzeba było z tęgim kijem dla obrony przed „sorkiem”.

Park jak, już wspomniałem, był w jednym końcu zabagniony i moi poprzednicy pod kierownictwem inżyniera od spraw melioracji wykonywali właśnie meliorację owej podmokłej części parku, a do wykonania pozostało jeszcze wykonanie rowu odprowadzającego wodę z owej części parku do systemu melioracyjnego znajdującego się poza parkiem.

Rów należało wykopać poprzez cały park i to tak by nie zeszpecił parku, a dodatkową przeszkodą i trudnością była kurzawka, co wyszło w czasie wykonywania rowu. Chcąc ułożyć na dnie rowu rurociąg betonowy trzeba było w dno rowu wbijać paliki i na tym dopiero układać elementy rurociągu.

Prace te wykonywaliśmy z powodzeniem, ale to szło bardzo wolno z powodu tej kurzawki i w związku z tymi dodatkowymi pracami, więc byliśmy trochę opóźnieni. Były obawy, że z tymi pracami może nas zastać zima. Spiesząc się nie porządkowaliśmy za sobą terenu, bo chodziło o to, żeby przed nastaniem mrozów zakończyć układanie rurociągu, prace zaś porządkowe wykonać później, gdyż można je było wykonywać w czasie mrozów.

Pewnego dnia zauważyłem, że po parku kręci się kilku mężczyzn, jedni spacerują po parku, inni siedzą na ławeczkach w parku i czytają gazety. Żołnierze (ci starsi, którzy tu byli od początku) mówili mi, że przyjedzie prezydent, a to są „tajniacy” z ochrony, którzy zawsze penetrują park i okolice przed przyjazdem prezydenta.

Tak jak mówili żołnierze, tak też się stało, przyjechał do Natolina prezydent ze swoją żoną. Samochód zatrzymał się po przekroczeniu bramy, prezydent wysiadł i pieszo udał się alejkami parkowymi do pałacu.

Przed prezydentem biegła cała plejada ochroniarzy, poprzez krzewy parku po obu stronach alejki, którą szedł prezydent. W ten sam sposób weszli w rejon pałacu i zniknęli na jego podwórku.

Następnego dnia spotkał mnie oficer w stopniu kapitana z ochrony prezydenta i powiedział mi, żebym udał się do prezydenta, bo mnie wzywa gdyż jest niezadowolony z naszej tu pracy. Powiedziałem kapitanowi, że zaraz pójdę i się zamelduję, ale muszę się przebrać w strój wyjściowy. Kapitan zsalutował i odszedł.

Szybko się przebrałem i poszedłem w kierunku pałacu. Po drodze myślałem czego u diabła ten człowiek chce od nas – no i przyznam się szczerze, miałem niezgorszego pietra. Gdy doszedłem w pobliże pałacu, w alejce stał inny oficer i powiedział, żebym udał się z nim.

Poszliśmy w kierunku pałacu i weszliśmy do środka. W dużym holu stał stół, przy którym siedział oficer i bez przerwy odbierał telefony. Powiedziałem mu, że mam się zameldować u prezydenta, więc przyszedłem. „Proszę usiąść i czekać, zaraz prezydent przyjdzie.” – odpowiedział oficer. W drodze do pałacu widziałem go, jak kręcił się po placu między budynkami gospodarczymi.

Po jakiejś pół godzinie przyszedł. Podeszedłem energicznie i zameldowałem się. Przyjął meldunek, podeszedł do mnie i przywitał się ze mną podając rękę, a następnie zaczął pytać czy mamy tu dobre warunki, czy dobre wyżywienie mają żołnierze i czy dostaliśmy mleko od służby pałacowej (mleko było, bo Bierut na imieniny czy urodziny podobno dostał od Stalina pięć czerwonych krów, które były umieszczone gdzieś u chłopca w Natolinie) i dalej pytał czy prowadzimy zajęcia polityczne z żołnierzami. Na wszystkie pytania odpowiedziałem, że wszystko jest w porządku – bo było!

Następnie prezydent zapytał dlaczego teren po wykopie pod rurociąg nie jest uporządkowany, leży wykopana i porozrzucana ziemia i szpeci park. Odpowiedziałem, że wszystkich ludzi zatrudniłem przy wykopie i układaniu rurociągu co jest bardzo pracochłonne z powodu występowania tzw. kurzawki. Chcemy ułożyć rurociąg zanim nastaną

mrozy, bo później będzie to niemożliwe, natomiast roboty porządkowe można będzie wykonywać przy ujemnej temperaturze.

Trochę mój rozmówca z początku nie był przekonany, ale później rzekł: „Może i macie rację, pracujcie dalej, ale o porządku w parku pamiętajcie.” Pożegnał mnie podaniem ręki i poszedł do jednego z pokojów pałacu.

Tak się skończyło to moje niespodziewane spotkanie z Bierutem. Jaki mi się on wydał? Ot taki sobie zwyczajny chłopina, a wyobrażamy sobie, że to nie wiadomo kto no i o takie drobnostki mu chodziło – pomyślałem. A z wyglądu był szczupły, niski taki sobie kurdupel – myślałem dalej, dobrze, że się nie rozszerzył, bo mógłby mocno zaszkodzić, ale wszystko skończyło się dobrze.

Wróciłem do swego fińskiego domku i dalej pracowaliśmy przy tym cholernym rurociągu. Bierut i jego ekipa po dwóch czy trzech dniach pobytu odjechali i tak nadszedł dzień 15 września – czas jechać do Puław do Oleńki! Nadchodzi oto bardzo ważny okres w moim życiu.

15-go września przekazałem obowiązki por. Wesołowskiemu i pojechałem na „polski urlop” do Puław, bo nic innego w tej sytuacji nie mogłem zrobić. Najpierw autobusem pojechałem do Warszawy, kupiłem na ul. Targowej dwie złote obrączki, wsiałem do pociągu i pojechałem do Puław.

W Puławach oczekiwano mnie z niecierpliwością no i trochę z obawą co będzie jeżeli nie przyjadę.

Przyjechałem – powitaniami i opowiadaniem nie było końca. Oleńka bardzo się cieszyła no i zaraz wzięliśmy się za przygotowania do wesela. Trzeba było dopiąć do końca wszystkie formalności związane z zawarciem związku małżeńskiego - tak u księdza, jak i w Urzędzie Stanu Cywilnego.

Ustaliliśmy, że ślub odbędzie się 18-go września o godz. 18 w kościele, który kiedyś ufundował ks. Czartoryski. Ślub cywilny odbędzie się w terminie późniejszym. Przyjęcie weselne odbędzie się w domu u państwa Misiurków. Dlaczego tak skromnie? Wtedy po wojnie nie bardzo było można wynająć sobie salę w jakiejś instytucji, zaprosić 100 czy 250 gości i później chwalić się i licytować ile to gości było i jak się bawili. Po prostu nie było takich możliwości, ani nie było takich sal do wynajęcia ani środków do takich hucznych wesel. Sporo czasu musiało upłynąć od wojny zanim takie możliwości się pojawiły.

Tak więc wesele odbędzie się w domu. Pokój u Misiurków bardzo duży, kuchnia też bardzo duża, sprzęty domowe wyniesie się trochę wyżej na strych i dwa duże pomieszczenia są do dyspozycji – nie będzie tak znowu skromnie. Będzie dobrze. Tak ono i było!

W dniu 18-go września przed godz. 18 goście weselni byli w komplecie, chyba około 30-stu osób. Oleńka ubrana w białą suknię i welon, wyglądała przepięknie, ja natomiast trochę gorzej, choć dość przyzwoicie - w mundurze wojskowym. Orszak ruszył pieszo do kościółka, bo kościółek znajdował się zaraz po drugiej stronie ulicy i nie było co i gdzie wykręcać pojazdami.

W kościele wysłuchaliśmy mszy św., no a po mszy oczywiście za chwilę ślub! Serce zaczęło mi bić mocno, napięcie rosło. Na dany znak organista gra marsz weselny, podchodzimy do ołtarza i niezapomniane słowa przysięgi małżeńskiej, a zwłaszcza te, „że Cię nie opuszczę aż do śmierci” Nie opuszczę!

Widziałem, że Oleńka też była bardzo wzruszona i poważna. Włożenie obrączek i koniec ceremonii. Wychodzimy z kościoła, odbieramy gratulacje od wszystkich członków

rodziny i przyjaciół. Nie było rzucania groszy, bo nie było jakoś wtedy takiego zwyczaju. Po przyjęciu gratulacji oraz życzeń wsiedliśmy oboje z Oleńką do dorożki i pojechaliśmy do fotografa, by zrobić zdjęcie ślubne. Goście udali się do domu weselnego - do Misiurków na wesele.

Po wykonaniu zdjęć wracamy do domu weselnego, w progu witają nas Rodzice z chlebem i solą, całujemy chleb, biorę Oleńkę na ręce i przenoszę przez próg zgodnie z panującym zwyczajem. Zajmujemy swoje honorowe miejsca za stołem. Goście śpiewają „sto lat”, strzela szampan no i rozlega się skandowanie „gorzka wódka”. Wiadomo co na takie wyzwanie czynią „młodzi”. To skandowanie „gorzka wódka” powtarzało się bardzo często w czasie toastów. Całowaliśmy się bez miary bardzo wiele razy – taki był i jest zwyczaj, trzeba przyznać, że dobry zwyczaj.

Siedząc za stołem na tym honorowym miejscu rzuciłem okiem na cały pokój biesiadny i stoły. Wyglądało bardzo dostatnio – to zasługa Rodziców Oleńki, którzy pokryli koszty, mimo że zostali, jak już pisałem, całkowicie ograbieni przez sowieckich żołnierzy i nic nie dostali - żadnej rekompensaty czy zapomogi (jak na przykład po pożarze). Były więc przygotowane najróżniejsze potrawy i dania. Nie będę ich wszystkich wymieniał, powiem ogólnie, że było bardzo dostatnio i pięknie wszystko przygotowane. Goście byli zadowoleni, wznoszono toasty, prowadzono ożywione rozmowy.

Później, gdy z Oleńką opuściliśmy na trochę swoje honorowe miejsce przy stole, mieliśmy możliwość posłuchania trochę rozmowy mego ojca z ojcem Oleńki. Mówi mój ojciec: „Franek to bardzo dobry chłopak, dba o rodzinę i jest pracowity i uczciwy”. Na to ojciec Oleńki: „A przecież i ona jest dobrą dziewczyną i Franek nie straci jak się z nią ożeni”. Podbudowało to nas, no i wprawiło w dobry humor. Później nawet po latach wspominaliśmy nieraz tę rozmowę dwóch ojców.

Tymczasem zaczęły się tańce. Goście tańczyli w domu weselnym i w przygotowanym pokoju u sąsiadów. Zabawa weselna przebiegała bardzo spokojnie, nie było żadnych nieporozumień i sprzeczek, co się niestety nierzadko na różnych weselach zdarza. Bawiono się do rana i tak to się skończył mój kawalerski stan. Jestem żonaty!

Wspominając o naszym ślubie i weselu muszę również wspomnieć o gospodarzach w domu, gdzie odbywało się wesele - o siostrze Oleńki – Marysi i jej mężu Heńku, którzy niemało włożyli trudu, by pomóc Oleńce i przygotować to wesele. W ich domu przecież się ono odbyło, u nich mieszkała Oleńka i oni przyjmowali życzliwie mnie i Oleńkę nie tylko w okresie narzeczeństwa, ale i wiele lat po ślubie. Byliśmy i jesteśmy im za to bardzo wdzięczni.

Wesele, wesele i po weselu. Po kilku „miodowych” dniach trzeba niestety wracać z „polskiego urlopu” do Natolina, bo nie wiadomo co tam się dzieje, więc pożegnałem się z domownikami, podziękowałem za wszystko co dla mnie i dla Oleńki uczynili i już jako „chłop żonaty” pojechałem do tego Natolina.

W Natolinie nic ważnego nie zaszło, ale po kilku dniach przysłano z pułku oficera na zastępstwo. Byłem potrzebny w pułku, bo w szkole podoficerskiej z początkiem października rozpoczynał się rok szkolny i trzeba było wszystko przygotować. Pojechałem do pułku i zameldowałem się u dowódcy szkoły, a ten polecił mi żebym organizował przyjęcie 1-go plutonu w poczet elewów, to jest, żebym założył ewidencję, dzienniki szkolenia itp. Po wykonaniu tego mam pojechać na krótki urlop wypoczynkowy, bo: „przecież macie zawrzeć związek małżeński.” „Już go zawarłem!” – odpowiedziałem.

## Rozdział IV

### We dwoje

Tak więc znowu mam jechać do Puław, tym razem na urlop wypoczynkowy, bo w tym roku z urlopu wypoczynkowego nie korzystałem. Pojechałem na ten oczekiwany urlop gdzieś pod koniec września, czy na początku października.

Miesiąc miodowy, spędziliśmy u Misiurków i częściowo u rodziców Oleńki. Wzięliśmy również ślub cywilny w magistracie w Puławach. Czas mijał szybko, urlop się skończył i wróciłem sam z powrotem do Kazunia. W Kazuniu czekała mnie normalna praca tj. szkolenie codzienne swego plutonu szkolnego, którego byłem dowódcą.

Szkolenie szkoleniem, ale trzeba się rozejrzeć za mieszkaniem dla nas dwojga, a może i kiedyś trojga? Zacząłem więc starania o to mieszkanie i złożyłem podanie do kwatermistrza pułku. Odpowiedział mi, że mieszkań nie ma, więc nie może mi takiego przydzielić. Zacząłem działania i poszukiwania na własną rękę.

W wyniku tych poszukiwań znalazłem mieszkanie jednopokojowe z kuchnią, przedpokojem i łazienką w bloku oficerskim. Mieszkanie to zajmowało dwóch czy trzech oficerów kawalerów, którzy byli gdzieś w terenie na sianokosach czy na rozminowaniach. W mieszkaniu tym zastałem tylko materace, które wyrzuciłem na strych, a mieszkanie poleciłem sprzątnąć swoim chłopakom z plutonu.

Wystarałem się o urlop przeniesieniowy, bo taki też mi się należał. Urlop ten dostałem razem z reprimendą od kwatermistrza za to, że samodzielnie zająłem mieszkanie. „Gdzie teraz zamieszkają ci oficerowie, gdy wrócą po wykonaniu zadania?” – zapytał. „Niech zajmą ten pokój, który ja dotychczas zajmowałem do spółki z Zygiertem – tam miejsca jest dosyć.” – odpowiedziałem kwatermistrzowi.

Długo kwatermistrz kręcił nosem lecz wreszcie zaaprobował ten stan jaki zaistniał. Do tego mieszkania przy pomocy żołnierzy wstawiłem szafę biurową bez półek (mogła być na ubrania), stół, kilka krzeseł i starą, bardzo starą kozetkę. Łóżko miałem jeszcze z rozminowań, żelazne, solidne i materace też.

Po takich przygotowaniach pojechałem do Puław na urlop przeniesieniowy po Oleńkę.

Oleńka spakowała swoje skromne wyposażenie, pożegnaliśmy się z rodzicami i rodziną po czym udaliśmy się do Kazunia, do „urządzonego” przeze mnie mieszkania. Oleńka jak mogła tak starała się upiększyć to prawie puste mieszkanie - zawiesiła firanki, położyła serwetę na stół. Takie to były wtedy czasy, bardzo trudne i ciężkie. Nie pomógł nam wtedy nikt, no bo kto mógł nam pomóc? Nasi rodzice? – oni sami potrzebowali po tej wojnie pomocy. Dobrze, że urządzili wesele.

Tak więc zdobyliśmy jaki taki dach nad głową. Mieszkanie było całkiem niezłe tylko, że umeblowanie i wyposażenie bardzo, ale to bardzo skromniutkie – prawie nic nie było w domu. Na obiady, kolacje i śniadania chodziliśmy do kasyna oficerskiego, które znajdowało się w tym samym budynku, w którym mieszkaliśmy. Z żywienia oficerowie i ich rodziny korzystali wtedy bezpłatnie, a to dlatego, że uposażenie oficera było raczej symboliczne i stanowczo nie stać by było żadnego oficera (nawet starszego) na opłacenie żywienia w kasynie czy też zapewnienia sobie i swojej rodzinie żywienia w domu.

Nasze radości, troski i bycie razem w naszym pierwszym mieszkaniu nie trwały jednak długo – jak to w wojsku. Zostałem pewnego dnia wezwany do sztabu pułku i powia-



domiony, że jestem skierowany na roczny Kurs Doskonalenia Oficerów (KDO) do Wrocławia i że mam się stawić we Wrocławiu pod koniec listopada. Żadne tłumaczenia, że przecież dopiero co zawarłem związek małżeński, że urządzam z trudem mieszkanie, nie odniosły wtedy żadnego skutku.

Skoro tak, to gdzieś w połowie listopada tegoż 1948 roku spakowaliśmy swoje manatki i byliśmy gotowi do opuszczenia Kazunia i swojego pierwszego zdobytego nie małym trudem mieszkania. Ja miałem jechać do Wrocławia, a Oleńka do Puław.

Popełniłem jednak przed odjazdem „gruby” błąd – odstąpiłem na czas kursu nasze mieszkanie mojemu koledze i przyjacielowi por. Zygiertowi, a mogłem przecież i miałem do tego prawo, zamknąć i zaplombować mieszkanie aż do czasu mojego powrotu. Wyświadczyłem przysługę koledze, bo mnie o to prosił i to był błąd.

Pojechaliśmy oboje z Oleńką, nie bez żalu, w drogę. W Warszawie pożegnaliśmy się, bo Oleńka z niemałym bagażem wsiadła do pociągu odjeżdżającego do Puław, a ja czekałem na pociąg do Wrocławia. Czekać myślałem jak ta Oleńka poradzi sobie z tym bagażem w Puławach w nocy, ale Oleńka to bardzo a bardzo dzielna dziewczyna – poradziła sobie o czym napisała mi później w liście.

Tymczasem podstawiono pociąg i pojechałem do Wrocławia. W Szkole Oficerskiej we Wrocławiu zameldowałem się gdzieś około 9 rano i zostałem skierowany do kompanii (czy grupy) KDO.

Kurs Doskonalenia Oficerów mieścił się w bloku koszarowym szkoły na drugim piętrze i zajmował całą jedną kondygnację. Kurs liczył około 60 oficerów i był podzielony na dwie grupy szkoleniowe po około 30-stu oficerów każda. Znalazłem się w drugiej grupie.

Rozkład zajęć był następujący - pobudka o godzinie szóstej, szósta dziesiątka do szósta trzydziestu gimnastyka, później toaleta, porządki, śniadanie w kasynie oficerskiej i od godziny 8 do 15 zajęcia, a później tzw. praca świetlicowa, nauka własna i czas wolny, z którym nie wiadomo było co robić.

Nauka odbywała się w każdej grupie oddzielnie. Wykładano przeważnie przedmioty ścisłe, a więc matematyka, fizyka, elektrotechnika, maszyny inż., silniki spalinowe, nauka kreślenia, projektowanie mostów, fortyfikacji itp. Przydała mi się bardzo ta nauka, bo ja byłem w Kazuniu zapisany na korespondencyjne kursy maturalne i zdałem 9-tą klasę.

Nauka szła mi dość dobrze, chociaż byłem spóźniony z kursem o jakieś dwa tygodnie i musiałem nadrabiać materiał, dawałem sobie jednak radę, ale do czasu.

Już od dłuższego czasu tj. chyba od kilku miesięcy zacząłem nerwowo odczuwać skutki rozminowywania, a ściślej mówiąc stresów, których doświadczałem w ciągu trzech lat na rozminowaniu. Już w Kazuniu źle się czułem i jeździłem kilka razy do lekarza w Warszawie, ale teraz dolegliwości się nasiliły i znowu udałem się do specjalisty w szpitalu wojskowym we Wrocławiu.

Specjalista skierował mnie na oddział neurologiczny do szpitala wojskowego na leczenie. Leczenie głównie polegało na leżeniu w łóżku, przyjmowaniu leków no i masażu oraz „elektryzacja”, czyli też masaż wałkiem elektrycznym. Po siedmiu dniach leczenia wróciłem do szkoły, ale czułem się niewiele lepiej.

Szkolenie szło swoim utartym trybem, jak to w wojsku, tyle tylko że coraz to nowe wieści o wydarzeniach politycznych w kraju tu dochodziły i nie nastrajały nas w szkole optymistycznie. W tym czasie wzmógł się terror polityczny w Polsce, zwalniano przedwojennych oficerów z wojska z tym, że jedni szli do domu, a inni do więzienia. Aresztowano

Władysława Gomółkę i Mariana Spychalskiego i zaczęto przymusowo organizować tzw. spółdzielnie produkcyjne na wzór sowieckich kołchozów i sowchozów. Pomału przygotowywano Polskę jako republikę sowiecką, słowem w polityce było bardzo źle.

Ze mną też było źle, czułem się nerwowo coraz gorzej i gdzieś pod koniec marca lekarz, który mnie dotychczas leczył skontaktował mnie z lekarzem psychiatrą ze Szpitala Wojewódzkiego we Wrocławiu celem konsultacji i ustalenia dalszego leczenia.

Doktor, który mnie badał to znany psychiatra, „sława” - dr Juss orzekł, że mam psychonerwicę i że wymagam leczenia szpitalnego. Skierowano mnie więc do tegoż Szpitala Wojewódzkiego dla nerwowo i psychicznie chorych na oddział nerwowy.

W szpitalu tym było kilka oddziałów, od oddziału nerwowego aż do oddziałów dla psychicznie chorych, które były oddzielone od siebie. Leczenie tam zajęło mi wtedy około dziesięciu dni. Po wyjściu dostałem 7 dni zwolnienia od zajęć.

Te siedem dni zwolnienia wykorzystałem w ten sposób, że po porozumieniu się z Oleńką i załatwieniu formalności w dowództwie Szkoły udaliśmy się oboje do kuzynki Oleńki do m. Bardo-Przyłek położonej w górach Sudetach. Przepiękna miejscowość, przepiękne góry, wymarzone miejsce do wypoczynku po uciążliwych i niebezpiecznych zabiegach w szpitalu.

Kuzynka Oleńki z mężem mieszkali w pięknym domku w Bardo-Przyłoku. Przyjęli nas bardzo życzliwie i serdecznie, odstąpili nam umeblowany pokój ze wszystkimi wygodami. Byliśmy traktowani u nich jak członkowie rodziny. Takich życzliwych kuzynów spotyka się rzadko.

Czas upłynął na wycieczkach w góry. Najlepiej wspominam wycieczki na górę (nie pamiętam jej nazwy) gdzie po drodze na szczyt są rzeźby przedstawiające narodzenie i żywot Pana Jezusa. To było dzieło całego życia artysty.

Czas na zwiedzaniu i wycieczkach u miłych kuzynów Oleńki szybko minął i trzeba wracać do swoich codziennych obowiązków – ja do Wrocławia, a Oleńka do Puław. Pożegnaliśmy się z miłymi kuzynami, podziękowaliśmy serdecznie za życzliwość i gościnę i pojechaliśmy. We Wrocławiu przesiedliśmy się – odprowadziłem i pomogłem wsiąść Oleńce do pociągu odchodzącego do Lublina, a sam czekałem na autobus i pojechałem do szkoły.

Po tym leczeniu i zabiegach w szpitalu i po tym zdrowotnym i niezwykle przyjemnym urlopie czułem się znacznie lepiej. Nauka mi szła bardzo dobrze. Na kwaterze w koszarach też. Mieszkaliśmy w pokojach małych - po trzech w każdym. Ja kwaterowałem w pokoju z Kazikiem Pogodzińskim, którego znałem z Kazunia, a drugi sublokator to Pawlonka, też znajomy z Przemyśla – obaj dobrzy, mili koledzy.

W pokoju u nas, i u nie tylko u nas, wisi na czołowej ścianie krzyż. Pewnego dnia wszedł do naszej sali oficer w stopniu pułkownika, a był to kierownik do spraw personalnych wojsk inżynieryjnych w Departamencie Kadr MON. Chwilę porozmawiał z nami, później spojrzął na krzyż i wskazując go palcem zwrócił się do nas i spytał: „Wi w to wierzycie?” Po akcencie poznałem, że to Żyd, ale czy Żyd czy Arab, powinien uczucia innych szanować. Odpowiedzieliśmy, że tak!.

To się nie bardzo mu podobało, postać chwilę w milczeniu i później wyszedł z naszego pokoju. Za kilka dni wszystkie krzyże, które wisały w pokojach na całej naszej kondygnacji zostały zdjęte bez żadnego słowa – dlaczego? Nikt nie pytał dlaczego, bo wiadomo było co się dzieje w kraju.

Bez względu na to co się działo w kraju, zajęcia na KDO w szkole szły normalnym trybem przez całą wiosnę 49r. i tak do sierpnia. W sierpniu poczułem się znowu gorzej i trzeba było leczenia szpitalnego, a przecież zbliżał się koniec kursu, mieliśmy prawie na wykończeniu projekty mostów, dróg, fortyfikacji, które trzeba będzie bronić – sytuacja moja była bardzo trudna.

Nie pomogły żadne leczenia ambulatoryjne, musiałem znowu wędrować do szpitala, tego samego, w którym leżałem kilka miesięcy temu i na ten sam oddział nerwowy.

Zgłosiłem się w szpitalu i zostałem przez siostrę zaprowadzony na oddział i do sali, w której było dla mnie przygotowane łóżko. Sala była bardzo duża, stało w niej około dziesięciu łóżek, na których leżeli chorzy. Co to byli za jedni i na co chorowali ci moi towarzysze niedoli?

Obok mnie po prawej stronie leżał kierownik restauracji z Wrocławia – podejrzenie choroby na kiłę. We krwi u niego nie stwierdzono nic podejrzanego, ale w płynie rdzeniowym tak. Leczone go malarią, które polegało na tym, że wstrzykiwano mu zarazki malarii, organizm natychmiast reagował wysoką (około 40 stopni) gorączką i ta gorączka miała zwalczyć jego chorobę – na razie bez skutku.

Po lewej stronie sali, łóżka zajmowali młodzi żołnierze chorzy na epilepsję. Powinni być zwolnieni z wojska, ale warunkiem było, że atak epileptyczny musi zobaczyć i potwierdzić lekarz. Na razie jakoś lekarz na atak nie trafił, a te były chyba za mojego pobytu dwa razy.

Inni chorzy to adwokat z Wrocławia cierpiący na podobną chorobę jak ja, to jest nerwicę. Zapamiętałem go dlatego, że odwiedzało go młode małżeństwo (mniej więcej w moim i Oleńki wieku), a była to jego córka z mężem – wyglądali na zakochanych w sobie. Troszczyli się bardzo o chorego ojca.

Mnie nikt nie odwiedzał. Koledzy z KDO zajęci byli mocno egzaminami, a rodzina i Oleńka za daleko, żeby często mnie odwiedzać. Zresztą nie tak dawno (kilka miesięcy temu) byliśmy u jej kuzynki.

Pozostali chorzy cierpieli na mniej więcej podobne do mojej choroby i poddawani byli różnym zabiegom. Na przykład leżący kilka łóżek dalej żyd w wieku około 40 – stu lat z uszkodzonym kręgosłupem brał masażę i jęczał na całą salę aj waj, aj waj. Masażysta, potężnie zbudowany autochton, masował go nie zwracając uwagi na krzyki. Trzeba było mieć mocne nerwy, żeby tego słuchać.

W moim leczeniu zastosowano inną niż dotychczas metodę – leczono mnie teraz zastrzykami z insuliny. Polegało to na tym że wstrzykiwano mi stopniowo codziennie coraz wyższą dawkę, aż do tego stopnia, że dostawałem tzw. wstrząsu (szoku) i traciłem przytomność. Ten wstrząs po upływie chyba jednej czy dwóch minut (nie pamiętam) przerywano w ten sposób, że podawano mi do wypicia kubek zbożowej białej mocno osłodzonej kawy, po której wypiciu odzyskiwałem szybko przytomność.

Bardzo ważne było, żeby nie spóźnić się z przerwaniem tego szoku, bo to groziło śmiercią pacjenta. Raz byłem tego bardzo bliski, kiedy zagapiła się czy zagadała odpowiedzialna za to siostra. Na szczęście zdążyła jeszcze w ostatniej chwili wyprowadzić mnie z tego szoku.

Po takim zabiegu i odzyskaniu przytomności byłem przez około godziny oszołomiony poczym dochodziłem całkowicie do siebie. Tak było po każdym zabiegu.

Te zabiegi powodowały ogromny apetyt na jedzenie, a w szpitalu wyżywienie było raczej skromne. Dużo mnie w tym względzie wspomagał mój sąsiad, który był leczony malarią. On dla odmiany nie miał wcale apetytu po tych zastrzykach malarii i wysokiej tempe-

raturze, która go potem męczyła. Ten mój sąsiad, o czym mi wspominał, był kierownikiem dużej restauracji i pracownicy (jego podwładni) przynosili mu dużo, ale to bardzo dużo jedzenia i to jakiego? – nie będę opisywał – same specjały. Mój sąsiad zaledwie spróbował i nie miał apetytu by to jeść. Po sąsiedzku odsyłał to wszystko do mnie.

Ja za to miałem apetyt nie za dwóch, ale chyba za czterech. Nieraz mówiłem żartem, że chyba zjadłbym nawet to łóżko, na którym leżę. Taki apetyt powodowały te iniekcje insuliny. Niezależnie od wsparcia żywnościowego, jakiego mi udzielał życzliwy chory sąsiad, przysyłało mi z domu też sporą paczkę z żywnością. Wszystko zjadałem szybko i z apetytem.

Co poza tym działo się w szpitalu i jaki był ten nasz szary dzień? Było normalnie, rano śniadanie później zabiegi, obchód. Po obiedzie, a czasem również i przed obiadem wyjście z oddziału do położonego przed budynkiem szpitala dużego ogrodu. Ogród był duży i piękny, rosły tam krzewy i piękne drzewa, były boiska do siatkówki i kosza, fontanna, trawniki, klomby z kwiatami – słowem „ogród rajski”.

Pogoda w tym czasie dopisywała na te zabawy w ogrodzie. Był sierpień i były pogodne, słoneczne dni, a nawet czasami upały. Graliśmy więc w siatkówkę lub w kosza, braliśmy prysznic pod fontanną – to nic, że był zimny, byliśmy przecież (mówię o sobie) młodzi.

Było wesoło, bo wychodziły z nami również babki z oddziału neurologicznego (inne oddziały nie miały wstępu) i gry sportowe odbywały się wspólnie (bez podrywania). Na wyjście do ogrodu trzeba było mieć zezwolenie od lekarza prowadzącego. Ja takie zezwolenie miałem. Byłem dosyć silny fizycznie, a nerwowo? – leczyłem się.

Po około trzech tygodniach tego leczenia ordynator oddziału dr Jeżewska oznajmiła mi, że stan mojego zdrowia poprawił się znacznie i że będę wypisany ze szpitala z zaleceniem unikania stresów przez pewien dłuższy okres czasu. Ucieszyłem się, że stan mojego zdrowia się poprawił, ale się jednocześnie zastanawiałem nad tym, jak służąc w wojsku uniknąć stresów o czym mówiła pani doktor.

Po tej rozmowie otrzymałem zaświadczenie o pobycie i leczeniu w szpitalu (coś w rodzaju dzisiejszego wypisu) przebrałem się w swój mundur wojskowy, pożegnałem się, podziękowałem za opiekę i leczenie lekarzowi i siostram po czym udałem się do szkoły oficerskiej na KDO.

Kurs Doskonalenia Oficerów był już zakończony i oficerowie wyjechali do swoich jednostek tak, że sale były puste. Udałem się więc do sztabu szkoły, gdzie otrzymałem świadectwo ukończenia kursu i skierowanie do macierzystej jednostki, to jest do 2-go Pułku Saperów w Kazuniu. Świadectwo, a właściwie stopnie na tym świadectwie, wypisano na podstawie oceny prac projektowych, które miałem dość zaawansowane, lecz nie zakończone z powodu leczenia w szpitalu, oraz na podstawie średniej oceny z całego roku. Oceny te były całkiem dobre.

Po otrzymaniu tych dokumentów, udałem się na dworzec skąd pojechałem do Warszawy, a następnie autobusem do Kazunia i zameldowałem się u dowódcy pułku. Dowódca pułku płk Gołubicki (Polak z Rosji) przyjął mnie życzliwie, przeczytał skierowanie ze szkoły i świadectwo (wypis) ze szpitala, po czym oznajmił mi, że wyznaczył mnie na komendanta pułkowej Szkoły Podoficerskiej – rozkaz w tej sprawie ukaże się za kilka dni, a tymczasem jedźcie na urlop wypoczynkowy za 49 rok i wracajcie zdrowym, bo czeka was dużo pracy! – powiedział. Podziękowałem, zsalutowałem i wyszedłem.

Pojechałem więc zgodnie z zaleceniem dowódcy pułku na urlop wypoczynkowy – gdzie? Oczywiście do Oleńki do Puław.

W Puławach na urlopie było bardzo miło, spokojnie i można było wypocząć. Zamówiliśmy trochę niezbędnych do zamieszkania mebli tj. stół, szafę ubraniową i łóżko. Na urlopie byłem krótko - chyba dwa tygodnie, potem zabrałem Oleńkę i pojechaliliśmy oboje do Kazunia.

W Kazuniu tymczasem wynikły trudności z odzyskaniem mieszkania, które przed moim wyjazdem na Kurs zajmowaliśmy. Ten mój kolega por. Zygiert (kawaler), któremu na czas mojego pobytu na Kursie odstąpiłem to mieszkanie, teraz nie mógł go mi oddać. Zostaliśmy więc na przysłowiowym lodzie.

W tej trudnej, kłopotliwej sytuacji przyszedł mi z pomocą inny mój kolega Stefan Kalinowski, ten z którym rok temu obchodziłem jego imieniny w Warszawie, gdy wstąpiłem tam w drodze do Natolina.

Stefan dobry przyjaciel i kolega, żonaty, mieli syna (chyba miał rok). Zajmowali mieszkanie, dwa pokoje z kuchnią, przedpokojem i łazienką. Przyjęli nas jako sublokatorów na wspólne mieszkanie i byli bardzo, ale to bardzo mili i życzliwi. Mieszkaliśmy u nich ze dwa tygodnie w jak najlepszej zgodzie. Na dowód tego wspominam, że spaliśmy wszyscy czworo (oba nasze małżeństwa) w jednej sypialni w dwu zsuniętych ze sobą małżeńskich łóżkach. Tak we czwórkę spaliśmy przez cały czas naszego wspólnego mieszkania bez nieporozumień (pomyłki się nie zdarzały!).

Któregoś pięknego dnia Kwatermistrzostwo pułku powiadomiło mnie, że przydzielono mi mieszkanie. Poszliśmy więc z Oleńką je obejrzeć. Było identyczne, takie samo jak przed moim wyjazdem na KDO, tyle tylko, że było w drugiej klatce schodowej tego samego budynku.

Cóż więc robić? Pojechałem znowu do Puław, zamówiłem wagon i po jego podstawieniu załadowaliśmy te meble, które niedawno kupiliśmy w Puławach. Teraz udałem się znowu do Kazunia i trzeba było czekać aż te meble przyjdą – bo co postawimy w tym naszym nowym mieszkaniu?

Wagon z tymi kilkoma meblami przyszedł po kilku dniach, ale był podstawiony do rampy znajdującej się w tzw. stoczni po drugiej stronie Wisły. Do Kazunia nie było połączenia kolejowego. Tak więc pojawiła się mała trudność w dostarczeniu tych kilku gratów z wagonu do naszego mieszkania, bo most na Wiśle był zniszczony w czasie wojny.

Dowódca pułku w tej sytuacji przydzielił mi prom z parku pontonowego wybudowany w ramach ćwiczeń któregoś pododdziału i kuter. Tym promem przewiozłem przy pomocy kilku żołnierzy meble na tę stronę Wisły i przywieźliśmy samochodem pod budynek, w którym było nasze mieszkanie, po czym żołnierze wnieśli je i ustawili w mieszkaniu. Tak więc po tych trudach nareszcie jesteście u siebie.

Oleńka i ja zaczęliśmy znowu ustawiać graty, przymierzać i urządzać, upiększać to nasze mieszkanie – ale czy ono jest tak naprawdę nasze? – na razie tak, a co dalej będzie zobaczymy – może niedługo znowu gdzieś przeniosą i kołomyja zacznie się od nowa? – myślałem.

Taki to jest ten miód w wojsku, o którym wielu mówiło i zazdrościło nie bardzo wiedząc jaki ten miód jest czasami gorzki. My z Oleńką tego miodu napiliśmy się teraz do syta i aby go więcej nie pić.

Zaczęły się dla nas szare normalne dni, praca i krzątania. Przyjąłem obowiązki Komendanta Szkoły, a to duża odpowiedzialność i bardzo dużo pracy. W domu najpierw zrobiliśmy tzw. osiedliny czyli taką małą bibkę po wprowadzeniu się do mieszkania. Przyszli

moi koledzy i koleżanki, bo Oleńka bardzo szybko zawarła znajomości w nowym otoczeniu – miała do tego wiele umiejętności. Wypiliśmy trochę wina, pogadali, pośpiewali, staliśmy się jakby częścią tej nowej społeczności – przynajmniej tego wieczora i w tym gronie.

Oleńce doszły teraz nowe obowiązki, bo trzeba gotować posiłki w domu – tak przynajmniej postanowiliśmy po tym, jak oficerowie dostali dodatek do uposażenia i tracili prawo do bezpłatnego wyżywienia w kasynie oficerskim.

Warunki bytowe kadry trochę się poprawiły, bo oprócz dodatku na wyżywienie, oficerowie otrzymali gabardynowe mundury wyjściowe (lub materiał), tak że było w co się przebrać z tych „galaretowatych” drelichów. Dostaliśmy również skórzane buty (zamiast dotychczas brezentowych) lub skórę na ich wykonanie.

W niedziele i święta można było wysłuchać mszy św. Na placu sportowym montowano ołtarz z pontonów, przyjeżdżał ksiądz z parafii Kazuń i odprawiała się msza św. Do mszy służyli dwaj podoficerowie ze szkoły podoficerskiej. We mszy uczestniczyło bardzo wielu żołnierzy i oficerów. W okresie zimowym nabożeństwo odprawiał ksiądz w kościółku na terenie koszar. To wszystko trwało do 1950 r., później w skutek odgórnych poleceń aparatu politycznego, odprawiania nabożeństw na terenie koszar zaprzestano. Można było chodzić do kościoła parafialnego w m. Kazuń (około 3 km) i tam chodziliśmy.

Co więcej w czasie wolnym? – obok bloków oficerskich było boisko sportowe i mała hala sportowa, można było grać i ćwiczyć do woli. Często odbywały się mecze piłki nożnej i zawody sportowe między pododdziałami pułku. Od czasu do czasu wyświetlano filmy na terenie koszar oraz organizowano wyjazdy do odległej 30 km Warszawy do kina lub do teatru, a także na ważniejsze zawody sportowe. Wyjazdy organizowała sekcja polityczna pułku.

Były też imprezy, a właściwie wtedy jedna impreza, tym razem smutna. Na terenie koszar odbył się sąd pokazowy. Skład sędziowski przyjechał z Warszawy. Sądzone st. szeregowego Niewiadomskiego za to, że w czasie urlopów brał udział w akcjach AK i skazano go za to na karę śmierci.

Wyrok wykonano na terenie poligonu, a właściwie na strzelnicy pułkowej na tzw. 6-stym forcie. Przyjechał wtedy sędzia czy prokurator oraz pluton żandarmerii. Przyprawiono skazańca i ustawiono obok kulochwyty na strzelnicy i tam był wkopany w ziemię słupek, do którego miano przywiązać skazańca, ale on się nie zgodził ani na przywiązanie do słupa, ani na zawiązanie opaską oczu. Był bardzo spokojny. Prokurator odczytał wyrok i żandarmeria go wykonała. Wyrok wykonano w obecności całego pułku. Co można o tym powiedzieć? - bestialstwo i ohyda! Takie to wtedy były czasy i „wymiar sprawiedliwości”.

W kraju trwał nasilony terror stalinowski, a w wojsku oprócz tego rodzaju wyroków zwalniano oficerów przedwojennych do cywila. W naszym pułku zwolniono płk. Budziszewskiego zastępcę d/s liniowych dowódcy pułku. Był to wzorowy, kompetentny oficer i bardzo porządny, uczynny człowiek – szkoda! Zwolniono również naszego dowódcę batalionu mjr Boguszewskiego też przedwojennego oficera.

Poza tym w pułku trwały normalne ćwiczenia. Pułk otrzymał nowy park pontonowy N2-P, z którego budowano mosty i promy do przeprawy. Żołnierze doszli w budowie mostów i przepraw z tego parku do wielkiej wprawy. Organizowano bardzo często ćwiczenia pokazowe, na które przyjeżdżały grupy szkoleniowe z Centrum Wyszkożenia Piechoty z Warszawy oraz wiele innych grup szkoleniowych. Tak to upłynął rok 1948.

Następny rok zaczął się tak samo jak i poprzedni, szkolenie, szkolenie i jeszcze raz szkolenie, codziennie harówka po poligonie wodnym i lądowym. W tym to roku pokłóciłem

się z oficerem informacji pułku por. Poradko. Poszło o pisarza – kreślacza st. szer. Stokowskiego, który był zatrudniony u mnie w kancelarii szkoły i wykonywał prace biurowe, robił grafiki, wykresy, sprawozdanie itp, a było tej pracy po uszy.

Stokowskiego spotkał kiedyś ów Poradko, a ponieważ wiedział, że to dobry pisarz i kreślacz, więc zatrudnił go u siebie po kilka godzin dziennie. W tym stanie rzeczy praca w szkole leżała, bo mój pisarz został zatrudniony „na lewo” u oficera informacji, któremu bardzo wiele wtedy było wolno. Gdy dowiedziałem się o tym, odbyłem rozmowę ze swoim pisarzem i zabroniłem mu bez mojej wiedzy wykonywać prace poza szkołą.

Po kilku dniach oficer informacji wezwał mnie do siebie do kancelarii na rozmowę (miał wtedy jako oficer informacji do tego prawo) w sprawie tego pisarza Stokowskiego.

Kiedy wszedłem do niego do kancelarii, zaatakował mnie bardzo ostro i bezceremonialnie w ten sposób, że powiedział mi: „macie te gwiazdki – to bardzo szybko możecie ich nie mieć!”. Odpowiedziałem mu zupełnie spokojnie, że to nie on awansował mnie do stopnia oficerskiego i nie ma on żadnego prawa do mego stopnia i do moich gwiazdek, a co się tyczy st. szer. Stokowskiego to ja przede wszystkim jestem jego przełożonym i ze mną należało uzgodnić ewentualne zatrudnienie go w informacji.

Przez cały czas tej ostrej wymiany zdań Poradko siedział za biurkiem i bawił się pistoletem, który leżał w wyciągniętej szufladzie biurka. W ten to sposób ten „stróż prawa” chciał mnie nastraszyć tym pistoletem.

Nie przestraszyłem się jednak jego zabawy pistoletem i podniesionego głosu i oświadczyłem, że Stokowski więcej się u niego nie zjawi chyba, że dowódca pułku zadecyduje, że ma u niego Stokowski pracować. To powiedziawszy wyszedłem i zatrzasnąłem drzwi za sobą.

Tym sposobem naraziłem się mocno na gniew informacji. Odtąd byłem u nich na indeksie i szukali na mnie okazji żeby się odegrać, ale nie zdążyli, bo niedługo zostałem przeniesiony do innej jednostki – ale o tym później.

Oprócz zdarzeń nieprzyjemnych były również zdarzenia dobre. Siostra Oleńki – Marysia – z Puław urodziła córkę, a Oleńka od pewnego czasu była w ciąży i według kalendarza poród powinien nastąpić gdzieś pod koniec lipca, a więc cieszymy się, bo to już niedługo.

Czas płynął szybko i pod koniec czerwca uzgodniliśmy z Marysią z Puław, że przyjedzie w lipcu by opiekować się Oleńką w okresie porodu. Po sąsiedzku mieszkała pani Materkowska – akuszerka - z córką i zięciem tak, że nie będzie potrzeby odwozić Oleńki do szpitala w Warszawie – będzie rodzić w domu, bo akuszerka jest na miejscu ( mieszka w tej samej co my klatce schodowej).

W lipcu pojechałem po Marysię do Puław i zabrałem ją wraz z córeczką Aliną (miała już ponad pół roku) była bardzo, a bardzo pięknym dzieckiem. W pociągu w przedziale współpasażerowie zachwycali się dziewczynką. Tak dojechaliśmy do Warszawy i po prześiadce do autobusu „wylądowaliśmy” w Kazuniu.

W Kazuniu powitaniom nie było końca, obie siostry cieszyły się ze spotkania no i zaczęło się czekanie na tego mającego przyjść na świat naszego pierwszego dziecka. Czy to będzie chłopak czy dziewczynka? – oto jest pytanie. Oboje chcieliśmy żeby był syn – no i był syn. 27 lipca 1950 r. urodził się syn bez komplikacji, zdrowy, duży, ładny chłopak. „Odbierała” poród p. Materkowska – akuszerka, a zaraz po urodzeniu chłopaka „przyleciała” koleżanka Oleńki Teresa Grudzińska z mężem Tośkiem. Po ich przyjściu wypiliśmy „pępkowe” no i gratulacjom nie było końca w tym dniu, a także i w następnych, bo i inni koledzy i koleżanki gratulowali nam syna.

Marysia pomagała nam chyba z tydzień czy więcej i pojechała z powrotem do Puław. Ustaliliśmy, że chrzciny odbędą się w Puławach we wrześniu, bo na ten właśnie miesiąc miałem zaplanowany urlop wypoczynkowy za 1950 rok.

Oprócz tego radosnego wydarzenia urodzin naszego syna, w tym samym miesiącu, ale wcześniej, bo 22 lipca otrzymałem awans do stopnia kapitana, tak że okazji do świętowania były dwie.

We wrześniu udaliśmy się już we troje na urlop wypoczynkowy do Puław, gdzie mieliśmy ochrzcić naszego syna. Chrzest odbył się w Puławach, a chrzciny u rodziców Oleńki w Jaroszynie. Rodzice chrzestni syna to rodzeństwo Marysia i Stefan Michtowie – brat i siostra Oleńki. Sporo kłopotów mieliśmy z wybraniem imienia dla syna. Na drugie imię postanowiliśmy, że będzie Jan, po dziadku. Gorzej było z pierwszym imieniem, bo ja chciałem, żeby był Henryk, a Oleńka, żeby był Janusz – a jak wyszło?

Wyszło tak, że ochrzciliśmy i nadaliśmy imiona Henryk Jan, a wołaliśmy i nazywaliśmy codziennie i do dziś Janusz. Tak więc był „wilk syty i owca cała”, bo oba imiona były w obiegu. Przyjęcie u rodziców Oleńki było spokojne i raczej skromne bez lawiny prezentów, bo czasy takie były jakie były.

Urlop spędziliśmy częściowo u rodziców Oleńki, a głównie u Marysi i Heńka w Puławach. Czas szybko mijał, a z nimi i urlop, a więc wracamy do Kazunia. W Kazuniu nic specjalnego się nie działo, a w październiku rozpoczęliśmy szkolenie następnego turnusu w szkole podoficerskiej, które miało trwać do września następnego roku.

Zbliżały się tymczasem Święta Bożego Narodzenia, które będziemy po raz pierwszy jako małżeństwo i rodzina (bo przecież było nas troje) obchodzić w swoim mieszkaniu. Oleńka zrobiła odpowiednie zakupy, a to było trudne wtedy zadanie, bo brakowało wszystkiego, ale jakoś te zakupy zrobiliśmy. Postaraliśmy się również o choinkę, którą Oleńka ubrała tak, że wszystko było zgodnie z tradycją. Świętowaliśmy razem z Grudzińskimi raz u nich, a raz u nas. W sylwestra przyjechała koleżanka Oleńki - Stasia Deraziewiczówna z Puław, którą gościliśmy kilka dni.

Nadszedł rok 1951, a wraz z nim nowe kłopoty i to dość nieprzyjemne. Kilka miesięcy przed nowym rokiem dowódca pułku wezwał mnie do siebie na rozmowę, w której omawialiśmy sprawy szkoleniowe. Przy okazji dowódca powiedział, że widziałby mnie jako zastępcę dowódcy pułku d/s liniowych. Napomknął również, że chodziłoby o moje upartyjnienie, ale to tak było w luźnej rozmowie i konkretnych propozycji nie było.

Z tej rozmowy wynikało, że powinienem wstąpić do partii, to dowódca wystąpi z wnioskiem o przeniesienie mnie na zastępcę dowódcy pułku. Na wstąpienie do partii nie miałem wcale ochoty i namyślałem się długo. Wspomniałem o tym swemu koledze Zygiertowi i spytałem go co tu robić w tym przypadku? „Zapisz się!” – powiedział z przekąsem i na tym się na razie rozmowa zakończyła.

Nie zapisałem się do partii i nie zostałem awansowany, ale otrzymałem rozkaz, że bym zameldował się w Departamencie Kadr MON pod koniec stycznia. W Departamencie Kadr oznajmiono mi, że jestem przeniesiony do 10 Dywizji Zmechanizowanej na stanowisko szefa saperów dywizji. Nie było mowy o żadnych wyjaśnieniach – rozkaz Szefa Wojsk Inżynieryjnych i to wszystko. Trzeba się rozliczyć i jechać do Wrocławia, bo tam się mieścił Sztab 10 DZ celem objęcia stanowiska.

Zrozumiałem, że żadne moje racje nie będą tu wzięte pod uwagę – nie zapisałem się do partii więc nie mieli dla mnie stanowiska w pułku. Odmeldowałem się i wyszedłem. Myślałem sobie po drodze w czasie powrotu do domu do Kazunia, że oto już się nacieszyłem



małżeństwem i moim rodzinnym mieszkaniem i że trwało to bardzo krótko i że chyba oboje z Oleńką mamy jakiegoś pecha.

## Rozdział V

### 10 Dywizja Zmechanizowana w Opolu

Niedługo przyszedł rozkaz o przeniesieniu mnie do 10 DZ, więc rozliczyłem się z jednostką w Kazuniu, wziąłem skierowanie i po pożegnaniu się z Oleńką wyruszyłem w Polskę do owego Wrocławia. Było to na początku lutego. Zameldowałem się najpierw u szefa sztabu 2-go Korpusu Zmechanizowanego. Po krótkiej rozmowie i wyjaśnieniu co, jak, dlaczego itp. zostałem skierowany już do sztabu 10 DZ, gdzie miałem objąć stanowisko szefa saperów. Sztab 10 DZ mieścił się również we Wrocławiu, więc od razu tam pojechałem. Po załatwieniu wszystkich formalności i zameldowaniu się u dowódcy 10 DZ skontaktowałem się z odchodzącym, a właściwie odjeżdżającym, szefem saperów na szkolenie do Akademii w Leningradzie.

Przyjmowanie obowiązków też nie trwało długo, bo mój poprzednik spieszył się z tym wyjazdem do Leningradu. Po przekazaniu mi ksiąg materiałowych i krótkim zapoznaniu z organizacją dywizji i pododdziałów saperskich wchodzących w jej skład, pożegnał się ze mną i odjechał.

Zamieszkałem na razie w tzw. pokoju gościnnym dla przyjeżdżających służbowo do Sztabu i zacząłem myśleć co dalej? – chyba trzeba będzie myśleć o mieszkaniu, bo co ja tu będę robił bez Oleńki i bez Janusza?

Po dwóch czy trzech dniach udałem się do kwatermistrza dywizji i zapytałem go jak to będzie z moim mieszkaniem. Ja nie mam żadnego mieszkania! – odpowiedział mi mjr Hofman, kwatermistrz dywizji – chyba, że dam wam swoje mieszkanie. Po dłuższej jednak rozmowie zaproponował mi mieszkanie – duże trzy pokoje z kuchnią, ale do spółki z jeszcze jednym oficerem. Ja miałbym zająć dwa mniejsze pokoje, a on jeden większy, zaś kuchnia i urządzenia sanitarne byłyby wspólne.

Co miałem robić? – przystałem na tą propozycję – wtedy nie było się zbyt wymagającym, bo nie było po temu warunków i trzeba było brać życie takie jakie było. W tym wypadku wziąłem mieszkanie jakie było możliwe do wzięcia.

Po otrzymaniu kluczy udałem się następnego dnia do dzielnicy Krzyki, bo tam znajdował się budynek, w którym było to przydzielone mi mieszkanie. Po wysiadce z tramwaju zacząłem iść w stronę ulicy, gdzie miał być ten dom. Wrażenie jakie odniosłem po drodze było bardzo kiepskie, dookoła ruiny domów, a w tych ruinach pełno szczurów, które co chwile przebiegały przez do połowy zasypane gruzem ulice i miałem wrażenie, że te szczury mogą mnie zaatakować, a tak były rozzuchwalone, że niewiele robiły sobie z tego, że ktoś przechodził.

Dobrnąłem wreszcie do uliczki, gdzie był ten właśnie dom. Uliczka nie była zniszczona w przeciwieństwie do innych leżących obok ulic. Dom wyglądał całkiem dobrze, a były w nim cztery czy sześć mieszkań, nawet bardzo ładnych. Mieszkanie, w którym miałem mieszkać było na piętrze, tak jak wspomniałem dwa małe pokoje (a może średnie) i jeden duży pokój utrzymane w dobrym stanie, łazienka, kuchnia i duży przedpokój.

Z domu wychodziło się do dość dużego ogrodu, też dobrze utrzymanego i wszystko byłoby bardzo dobrze gdyby nie to, że mamy to mieszkanie do spółki z inną rodziną – no ale jak to będzie, to zobaczymy, kiedy wszyscy się tam wprowadzimy. Wziąłem urlop przeniesieniowy i pojechałem tak jak to czyniłem już przedtem do Kazunia, zamówiłem wagon, załadowałem graty przy pomocy żołnierzy, wróciłem do Wrocławia i tam czekałem, aż przyjadą.

Wagon z „gratami” przyszedł dość szybko, bo po kilku dniach. Miałem sporo kłopotów z wyładowaniem, przewozem i wniesieniem sprzętu do mieszkania, bo przydzielono mi tylko jednego żołnierza, tak że narobiliśmy się we dwóch dobrze.

Rozlokowałem się w tych dwóch mniejszych pokojach, zgodnie z ustaleniami, no i częściowo w kuchni, tak że jak Oleńka przyjechała z Puław, to pokoje i kuchnia były już jako tako skromnie urządzone. Oleńka tylko po swojemu kobiecą ręką ulepszała, to co ja zrobiłem.

Zapoznaliśmy się dość szybko z sąsiadami mieszkającymi na tej samej kondygnacji, a byli to państwo Ociesowie - małżeństwo bezdzietne w naszym wieku i państwo Godowscy - ludzie starsi już na emeryturze. Kpt Ociesa, podobnie jak i ja, służył w sztabie 10 DZ, był na etacie szefa wydziału zwiadowczego dywizji, tak że będziemy pracować obok siebie, a czasami razem.

Praca w sztabie dywizji nie nastroczała mi większych trudności. Odwiedziłem wszystkie pododdziały saperские wchodzące w skład dywizji tj. Kompanie Sap. w pułkach zmechanizowanych i batalion saperów (dywizyjny) w Świdnicy. We wszystkich pododdziałach prowadzone było szkolenie w/g programów. Ćwiczeń większych na razie nie było.

Ten stan rzeczy trwał do początku maja tegoż roku, to jest do wyjazdu jednostki i sztabu 10 DZ na poligon ćwiczebny Biedrusko. Na poligon, który trwał od maja do października, trzeba było zabierać ze sobą wiele gratów, pościeli itp. przedmiotów, bo wyjeżdżały razem z oficerami całe ich rodziny.

Na początku maja podstawiono dla Sztabu DZ i ich rodzin transport kolejowy i po załadowaniu tego całego bałaganu – majdanu, transport ruszył w stronę Biedruska. Rodziny oficerów sztabu też jechały tym transportem w oddzielnym osobowym wagonie. Jednostki dywizji ładowały się na transporty w swoich garnizonach i udawały się na poligon Biedrusko.

Po wielu godzinach jazdy i długich postojach na poszczególnych stacjach, transport nasz dojechał rano następnego dnia do stacji Bolechowo leżącej około 5 km od Biedruska. Czekaliśmy tam też dość długo na samochody, a gdy przyjechały załadowaliśmy swoje manele i pojechaliśmy do Biedruska.

Pokój do zamieszkania otrzymaliśmy w murowanym baraku mieszkalnym i zawieźliśmy tam swoje rzeczy. Wyposażenie pokoju było skromne - dwa żołnierskie łóżka, stół i jedna czy dwie żołnierskie szafy ubraniowe. Naczyń do gotowania nie było, bo wyżywienie było w kasynie oficerskim. W tym baraku oprócz nas pokoje otrzymało kilka rodzin w tym i państwo Ociesowie - nasi sąsiedzi z Wrocławia co nas bardzo ucieszyło, bo to mili sąsiedzi – będzie nam raźniej!

Sztab dywizji ulokował się też w murowanym dużym baraku. Oficerowie i pracownicy urządzali pokoje i przygotowywali sprzęt do pracy sztabowej Jednostki dywizji (pułki zmechanizowane, pułki czołgów i inne) kolejno przybywały na poligon i rozbijały namioty w lesie na skraju poligonu, przygotowywali magazyny i inne urządzenia niezbędne do zakwaterowania, wyżywienia i szkolenia stanu osobowego.

Kilka słów o poligonie Biedrusko. Poligon dość duży chyba kilkanaście kilometrów kwadratowych i to tak „na oko”. Poligon leży na lewym brzegu Warty i zaczyna się gdzieś 8-10 km na północ od Poznania, a kończy kilkanaście kilometrów dalej na północ – taki szeroki kilkukilometrowy pas przylegający do rzeki Warty, częściowo zalesiony (na obrzeżach). Na poligonie stoi okazały budynek, a jest to klub oficerski i jednocześnie hotel oraz

kasyno. Obok klubu i poza nim stoją murowane baraki mieszkalne rozmieszczone przy wybrukowanych uliczkach, których pełno za klubem, stanowią one swego rodzaju osiedle mieszkaniowe wykorzystywane w czasie pobytu na poligonie przez kadrę oficerską, żołnierzy, a także na pomieszczenia dla sztabów itp.

Oprócz „osiedla” tych baraków jest tu kilka jednopiętrowych budynków wielomieszkaniowych, w których zamieszkuje stała obsługa poligonu, a przede wszystkim kadra oficerska w czasie poligonu i ćwiczeń. Jest także tu kilka willi wykorzystywanych przez wyższe dowództwo w czasie ćwiczeń, a także przez gości odwiedzających poligon – tych ważniejszych gości, bo mniej ważni zamieszkują w razie potrzeby w hotelu w klubie.

Poza wymienionym osiedlem z klubem oficerskim był wtedy, a może jest i teraz, tartak oraz urządzenia zaopatrujące w wodę, energię itp. Był także sklep WCH na okres poligonu. Więcej nie pamiętam, bo to było przecież tak dawno.

Co działo się na poligonie w Biedrusku? – przede wszystkim Dywizja organizowała i przeprowadzała ćwiczenia sztabowe, polegające na tym, że sztab dywizji i sztaby pułków oraz pododdziały obsługujące sztab dywizji prowadziły ćwiczenia na mapach polegające na zapoznaniu się z założeniem do ćwiczeń i inną dokumentacją przyslaną z wyższego szczebla, naniesieniu podanej w założeniu sytuacji ćwiczebnej na mapie, wypracowanie przez kolejne sztaby decyzji i rozkazów do wykonania podanego w założeniu zadania.

W zależności od podawanych co jakiś czas umownych sytuacji, sztaby zajmowały kolejne rejonu ześrodkowania i opracowywały dokumenty potrzebne przy organizacji i dowodzeniu jednostkami w czasie walki i przekazywały je podległym jednostkom i pododdziałom do wykonania przy pomocy posiadanych środków łączności.

Niedługo po przyjeździe do Biedruska sztab naszej dywizji odbył takie ćwiczenia. Z rejonu ześrodkowania w Biedrusku zajmując kolejne rejonu „wylądowaliśmy” po pięciu dniach w rejonie Kołobrzegu. Do morza było już niedaleko, więc grupa kilkunastu oficerów i ja z nimi pojechaliśmy zobaczyć morze.

Morze widziałem wtedy po raz pierwszy w życiu i byłem zachwycony. Pogoda była piękna, wiatr dosyć spory powodujący dość duże falowanie. Wszyscy byli pod urokiem tego naszego morza. Staliśmy długo, patrzyliśmy i dopiero oficer dowodzący tą wycieczką wezwał nas do samochodu. Czas wracać do zgrupowania Sztabu naszej DZ, a ponieważ ćwiczenia tu się kończyły, więc wracamy do Biedruska na nasz poligon.

Ćwiczenia te trwały pięć dni i dały nam wszystkim dobrze „w kość”. Przyznam się, że w ciągu tych pięciu dni spałem chyba kilka godzin, bo nie było czasu na odpoczynek i spanie – był ogromny nawal pracy w warunkach polowych. Było też zimno, bo ćwiczenia były prowadzone gdzieś w połowie maja, tak że były też i spore przymrozki („zimna Zośka”).

Te ćwiczenia, które opisałem były ukoronowaniem całego zimowego okresu szkolenia, który zaczynał się chyba w listopadzie ćwiczeniami kompanijnymi, a następnie po odpowiednich ćwiczeniach przygotowawczych ćwiczeniami batalionowymi, później pułkowymi, aż do ćwiczeń dywizyjnych, które tu opisałem. Ćwiczenia kompanijne, batalionowe i pułkowe były prowadzone z całym składem osobowym. Dywizyjne prowadzone były jako ćwiczenia dowódczo – sztabowe bez udziału całego stanu osobowego dywizji (opisałem je powyżej) – udział tu brały tylko batalion łączności, batalion rozpoznawczy i kompania techniczna.

Na poligonie następował okres szkolenia letniego jednostek natarcie, obrona, natarcie z forsowaniem przeszkody wodnej i różne strzelania. Okres ten i poligon trwały od początku maja do połowy września i kończyły się ćwiczeniami tzw. korpusnymi.

Ćwiczenia te organizował 2 Korpus Zmechanizowany, a brały w nim udział sztaby naszej 10 DZ i 11 DZ, które wchodziły w skład tegoż 2 Korpusu Zmechanizowanego i oczywiście sztab korpusu, a oprócz tego pododdziały łączności i rozpoznania dywizyjne i korpusu.

Ćwiczenia trwały około tygodnia do 10 dni i tak kończył się letni okres szkolenia na poligonie w Biedrusku. Pododdziały i sztaby wracały do swoich garnizonów. Taki to był cykl rocznego szkolenia jednostek i pododdziałów 2 korpusu zmechanizowanego w skład, którego wchodziła również nasza 10 Dywizja.

Po tym opisie ćwiczeń jakie odbywały się co roku, wracam do Biedruska dokąd właśnie przyjechałem po pięciodniowych ćwiczeniach.

Oleńka w tym czasie zajmowała się Januszem, który miał już przeszło pół roku, trzeba było gotować dla niego posiłki na maszynie elektrycznej, wychodzić na spacer i opiekować się tak jak to czyni prawie każda matka.

Pokój, który zajmowaliśmy w baraku, nie był zbyt wygodny, jego dwa okna były od północy (pokoje od południa zajmowali oficerowie informacji – „święte krowy”). W pokoju więc było zimno dla malca, a ogrzewać nie bardzo było czym, bo ta kuchenka elektryczna psuła się co chwila, a na nową nie bardzo były pieniądze, a i kuchenek nie było – to nie to co dziś!

Któregoś dnia po powrocie z ćwiczeń nagle nam zachorował Janusz. Rano, gdy już wychodziłem do pracy zrobił się cały siny i odnieśliśmy wrażenie, że dziecko umiera. Pobiegłem co sił do lekarza dywizyjnego, ale już najgorsze minęło, bo chłopak zwymiotował papierosa, którego przedtem wziął do buzi i zjadł i stąd było to nagłe omdlenie. Papierosa, którego zapaliłem w nocy, zgasilem i nieopatrznie zostawiłem w popielniczce, no i kłopot. Dobrze, że się tak pomyślnie skończyło, bo mogło być dużo gorzej.

Ponieważ niepowodzenia tak jak nieszczęścia chodzą parami, więc gdzieś po dwóch tygodniach od tego przypadku z Januszem, teraz ja zacząłem szwankować na zdrowiu. Częste wyjazdy, napięcia, stresy no i byle jakie nieregularne odżywianie zaczęły dawać znać o sobie. Zaczęło się to bólami żołądka, które budziły mnie gdzieś około północy i trwały niekiedy do rana.

Lekarz dywizyjny, do którego się zwróciłem skierował mnie do przychodni w Poznaniu. W przychodni po prześwietleniu stwierdzono owrzodzenie dwunastnicy. Lekarz zapisał mi lekarstwa i zapytał czy palę papierosy i jeżeli tak to ile wypalam dziennie. Odpowiedziałem, że wypalam dziennie od 20 do 40 sztuk i zależy to od napięcia nerwowego w czasie pracy.

Lekarz po usłyszeniu tego powiedział mi: „Jeżeli chce pan myśleć o leczeniu tej swojej choroby żołądka, to musi pan rzucić palenie lub je ograniczyć do kilku sztuk dziennie – inaczej to szkoda zachodu i starań”. Usłuchałem i zastosowałem się do zaleceń lekarza, a palenie rzuciłem od razu i nie paliłem ani jednego papierosa przez kilka lat.

Na poligonie tymczasem nic specjalnego się nie działo, tylko ciągle te szkolenie, szkolenie i jeszcze raz szkolenie, którego nie będę opisywał, bo szkoda czasu i sił – zresztą kto to zechce czytać?

W czerwcu miałem znowu sporo kłopotów z informacją. Wezwał mnie dowódca dywizji i kazał mi się zgłosić do oficera informacji Korpusu w pilnej sprawie. Kiedy wyszedłem od dowódcy, spotkałem na korytarzu sztabu mego kolegę kpt. Ociesę, który powiedział mi, żebym uważał, bo oficer informacji jeździ po całym poligonie i mnie poszukuje.

Nie wiedziałem co o tym wszystkim myśleć i co robić. Przychodziły mi do głowy różne myśli – a może się któryś z kolegów z AK „wygadał”, że należałem do AK, że brałem udział w akcji, gdy już byłem w wojsku. Przypomniał mi się los Niewiadomskiego rozstrzelanego w Kazuniu na strzelnicy. Tak by mogło być ze mną, ale na razie nic nie wiem i też nie wiem co robić – zastanawiam się.

Kiedy przechodziłem obok budynku informacji, zauważyłem, że przed budynkiem na ławce siedzi por. Ławrzecki szef saperów 27 pułku zmechanizowanego naszej dywizji. Kiwnąłem na niego ręką, a kiedy podszedł do mnie zapytałem go co on tu robi. Ławrzecki powiedział mi, że go pilnie też wezwano do informacji i że kazano mu tu czekać na dalsze polecenia. Podjąłem więc decyzję, że zgłoszę się i ja i że to wezwanie nie ma nic wspólnego ze sprawami moimi z przeszłości.

Zgłosiłem się więc do szefa informacji, a ten kazał mi zaczekać razem z Ławrzeckim przed budynkiem. Czekaliśmy chyba z godzinę niepewni o co właściwie chodzi, no i wreszcie przyszedł kpt. z informacji i oznajmił nam, że pojedziemy do Poznania do dyspozycji szefa informacji garnizonu Poznań, a gdy pytaliśmy o co właściwie chodzi odpowiedział, że o tym dowiemy się w Poznaniu u szefa informacji.

Pojechaliśmy więc we trójkę samochodem osobowym do Poznania do gmachu, w którym mieściła się informacja. Przyznam się szczerze, że strachu się najedliśmy niemało, bo wiadomym nam było aż nadto dobrze do czego zdolna jest informacja – do wszystkiego!

Podjechaliśmy pod gmach i weszliśmy do środka, a oficer zaprowadził nas do dużej sali. W tej sali na stole leżała otwarta walizka, a w niej jakieś szpargały – kable, elektrozapalniki i taśma izolacyjna. Oficer, który nas przyprowadził zapytał nas czy to co jest w tej walizce może być jakimś zagrożeniem, bo tę walizkę ktoś zostawił na dworcu kolejowym w Poznaniu i nikt się nie zgłasza po nią, więc milicja dostarczyła ją do informacji, a ci nie wiedzą do czego te zapalniki elektryczne i inne szpargały służą i czy są niebezpieczne, więc wezwali saperów. Dobrze – pomyślałem – ale czy w ten sposób wzywa się rzeczoznawców? Ale za bardzo się nie zdziwiłem, bo już trochę miałem możliwość poznać metody postępowania oficerów informacji.

Sporządziliśmy protokół, w którym opisaliśmy co było w walizce i co można z tego sporządzić no i na tym się skończyło. Oficer odwiózł nas z powrotem do Biedruska i było po strachu, którego mieliśmy niemało, bo po uszy.

Jest koniec czerwca, a ja mam zaplanowany urlop na lipiec, a więc przygotowania i przekazywanie obowiązków na czas urlopu i wreszcie wyjeżdżamy.

Podróż wtedy nie była łatwa, a zwłaszcza z małym dzieckiem. Pociągów było mało, a pasażerów bardzo dużo, więc tłok, szczególnie latem w okresie urlopu był wprost nieopisany. W takich to warunkach niesamowitego tłoku pojechaliśmy z Biedruska do Puław na urlop.

W Puławach i trochę u rodziców w Jaroszynie spędziliśmy dwa tygodnie i było bardzo fajnie. Trochę pomogliśmy rodzicom w polu, a trochę używaliśmy plaży i kąpieli w Wiśle. Na plaży któregoś pięknego dnia spotkaliśmy Stasię Deresiewiczówną – koleżankę Oleńki – z Jankiem - jej mężem, którego przy okazji poznaliśmy. Kąpaliliśmy się więc i opalali razem, a Janusz buszował w dużym ciepłym rozlewisku tuż obok rzeki na tej samej plaży.

Drugie dwa tygodnie planowaliśmy spędzić w Bytniu u mojej rodziny, więc pojechaliśmy do Bytnia. Dawno już tam nie byłem i ze wzruszeniem obserwowałem z okna pociągu mijane znajome strony. Wreszcie Uhrusk - znajoma stacja i kochany, kochany An-

toś – mój brat na peronie. Powitanie, Antoś bierze walizki i koniecznie ciągnie nas do siebie, ale obiecaliśmy mu, że na drugi dzień - jak odpoczniemy, to przyjdziemy do niego i przyszedliśmy, bo jakże to odmówić Antosiowi.

W domu powitała nas Marysia, moja siostra no i ojciec, bo Staszek służył wtedy w wojsku. Po przywitaniu ojciec jak zwykle przyniósł ćwiartkę, a Maria przyszykowała coś do jedzenia. Opowiadaniom nie było końca, bo nie widzieliśmy się dość długo.

Dom nasz był już wykończony prawie całkowicie. Zostały ułożone podłogi i sufit w pokoju no i trochę pokój umeblowano. Cieszyliśmy się wszyscy, ale najwięcej uciechy sprawiał Janusz, który właśnie na urlopie zaczął chodzić. Na drugi dzień, gdy do Marysi przysła koleżanka (starsza panna) Dziunia z Uhruska, to wysłały Oleńkę gdzieś do stodoły, a same zachwycaly się Januszem, który dumnie spacerował po podwórku przed domem.

W Bytyniu, a właściwie w sąsiedztwie Bytynia zaszły pewne zmiany, bo w ramach „akcji Wisła” wysiedlono Ukraińców z sąsiednich wsi, w których mieszkali ci Ukraińcy. Do ich domów i na ich gospodarstwa wprowadzili się Polacy zza Bugu. Udało się im niedawno uciec przed rzezią band UPA, ale pozostawili cały swój majątek za Bugiem.

W czasie pobytu w Bytyniu pomogliśmy ojcu i Marysi przy pracach w polu, no i odwiedzialiśmy wszystkich naszych krewnych i kuzynów, a więc Antosia w Woli Uhruskiej, Nowosadów „na klinie”, a także moją kuzynkę Lucynę i jej rodziców w Zbereżu. Lucyna już wyszła za mąż za Mietka Szlachtę i mają syna w wieku naszego Janusza.

Kilka słów o Staszku – moim młodszym bracie. Nie zastaliśmy go w domu, bo był w wojsku. Zanim został powołany do wojska wykończył całkowicie nasze mieszkanie. W wojsku właśnie ukończył szkołę podoficerów sanitarnych i jak mówił ojcu ma zamiar po zwolnieniu ze służby wojskowej zdawać do Liceum Felczerskiego w Chełmie – zobaczymy!

Urlop minął szybko w rodzinnych stronach i czas wracać do Biedruska do pracy i do służby. Podróż mieliśmy taką samą jak na urlop, już to opisałem – bardzo ciężką. Po przyjeździe na stację Bolechowo na dodatek okazało się, że nie przysłano mi obiecanego samochodu, żeby z tej stacji dojechać na poligon Biedrusko i musieliśmy z małym dzieckiem i bagażem drałować piechotą 5 km. Tej drogi nie będę opisywał, można sobie wyobrazić jaka była.

Na poligonie nic nowego, szkolenie normalne wojska, które trwało do końca września. Pod koniec września i na początku października jak co roku ćwiczenia Korpusu i zakończenie obozu szkolenia letniego w Biedrusku. Wracamy do garnizonów. Oleńka pojechała pociągiem osobowym do Wrocławia, bo transporty nasze poszły do Opola, gdyż przyszedł rozkaz, że sztab naszej Dywizji ma się przedyslokować z Wrocławia do Opola.

Ja nasze rzeczy załadowałem na samochód z którejś jednostki z Wrocławia i pojechałem transportem tej jednostki, a to dlatego, że spodziewałem się skierowania mnie na KDO do Wrocławia o czym już rozmawiałem z szefem Wojsk Inż Okręgu i w związku z tym nie widziałem potrzeby przewożenia rzeczy do Opola. W czasie jazdy jadłem kolację tak naprędce przygotowaną, a była to o ile pamiętam kielbasa.

Po przyjeździe do Wrocławia i rozładowaniu rzeczy już w domu dostałem silnych bólów brzucha i wysokiej temperatury sięgającej 40°C – zatrucie. Była godzina chyba 1-sza w nocy, a ja z tak wysoką temperaturą mało przytomny na tym „odludziu” na Krzykach – jak wezwać lekarza? – to nie to co dzisiaj, że można wezwać pogotowie telefonicznie.

Oleńka, jak już przedtem wspomniałem, to bardzo dzielna babka. Z Januszem na rękę poszła w nocy przez to gruzowisko na Krzykach pełne szczurów do odległego chyba ze 2 km Sztabu Okręgu i tam wezwała dyżurnego lekarza. Z lekarzem przyjechali do domu i lekarz udzielił mi pomocy. Takie to były czasy, warunki i „wygody”.

Sztab dywizji dość szybko przedyslokował się do Opolą i chcąc nie chcąc musiałem tam jechać do pracy i czekać kiedy mnie skierują do KDO, to wtedy byłbym rok we Wrocławiu. Na razie o skierowaniu nic nie było wiadomo, więc pojechałem do Opolą, a Oleńka do ... Puław, no bo co sama będzie robić we Wrocławiu?

Po upływie miesiąca dowiedziałem się, że nie zostanę skierowany na KDO do Wrocławia, więc muszę się przenieść do Opolą. Tymczasem mieszkanie przydzielone dla mnie w Opolu zajął inny oficer, tak że jak zwykle to u nas już było, zostaliśmy na lodzie. Co miałem robić? – poszedłem do kwatermistrza z prośbą by nam przydzielił mieszkanie. Kwatermistrz, tak jak to już kiedyś mi powiedział, że chyba mi odstąpi swoje mieszkanie, ale po dłuższej rozmowie polecił mi willę, w której były dwa mieszkania 4-pokojowe. Zrezygnowałem po obejrzeniu z tej willi i z tego mieszkania – no bo co ja będę ustawiał w tych pokojach i jak będę je ogrzewał.

Mój miły kolega i sąsiad kpt Ociesa powiedział mi, że obok jego mieszkania jest puste mieszkanie, z którego zrezygnował szef wydz. kadr naszej dywizji – zajmij je i będziesz mieszkał, bo kto cię wtedy ruszy jak się sprowadzisz? – doradził miły kolega.

Posłuchałem i sam (Oleńka była w Puławach) przewiozłem rzeczy z Wrocławia do tego mieszkania w Opolu, a ile to mnie kosztowało nerwów, trudu i wysiłków, to tylko ja wiem, bom się przeprowadzałem i jak widać z moich wspomnień nie raz jeden i w bardzo trudnych okolicznościach. Zaraz napisałem do Oleńki do Puław, żeby przyjechała – no i przyjechała! Ale zamiast się cieszyć, to byliśmy niezadowoleni, bo ja chciałem na to KDO, żeby przenieść się z tej dywizji do innej jednostki, do jednostki saperskiej, bo tych zarzucających sztabowców piechoty miałem powyżej uszu. Nie wyszło i trzeba się z tym pogodzić.

Mieszkanie w Opolu, do którego się przeprowadziliśmy było bardzo ładne - na drugim piętrze trzy pokoje z kuchnią i łazienką. Pokoje o powierzchni: dwa pokoje po 20 m<sup>2</sup> i jeden 15 m<sup>2</sup> byłyby bardzo dobre dla kogoś bogatszego od nas, bo my nie bardzo mieliśmy co wstawiać do tych trzech dużych pokoi, ale jakoś się urządziliśmy.

Do pracy miałem blisko, bo zaraz po drugiej stronie ulicy stał budynek, w którym się mieścił sztab naszej dywizji. Do kościoła też było blisko, bo jakieś 300 m, więc chodziliśmy co niedziela na msze św., a ponieważ nie należałem do partii, więc nikt mi z tego powodu nie robił żadnych uwag.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, Oleńka biegła za zakupami, bo wtedy jak wiadomo były bardzo duże trudności z zaopatrzeniem, więc przygotować coś tam na święta, to trzeba było się „nabiegać” po mieście, ale jakoś tam się zaopatrzyliśmy.

Tymczasem szanowne dowództwo z wyższego szczebla przygotowało oficerom sztabu dywizji piękny prezent na gwiazdkę. Prezent przywiózł generał Buszew, który tam z-ca d-cy Okręgu i to jaki prezent!

Buszew przyjechał w dzień Wigilijny rano, zarządził zbiórkę oficerów sztabu z d-cą dywizji na czele i oznajmił oficerom, że w okresie świąt należy wzmocnić czujność, bo wróg nie śpi. Oficerowie sztabu po zakończeniu odprawy winni udać się do podległych jednostek na kontrolę i dopilnować, żeby wszystko było w porządku w święta. Taki to „pre-



zent” przywiózł ruski generał oficerom sztabu na gwiazdkę. Podległy mi batalion dywizyjnych saperów stacjonował w Świdnicy, trzeba było więc jechać tam pociągiem, a to kawał drogi.

Po odprawie poszedłem do domu podzielić się z Oleńką tą „radosną” nowiną i tym ruskim prezentem na gwiazdkę. Można sobie wyobrazić co czuła Oleńka, gdy jej to powiedziałem i co czuliśmy oboje gdy na kilka godzin przed Wigilią wyjeżdżałem do Świdnicy na tę cholerną kontrolę, zostawiając Oleńkę w jeszcze obcym mieście z Januszem. Takie to wtedy były czasy. Wróciłem na drugi dzień Świąt rano.

Po świętach i Nowym 1952 roku specjalnego nic się nie wydarzyło – ciągle te same ćwiczenia i kontrole. Zaczynało się od ćwiczeń zimowych kompanijnych, które organizował sztab Korpusu jako pokazowe i stanowić miały wskazówkę dla jednostek obu dywizji - naszej 10-tej i 11-tej wchodzących w skład 2 Korpusu Zmechanizowanego, jak należy organizować i prowadzić ćwiczenia kompanijne.

Wtedy w 1952 roku w styczniu, sztab korpusu zorganizował te ćwiczenia pokazowe na poligonie w rejonie Żagania (w Żaganiu był sztab 11 dywizji) na bazie któregoś z pułków 11-tej dywizji. W tych ćwiczeniach jako obserwatorzy i rozjemcy brali udział oficerowie sztabów 10 i 11 DZ.

Pojechaliśmy wtedy czterech czy sześciu oficerów amerykańskim samochodem „dodge” z Opola do tego Żagania. Mróz wtedy był tęgi, a my jedziemy odkrytym samochodem autostradą do Żagania na poligon. Ubrani jesteśmy ciepło, ale pęd powietrza mroźnego w odkrytym samochodzie robi swoje i nad ranem gdzieś o godzinie 4-tej czy 5-tej robi się nie do wytrzymania, bo jechać zimno i zatrzymać się to też zimno, a wokół ciemno i pusto.

Na szczęście jadąc zobaczyliśmy, że niedaleko autostrady w chłopskim zabudowaniu pali się światło. Podjechaliśmy i zapukaliśmy do drzwi. Otworzył nam gospodarz trochę wystraszony tą niespodziewaną wizytą, bo akurat miał świniobicie i dlatego paliło się u niego tak wcześnie światło. Zapytaliśmy go czy możemy wejść do mieszkania i trochę się ogrzać, bo zamarzamy.

Gospodarz nie tylko zaprosił nas do środka, ale i poczęstował nas kaszanką i salcesonem świeżo zrobionymi. Któryś z oficerów miał butelkę wódki ze sobą, więc rozgrzaliśmy się na dobre razem z gospodarzem.

Po przybyciu do Żagania i odprawie udaliśmy się pod wieczór do rejonu ześrodkowania ćwiczącej kompanii. Kompania ześrodkowana była w lesie, skąd o świcie wyruszyć miała do natarcia. Żołnierze przygotowywali się do noclegu w lesie, przy mrozie chyba poniżej -10°C. Organizowali to w ten sposób, że czterech żołnierzy robiło namiot z płaszcznamiotów, obsypywali go mocno śniegiem, tak że namiot ten przypominał norę w śniegu, do której wciskało się czterech żołnierzy, kładli pod spód plecaki i przytuleni do siebie opatulali się kocami i tak trwali lub spali do świtu.

Ja i moi koledzy oficerowie spaliśmy w jakimś nie ogrzewanym pomieszczeniu w pobliskim PGRze i zmarzliśmy nie gorzej niż w czasie podróży samochodem, rozgrzaliśmy się dopiero wtedy, gdy ćwiczący żołnierze ruszyli do natarcia, brodząc niekiedy po pas w śniegu, którego wtedy było dużo. My też brodziliśmy za nimi po tym śniegu aż do miejsca gdzie następował szturm i kończyły się ćwiczenia.

Po tym ataku byłem cały mokry od potu i niesamowicie zmordowany, moi koledzy też. Byliśmy na tę imprezę za ciepło ubrani i mimo mrozu, przy takim wysiłku po pas w śniegu, każdy z nas był mokry. Ostygliśmy dopiero w samochodzie, który po nas przyjechał, by nas odwieźć z powrotem do Opola do tego stopnia, że dla odmiany trzęśliśmy się z zimna. Takie to były wrażenia z ćwiczeń pokazowych.

Podobne do opisanych ćwiczenia odbywały się przez całą zimę: kompanijne, batalionowe i pułkowe, a latem dywizyjne i jesienią korpusowe tak, że na brak zajęć i tyrania na mrozie, deszczu czy w upale nie można było narzekać i tak nam przeszedł rok 1952.

Zimą 1952 r. odwiedziły nas siostry: moja Marysia ze swoją koleżanką Dziunią i siostra Oleńki też Marysia. Było nam bardzo przyjemnie gościć „swojaków” w naszym domu, bo bardzo a bardzo tęskniliśmy za swoimi rodzinami. Goście pobyli, pogostiliśmy się, no i pojechali do domu.

My na wiosnę tegoż 53 roku, tak jak co roku, pojechaliśmy na obóz do Biedruska. W tym roku warunki mieszkaniowe na obozie były znacznie lepsze niż w latach ubiegłych. Mieszkaliśmy w budynku dwu piętrowym w mieszkaniu 3 pokojowym z kuchnią, łazienką i dużym przedpokojem z tym, że my zajmowaliśmy jeden pokój, drugi zajmował por. Wyszomirski chemik dywizyjny z żoną, a trzeci pokój zajmował por. Piszcz – oficer z wydz. kadr dywizji wraz z żoną i jej rodzicami. Pozostałe pomieszczenia były do użytku wspólnego.

Mieszkało nam się bardzo dobrze i choć trzy rodziny to w dobrej zgodzie. Oleńka i mama Piszczowej przyrządzały śniadania i kolacje (każdy dla siebie), a na obiady chodziliśmy do kasyna oficerskiego, które mieściło się w klubie oficerskim niedaleko od naszego budynku. Oleńka przygotowywała te śniadania i kolacje głównie ze względu na mnie, zaczął mi dokuczać znowu ból żołądka, a był to efekt nieregularnego odżywiania się w czasie ciągłych wyjazdów na kontrole i ćwiczenia. Dowódca, biorąc pod uwagę mój stan zdrowia, zwolnił mnie z ćwiczeń i wyznaczył zadanie na miejscu przy budowie amfiteatru polowego niedaleko klubu oficerskiego i budowy wieży obserwacyjnej na strzelnicy poligonu.

Nie musiałem więc wyjeżdżać na ćwiczenia, a po poligonie jeździłem rowerem, który zafundowała mi Oleńka. Rower na owe czasy był bardzo piękny i koledzy mi zazdrościli, bo to na poligonie rower to wielka wygoda.

Lato w Biedrusku miałyoby bez specjalnych zdarzeń, gdyby nie tylko jedno bardzo ważne zdarzenie - Oleńka oznajmiła mi, że jest w ciąży. Bardzo ucieszyliśmy się oboje i mówiliśmy, że będziemy mieli córkę.

Jesienią wróciliśmy do garnizonu do Opola i wszystko byłoby po staremu, ale w połowie października otrzymałem zawiadomienie, że mam stawić się niezwłocznie w Warszawie w Wojskowej Akademii Technicznej gdyż jestem skierowany przez dowództwo Okręgu na Wyższy Akademicki Kurs przy WAT, który będzie trwał jeden rok.

Wiadomość ta zupełnie nas zaskoczyła, no i zmartwiła niepomnie – bo jakże ja pojedę na rok do Warszawy, a Oleńka zostanie w ciąży bez żadnej opieki w czasie jej trwania, a także w czasie porodu.

Oświadczyłem dowódcy dywizji, że z tych powodów na kurs nie pojedę. Dowódca wysłuchał mnie życzliwie i obiecał interweniować w dowództwie Okręgu, a także w MON. Sprawa przeciągała się, a ja nie miałem wcale zamiaru jechać do Warszawy na to przeszkolenie.

Wreszcie po dwóch czy trzech tygodniach przyszedł rozkaz dowódcy Okręgu bym stawił się w Warszawie w Wojskowej Akademii Technicznej, a w razie odmowy wykonania tego rozkazu zostaną postawiony przed sądem za niewykonanie rozkazu dowódcy OW.

Dowódca dywizji przekazując mi ten kategoryczny rozkaz (według mnie nieludzki) obiecał, że Oleńce zostanie udzielona wszechstronna pomoc i że mogę spokojnie jechać do Warszawy. Byłem jednak bardzo niespokojny i Oleńka też. Nie będę opisywał jak było przy pożegnaniu, gdy odjeżdżałem do Warszawy – można to sobie wyobrazić. Oleńka została w

Opolu sama i na razie pomocy nie udzielił nikt ani dowództwo ani nasza kochana rodzina. Rodzina była daleko, a dowództwo miało grubo ważniejsze sprawy niż pomoc rodzinie oficera w potrzebie.

Do Warszawy wyjechałem z kilkutygodniowym opóźnieniem. Kurs WAK już trwał i musiałem znowu jak kiedyś we Wrocławiu nadrabiać zaległy materiał. Tak to jest, gdy wszystko robi się „na siłę” nie zważając na ludzkie sprawy, potrzeby i sytuacje rodzinne. Takie sprawy i potrzeby ludzkie nikogo w dowództwie wojsk nie obchodziły.

Wojskowa Akademia Techniczna wtedy, to kompleks budynków na Bemowie usytuowany po jednej stronie ulicy. Były to sale wykładowe, laboratoria oraz inne urządzenia i budowle służące do nauki i szkolenia podchorążych i uczestników kursów.

Po drugiej stronie ulicy był usytuowany budynek sztabu uczelni, kasyno oficerskie oraz bloki mieszkalne, w których kwaterowali podchorążowie i uczestnicy kursów. Było to swego rodzaju osiedle.

Po przyjeździe i załatwieniu różnych formalności dowódca naszej grupy szkoleniowej, płk Gawdzik, zaprowadził mnie do mieszkania w bloku, gdzie miałem zamieszkać na czas Kursu. Mieszkanie było na drugim piętrze dwu pokojowe z łazienką i innymi urządzeniami. W tych dwóch pokojach mieszkało już czterech oficerów – ja miałem być piąty.

Na drugi dzień po śniadaniu w kasynie oficerskim, poszedłem na pierwsze moje na kursie zajęcia. Nasza grupa szkoleniowa liczyła coś 12 czy 15 osób, wśród nich rozpoznałem moich kolegów ze szkoły oficerskiej oraz z Kazunia i ucieszyłem się bardzo, bo poczułem się bardzo „swojo” wśród saperskiej braci.

Zajęcia z przedmiotów wojskowych prowadzili oficerowie wykładowcy z WAT, natomiast inne zajęcia jak matematyka, fizyka, fizyka jądrowa, elektrotechnika i inne ścisłe przedmioty, które stanowiły większość w programie nauczania, prowadzili profesorowie warszawskich uczelni. Poziom nauczania był bardzo wysoki i trzeba było włożyć wiele pracy i uwagi, żeby przyswoić i opanować przekazywany materiał. Było trudno i ciężko, ale jakoś dawałem sobie radę.

Rozkład zajęć na kursie był dosyć prosty: pobudka o godz. 6<sup>00</sup>, później toaleta, śniadanie i na zajęcia, które rozpoczynały się o godz. 8<sup>00</sup> i trwały do godz. 15<sup>00</sup>. Prosto z zajęć szło się do kasyna na obiad, następnie czas wolny do kolacji, no i po kolacji też.

Co robiliśmy w czasie wolnym? A no trzeba było nieźle zakuwać, żeby powtórzyć i przyswoić przerobiony materiał z zajęć i wykonać zadane ćwiczenia i sprawozdania. Tak że nie było czasu na nudę.

W niedzielę „wypuszczaliśmy się” do Warszawy, żeby pospacerować i pogapić się na odbudowującą się stolicę (akurat kończyli wtedy Pałac Kultury) i inne obiekty.

Pewnej niedzieli wybrałem się aż na ulicę Puławską do tzw. ośrodka pracy. Tak naprawdę mówiąc było to najzwyczajniejsze więzienie. Dlaczego wybrałem się w odwiedziny do więzienia?

Wybrałem się do tego ośrodka pracy czy też więzienia, żeby odwiedzić Wacka Łysaka – mego szwagra, to jest męża mojej kochanej siostry Marysi, która w 1952 r. wyszła za niego za mąż. Niedługo, chyba w rok po ślubie, Wacek trafił do więzienia z bardzo błahej przyczyny. Pracował wtedy w hucie Nadbużanka, gdzie dyrektorem był jego kolega, dawny pracownik tej huty – Walczuk, który z awansu został dyrektorem.

Wacek czuł się dosyć swobodnie w stosunku do dawnego pracownika, a obecnie z awansu społecznego – partyjnego dyrektora i kiedyś po kielichu powiedział parę słów prawdy towarzyszowi dyrektorowi. Walczuk się obraził i poszukał okazji (a znał się dobrze

i z komendantem Milicji i z prokuratorem), żeby Wacka wsadzić do więzienia, no i wsadzili.

Będąc latem 1953 r. przed wyjazdem na kurs na urlopie w Bytyniu dowiedziałem się o tym od Marysi i nawet interweniowałem u prokuratora we Włodawie, ale na próżno. Prokurator dobrze znał się z Walczukiem, razem chodzili na polowania, byli to dobrzy partyjni koledzy. Dałem wtedy spokój interwencji, bo nie było na nich rady.

Teraz będąc na kursie w Warszawie pomyślałem, że trzeba by Wacka odwiedzić. Nie bardzo wiedziałem co mu kupić, no i nie bardzo miałem za co coś kupować. Wiadomo było, że wtedy oficerowie zarabiali bardzo „cienko”. Postanowiłem więc i kupiłem ileś tam paczek papierosów i dotarwszy do poczekalni tego więzienia na Puławskiej, czekałem razem z innymi odwiedzającymi, a było ich sporo, na swoją kolej na odwiedzin! Czekający na odwiedzin patrzyli na mnie trochę zdziwieni – bo co tu robi oficer w stopniu kapitana i kogo chce odwiedzić?

Wreszcie przyszła moja kolej i wszedłem do dość dużej sali odwiedzin. Sala była podzielona na pół stołem o szerokości chyba ponad 1-1,5 m. Z jednej strony wchodzili więźniowie, a z drugiej odwiedzający. Przedzielał ich stół tak, że bliskich kontaktów być nie mogło, gdyż blat stołu był obserwowany przez strażnika i kontakty inne niż tylko słowne były wzbronione.

Po kryjomu, sprytnie wręczyłem Wackowi papierosy, no i pogadaliśmy sobie przez 10 czy więcej minut i rozeszliśmy się. Powróciłem do Bemowa na WAT. Wacek w więzieniu „siedział” do wiosny przyszedłego roku.

Na WAT nie działo się nic szczególnego, co by można było wspominać teraz – ot zwykła praca i nauka i tak do lutego następnego 1954 roku. Dnia 10 lutego 54 roku wezwany zostałem do urzędu pocztowego – placówki przy WAT i tam urzędniczka wręczyła mi telegram, który brzmiał: „urodził się syn”. Gdy czytałem ten telegram urzędniczka spytała zdziwiona: „Co, nie skacze pan z radości? – przecież urodził się syn!”.

Radość moja była zmacona niepokojem co tam się dzieje w domu? Jak sobie radzi Oleńka w tej sytuacji? Urzędniczce odpowiedziałem, że się bardzo cieszę, ale bez skakania. Natychmiast poszedłem do kierownika grupy pułkownika Gawdzika z prośbą, by mi udzielił przepustki - powiedziałem mu, że żona urodziła dziecko i jest sama. Gawdzik był bardzo „bojący” i nie chciał się zgodzić na moją przepustkę, ale gdy mu oświadczyłem, że i tak pojedę cokolwiek by mnie za to spotkać miało, zgodził się pójść ze mną do Komendanta WAT-u, żeby ten udzielił mi kilkudniowego urlopu.

Poszliśmy z Gawdzikiem do Komendanta, a gdy weszliśmy do przedpokoju zauważyliśmy, że drzwi do gabinetu były otwarte, w gabinecie było kilku oficerów i oczywiście Komendant. Wszyscy gapili się jak przysłowiowa sroka w kość w stojący na biurku Komendanta telewizor.

Telewizor w 54 roku to była wielka nowość i nie było ich jeszcze w sprzedaży, stąd tak wielkie zainteresowanie tym aparatem, który otrzymał WAT.

Gawdzik zwrócił się do Komendanta z moją prośbą, a ten zajęty telewizorem coś odburknął twierdząco, chyba tylko dlatego, że chciał się pozbyć natręta.

Pojechałem do Opola na trzy dni, żeby zobaczyć co się dzieje i coś tam pomóc. Co stwierdziłem? A no że urodził się nam syn – śliczny bobas, ale sytuacja była kiepska, bo nie było nikogo, kto by pomógł Oleńce w zaopatrzeniu. Z porodem to było tak, że Oleńka kiedy poczuła bóle porodowe poprosiła sąsiadkę, żeby ta sprowadziła akuszerkę. Sąsiadka - bar-

dzo miła i uprzejma pani Dżumakowa - sprowadziła akuszerkę, która odebrała poród. Na szczęście bez komplikacji – a co by było gdyby zaistniały komplikacje?

Przez te kilka dni starałem się jak mogłem pomóc Oleńce, ale w tym przypadku potrzebna była nie tyle doraźna lecz stała pomoc, której niestety znikąd nie było. Powróciłem po tych trzech dniach do Warszawy, Oleńka zaś została z dwojgiem dzieci, osłabiona po porodzie i sama.

Następny raz przyjechałem na kilkudniowy urlop do domu w Opolu dopiero w Kwietniu na Święta Wielkanocne. W domu już było znacznie lepiej, chłopcy obaj rośli jak to się mówi „na potęgę”. Oleńka też była całkiem zdrowa, a i pogoda wtedy była piękna, więc któregoś dnia wybraliśmy się na spacer na działki, których było pełno przy mieście. Ten spacer pamiętam dlatego, że słońce wtedy tak bardzo dogrzewało i musiałem iść przodem przed wózkiem, w którym był „nasz młodszy” po to by go zastonić przed słońcem. Wózek był spacerowy, ale nie było w nim osłony i silne słońce mogło chłopcu zaszkodzić. Takie to były czasy, że trudno było kupić głęboki wózek dla dziecka, który biorąc pod uwagę wiek (2 miesiące) byłby dla niego odpowiedni.

Urlop za kilka dni się skończył i zaraz pojechałem do Warszawy, by kontynuować tę naukę na WAT. Na kilkudniowym urlopie byłem jeszcze raz gdzieś w czerwcu i wtedy ochrzciliśmy naszego „młodsze” i daliśmy mu na imię Zbigniew. Chrzestnymi Zbyszka byli: mój brat Stanisław oraz Maryla Piszczowa – koleżanka Oleńki z poligonów w Biedrusku.

Mój brat Staszek przyjechał z Wrocławia, gdzie uczył się w Liceum Felczerskim. W Chełmie (o czym wspomniałem) zdawał do tamtejszego Liceum z wynikami pomyślnymi, lecz nie został przyjęty z powodu braku miejsc (było tam bardzo wielu kandydatów). W tej sytuacji zdawał do Liceum we Wrocławiu i został przyjęty. Ponieważ z Wrocławia do Opoła jest dość blisko, więc kiedyś nas w tym Opolu odwiedził i przy okazji poprosiliśmy go, aby był chrzestnym Zbyszka. Przyjął zaproszenie, przyjechał i Zbyszka podawał z Marylą Piszczową do chrztu.

Przyjęcie było skromne, bo i warunki materialne były bardzo skromne.

Tymczasem nasz kurs w Warszawie zbliżał się do końca. Zostały jeszcze dwa miesiące i po powrocie z chrzcina na kurs do Warszawy musiałem się wziąć tak jak i moi koledzy ostro do pracy, by przygotować się do końcowych egzaminów i wykonać „prace dyplomowe”, takie jak projekt mostu stalowego, projekt budowli fortyfikacyjnej (schronu) oraz opracowanie ćwiczeń „Natarcie Dywizji Zmechanizowanej z forsowaniem przeszkody wodnej” (pełna dokumentacja). Roboty było bardzo dużo, tak że trzeba było „zarwać” nie jedną noc.

Wszystkie prace wykonałem, do egzaminów się przygotowałem, egzaminy końcowe zdałem i prace obroniłem z wynikiem dobrym.

Co mogę powiedzieć o WAK-u przy WAT-cie? Poziom nauczania był bardzo wysoki, a wykładowcy to profesorowie wyższych uczelni Warszawskich, powiem o nich krótko – świetni. Niektórzy moi koledzy z kursu nie byli w stanie opanować przerabianego materiału i wykonać zadanych projektów i prac końcowych. Dostali oni świadectwa, na których zamiast ocen z poszczególnych przedmiotów, zwłaszcza ścisłych, był napis „wysłuchał” zamiast oceny.

Po krótkiej uroczystości zakończenia kursu i rozdaniu świadectw udałem się do Szefostwa Wojsk Inżynieryjnych Wydz. Kadr po przydział do jednostki – nowej jednostki, bo z etatu 10 DZ zostałem po skierowaniu mnie na kurs automatycznie skreślony.

W Wydziale Kadr Szefostwa Wojsk Inżynieryjnych zastałem znajomego majora jeszcze z Kazunia – był on wtedy szefem sztabu pułku w Kazuniu. Przywitaliśmy się jak starzy znajomi. Po wręczeniu mu skierowania z WAT-u przeczytał je i zapytał: gdzie chciałbyś zostać skierowany - czy do pułku drogowego w Płocku na stanowisko szefa sztabu pułku, czy do pułku pontonowego we Włocławku też na szefa sztabu pułku – wybieraj!

Byłem zaskoczony tymi propozycjami – bo co tu wybrać? Płock czy Włocławek? Byłem w trudnej sytuacji tego osiołka z wiersza, któremu w żłoby dano w jeden owies, a w drugi siano, ale nie czekałem aż „padnę” jak ów osioł i wybrałem tak na „chybił trafił” Włocławek.

Dostałem skierowanie do Włocławka, gdzie miałem się zameldować dopiero po miesięcznym urlopie za ten 1954 rok.

Tak więc najpierw pojechałem z Oleńką na urlop do Puław, a później po dwóch tygodniach do Bytnia. W Puławach wypoczywaliśmy bardzo dobrze bo i pogoda nam dopisywała, urlop spędziliśmy tam częściowo u rodziców Oleńki, a częściowo u Marysi i Heńka, po czym pojechaliśmy do Bytnia.

Jedziemy więc do tego Bytnia i znowu znajome domki migają, znowu stacja Wola Uhruska i zawsze ten kochany Antoś na peronie, powitanie i zaproszenie do nich do domu. Obiecaliśmy, że przyjedziemy jak tylko odpoczniemy po podróży.

U nas w domu na Podmaleniu, trafiliśmy na świniobicie. Przywitała nas tylko Marysia, bo Wacek i Ojciec mój z okazji tego świniobicia, czy też naszego przyjazdu po wypiciu kilku „głębszych” spali sobie w najlepsze, a tu rozbabrany wieprzak, a na dworze wtedy było gorąco. Oleńka szybko, po przywitaniu zakasała rękawy i obie z Marysią wzięły się ostro do roboty i doprowadziły wszystko do porządku. Ja też im pomagałem.

Trzeba przyznać, że ojciec jak i Wacek bardzo lubili zaglądać do tego głębszego kieliszka – ojciec mniej, ale Wacek dość często, a nawet zanadto często. Szkoda – bo Wacek to naprawdę był bardzo miły, taktowny, koleżeński chłopak, bardzo wesoły i dowcipny, umiał ciekawie i dowcipnie opowiadać różne zdarzenia, świetny przy tym parodysta, bo umiał naśladować. Marysia miała więc sporo kłopotów, żeby prowadzić to nasze gospodarstwo, no i trzymać chłopów w ryzach. Robiła to nawet z powodzeniem.

Marysia miała oprócz kłopotów z zaglądającymi do kieliszka mężem i ojcem sporo innych obowiązków, bo trzeba było prowadzić gospodarstwo, przy którym jest sporo roboty, no i trzeba wychowywać córeczkę Basię, która urodziła się w rok później jak nasz Janusz. Było więc sporo kłopotów i obowiązków.

Co my robiliśmy w Bytniu w czasie urlopu i co się w tym czasie wydarzyło? Robiliśmy to co zawsze – pomagaliśmy naszej miłej rodzinie, odwiedzaliśmy wszystkich po kolei krewnych i kuzynów. Oczywiście oboje z Oleńką nasłuchaliśmy się opowiadań i narzekań co niemiara.

Ja natomiast często sam wypuszczałem się na wycieczki w teren, by szukać śladów mego dzieciństwa i młodości. Zwiedzałem wszystkie zakątki, które były świadkami kiedyś spędzonego dzieciństwa. Z pewnym wzruszeniem spacerowałem wokół „Białej jamy”, poszedłem w „Fotków Kąt”, w „Rosochy”, łapałem ryby w „Łuczce” i w Bugu. Wszystko ni by to samo co kiedyś, a jednak inne. Czas pozostawił na wszystkim swoje ślady.

Bytyń też teraz inny jak kiedyś – niby ten sam, a jednak inny. Chyba głównie dlatego, że patrzyłem na to wszystko jak dorosły mężczyzna. Wtedy wszystko wygląda inaczej aniżeli w oczach dziecka czy młodego chłopaka.

W Bytyniu zaszły zmiany, bo bardzo dużo osób wywędrowało do miasta. Poziom życia i bycia też był inny. Warunki na wsi znacznie się polepszyły i gdyby nie naciski ze strony władz na organizację spółdzielni produkujących (kołchozów) to byłoby „całkiem, całkiem”. Co jeszcze się szczególnego wydarzyło wtedy no i trochę później? Dokonano klasyfikacji gruntów, co było bardzo ważne dla mego ojca wraz z rodziną ( o tym problemie pisałem na początku wspomnień). Grunty, które uprawiał mój ojciec i sąsiedzi sklasyfikowano teraz jako pastwiska, a w związku z tym zmniejszył się podatek. Część gruntów jak 6-ta klasa przeznaczono pod zalesienie – sprawiedliwości stało się zadość.

Dokonano melioracji łąk. Rozległe podmokłe łąki ciągnące się od Bytynia aż do granic Zberez, gdzie rosła trawa bezwartościowa tzw. „osoka” – zostały osuszone.

Te łąki gospodarze zaorali, zasilili sztucznym nawozem i zasiali trawę, która jako pełnowartościowa rosła tam bujnie. Widziałem jak ludzie kosili i zbierali obfite plony z tych łąk i pomyślałem, że komuna nie tylko zło przyniosła.

Na tych wspomnieniach, spacerach i rozważaniach czas szybko płynął i pora wracać, ale gdzie? – Oleńka do domu do Opol, a ja muszę jechać i obejmować stanowisko w nowej dla mnie jednostce we Włocławku. Pojechaliśmy więc każde w swoją stronę, Oleńka do Opol, a ja najpierw do Sztabu Pomorskiego Okręgu Wojskowego do Bydgoszczy, bo pułk pontonowy, w którym miałem być szefem sztabu podlegał Pomorskiemu Okręgowi Wojskowemu.

W sztabie okręgu przedstawiłem skierowanie, oczywiście po zameldowaniu się u dowódcy Okręgu. Rozmowa trwała dość krótko, no bo o czym tu rozmawiać? „Zobaczycie wszystko w pułku na miejscu we Włocławku” - powiedział na zakończenie rozmowy dowódca Okręgu.

## **Rozdział VI**

### **3-ci Warszawski Pułk Pontonowy we Włocławku**

Otrzymałem skierowanie z Oddziału Kadr Pow. i pojechałem do tego Włocławka, gdzie zameldowałem swoje przybycie dowódcy pułku płk Pietkiewiczowi. Dowódca przyjął mnie życzliwie (na razie) był to bowiem mój znajomy z Kazunia, gdzie był szefem sztabu batalionu, w którym ja wtedy byłem dowódcą jednego z plutonów. Po przedstawieniu mnie oficerom sztabu, a na drugi dzień na zbiórce całemu składowi osobowemu pułku, zacząłem przyjmować obowiązki szefa sztabu i trwało to chyba około tygodnia.

Zamieszkałem na razie w „pokoju gościnnym” w Klubie oficerskim, tam też w kasynie oficerskim zamawiałem się na wyżywienie. Smutno mi było bez Oleńki, bo po zajęciach w sztabie pułku nie bardzo wiedziałem co ze sobą zrobić. Chodziłem na filmy do kina, dużo czytałem, a najwięcej wieczorami spacerowałem po mieście i z pewną dozą zazdrości spoglądałem na oświetlone okna, gdzie ludzie sobie spokojnie mieszkają. Zadawałem sobie w duchu pytanie: kiedy wreszcie my z Oleńką i dziećmi tak sobie spokojnie będziemy mieszkali w swoim mieszkaniu nie myśląc o przeprowadzkach?

Na to pytanie nie miałem odpowiedzi tylko nadzieję, że niedługo dostanę mieszkanie, bo dowódca pułku obiecał mi, że za jakiś miesiąc wyprowadzi się do nowego mieszkania drugi czy trzeci (nie wiem) sekretarz komitetu miejskiego partii, a ja po nim otrzymałbym mieszkanie – a więc czekam!

Kilka słów o pułku, w którym pełnię służbę na stanowisku szefa sztabu. Pułk wtedy składał się z dowództwa i sztabu, dwóch batalionów pontonowych, kompanii technicznej, kompanii samochodowej i kompanii dowodzenia. Zadaniem pułku była budowa mostów pontonowych i promów do przeprawy wojsk i sprzętu, zwłaszcza czołgów, w czasie wojny.

W czasie pokoju odbywało się normalne szkolenie. W roku szkoleniowym były dwa okresy: okres zimowy i okres letni. W okresie zimowym szkolenie było prowadzone ze wszystkich przedmiotów wojskowych, a na okres letni tj. od maja do końca września pułk przenosił się na obóz do miejscowości Modzerowo nad Wisłą, gdzie był przygotowany poligon do ćwiczeń z przepraw i ćwiczył przeprawę.

Na poligonie tym było kilka domków na mieszkania w czasie obozu dla kadry, ujęcia wody pitnej, place pod namioty dla stanu osobowego i urządzone nabrzeże Wisły do zrzućcia pontonów z samochodów do rzeki. Całe lato pododdziały ćwiczyły budowę mostów pontonowych i promów. Raz lub dwa razy w roku odbywały się ćwiczenia, które rozpoczynały się alarmem i wyjazdem w określony rejon ześrodkowania, a potem pułk otrzymywał zadanie budowy mostu pontonowego z marszu w określonym przez dowódcę miejscu na Wiśle. To by były główne zadania, do których przygotowywał się pułk i w których się szkolił i doskonalił. Na ten obóz szkoleniowy do Modzerowa wyjeżdżałem wraz z Oleńką i chłopcami chyba z siedem razy w okresach letnich od maja do września każdego roku. To było w latach 1954 – 1961.

Tymczasem to wszystko jest jeszcze przed nami i na razie jestem we Włocławku sam i czekam na przydział mieszkania. Wreszcie gdzieś po miesiącu czy dwóch, dowódca pułku oznajmił mi, że ten sekretarz, po którym mam zająć mieszkanie na dniach się wyprowadza, a więc będę miał mieszkanie za kilka dni.

Wziąłem urlop przeniesieniowy (to już chyba trzeci z rzędu) i pojechałem do Opola po Oleńkę i dzieci oraz po swój skromny dobytek. Po przyjeździe do Opola zamówiłem wagon na stacji. W czasie zamawiania miałem kłopotów i nerwów co nie miara, bo naczeln-



nik stacji, gdy mu podałem, że przewożę meble i inne rzeczy domowe do Włocławka oznajmił mi, że nie wolno tych rzeczy przewozić z Ziemi Zachodnich w głąb kraju (wówczas szalał tzw. „szaber” - ogoławano domostwa na zachodzie Polski i wywożono sprzęt w głąb kraju).

Tłumaczyłem mu, że jestem oficerem i te kilka skromnych rzeczy przywiozłem ze sobą, gdy byłem przeniesiony z Kazunia do Opoli, ale on uparł się i żądał, żeby mu przedstawić rachunki lub inne dowody, że te rzeczy kupiłem. „Skąd ja panu teraz wezmę te rachunki?” – spytałem na próżno. Dopiero musiałem przynieść zaświadczenie ze sztabu Dywizji, że jestem przeniesiony służbowo i że rzeczy, które teraz wywożę przywiozłem z Kazunia – wtedy ustąpił.

Załadowałem tych swoich trochę maneli na ten wagon, a po zakończeniu i załatwieniu formalności przekazałem zajmowane przez nas mieszkanie oficerowi z kwatermistrzostwa Dywizji, zabrałem swoją rodzinę i pojechałem do Włocławka najbliższym pociągiem.

We Włocławku czekał już na mnie nowy kłopot, bo oto pan sekretarz coś tam się „zaciał” i nie wyprowadził się do innego mieszkania tak jak to było z nim umówione. Co teraz? Przyjedzie wagon z rzeczami i trzeba będzie płacić postojowe. Prosiłem dowódcę pułku, żeby coś z tym zrobił, ale on powiedział mi, że na nich on nie ma rady.

Udałem się sam do Komitetu Miejskiego partii, do pierwszego sekretarza, no i „wygarnąłem” mu całą prawdę w sposób dość kulturalny. Wyraźnie nie był zadowolony z rozmowy i traktował mnie dość szorstko, ale obiecał, że sprawę załatwi. Załatwił! I już po dwóch dniach mieszkanie było wolne. Po tym wszystkim dowódca pułku robił mi wyrzuty, że poszedłem do sekretarza do komitetu, a on się poskarżył na mnie, że jakiś tam kapitan śmiał „wygarnąć” sekretarzowi takie sprawy, krótko mówiąc był święcie oburzony. Ja tym oburzeniem nie przejąłem się nawet na moment. Poszedłem obejrzeć mieszkanie.

Budynek, w którym miałem przydzielone mieszkanie był usytuowany przy tak zwanym zielonym rynku (w środku miasta) w blokowisku tworzącym czworokąt. Mieszkanie, o którym mowa, znajdowało się na pierwszym piętrze, było trzypokojowe. Kuchnia i coś w rodzaju łazienki – była w niej tylko muszla ustępowa, kran czerpalny do wody i nic więcej. Do mieszkania wchodziło się najpierw do kuchni, a przez nią do następnych po kolei trzech pokoi tworzących amfiladę. Pierwszy pokój był pomalowany na czerwono, że aż mnie ciarki przeszły, a ten trzeci był tak duży, że Janusz, gdy tam zamieszkaliśmy, jeździł po nim rowerem. We wszystkich pokojach okna były tylko od strony podwórka.

Mieszkanie rzecz jasna mi się nie podobało, bo w porównaniu z tym, w którym mieszkaliśmy w Opolu to była rudera, a poza tym co ja będę stawał w tych pokojach, a zwłaszcza w tym wielkim? I co robić bez łazienki? Tak sobie myślałem oglądając to mieszkanie, ale nie miałem wyboru i czekać na lepsze nie mogłem, bo wagon z rzeczami już przyszedł z Opoli i trzeba go w terminie rozładować, by nie płacić postojowego.

Zamówiłem więc samochód, kilku żołnierzy i przywieźliśmy te trochę rzeczy. Może to i dobrze, że prawie nic się wtedy nie miało, bo to i mniejsze kłopoty z przeniesieniami, nie trzeba martwić się o dobre mieszkanie, słowem zamożność oficera dostosowana do tych warunków i bałaganu jaki wtedy, nie tylko w wojsku, panował.

Rzeczy żołnierze złożyli w jednym pokoju, a ja poprosiłem kwatermistrza, żeby przysłał ekipę remontową lub przynajmniej malarza, żeby zamalował ten czerwony pokój i hydraulika, żeby wstawił wannę lub przynajmniej umywalkę.

Kwatermistrz przysłał pracowników, którzy wymalowali całe mieszkanie i wstawili wannę. Poustawialiśmy rzeczy i póki co zamieszkaliśmy w tym „partyjnym” mieszkaniu.

W sztabie pułku po staremu i pracy po same uszy. Tak do maja następnego 1955 roku. W maju pułk wyjeżdża na obóz szkoleniowy do odległej o 7 km od Włocławka miejscowości – Modzerowo – gdzie będą cały czas ćwiczenia na Wiśle z przepraw tj. budowy mostów pontonowych i promów aż do września.

W Modzerowie zamieszkaliśmy z Oleńką i dziećmi w domku murowanym jednopokojowym. Wyżywienie było w stołówce - w kasynie, w stałym budynku wybudowanym przy urządzaniu obozu. Wisła niedaleko, bo w odległości około 100 metrów, brzegi łagodne, przystosowane do zrzucania pontonów z samochodów bezpośrednio do wody. Na plażę jeździliśmy kutrem na pobliską wyspę, piękną wyspę piaszczystą, gdzie niegdzie porośniętą krzakami. Było to wspaniałe miejsce do opalania się i kąpieli.

Moja praca na poligonie polegała na ciągłym opracowywaniu ćwiczeń i codziennych czynnościach kontrolnych tychże ćwiczeń.

Tak było do września i w tym to miesiącu powróciliśmy do garnizonu do Włocławka. Niedługo po powrocie do Włocławka, mój kolega mjr Bełza, zastępca dowódcy pułku do spraw liniowych (szkoleniowych) otrzymał rozkaz, że ma się przenieść do pułku saperów w Szczecinie Podjuchach. Bełza zaproponował mi w związku z tym przeniesieniem, że moglibyśmy „zająć” jego mieszkanie. W rozmowie ze mną powiedział: „Możesz i najlepiej zrobisz jak się przeprowadzisz już teraz, bo ja na dniach wyjeżdżam już do Podjuch, a wy pomieszkacie trochę razem z moją żoną, ale krótko, bo wiem, że szybko dostanę w Podjuchach mieszkanie i sprowadzę rodzinę do siebie – zajmij, więc od razu mieszkanie, bo później możesz go nie dostać!” Mieszkanie Bełzy było dużo lepsze od tego, które niedawno otrzymaliśmy.

Korzystając z tego, że dowódca pułku był gdzieś na wyjeździe służbowym, przeprowadziliśmy się szybciotko do mieszkania Bełzy i mieszkaliśmy tam niedługo, bo chyba około miesiąca razem z panią Grażyną – żoną mjr Bełzy i z ich córkami. Po wyprowadzeniu się pani Bełzowej do Podjuch, dysponowaliśmy całym mieszkaniem tj. trzy pokoje, kuchnia, łazienka i duży przedpokój, słowem bardzo dobrze! Znowu był problem co stawiać w tych pokojach, więc wzięłem trochę mebli na raty.

Sąsiedzi, z wyjątkiem jednej sąsiadki z parteru, byli bardzo mili, zwłaszcza pp. Markowscy, którzy mieszkali obok nas, więc mieszkało nam się nieźle. Dowódca pułku trochę marudził, że zajęliśmy to mieszkanie bez jego wiedzy, gdyż on miał jakieś inne plany co do niego, ale stało się i dał spokój.

W grudniu tegoż 55 roku otrzymaliśmy smutny telegram – zmarł tata Oleńki. Jedziemy do Puław i do Jaroszyna na pogrzeb. Na drugi dzień zaszliśmy do prosektorium przy szpitalu w Puławach. Tata wyglądał bardzo ładnie, miał piękną siwą czuprynę i ładną cerę. Umarł z powodu niewydolności krążenia. Miał lat 76. Pogrzeb odbył się na cmentarzu w Jaroszynie. W Jaroszynie mieszkali rodzice Oleńki. Żegnaj najmilszy tato.

Po pogrzebie zebrała się cała rodzina Oleńki, pogadaliśmy, poplanowali i po pożegnaniu pojechaliśmy do Włocławka do domu. W domu to samo co zwykle, codzienna szara praca. Janusz już chodził do przedszkola. W pułku trwa normalne szkolenie.

Jest rok 1956 i słynne wypadki poznańskie oraz dojście Władysława Gomułki do władzy. U nas we Włocławku w hali sportowej pułku (największej hali widowiskowej w mieście) odbył się wiec ludności Włocławka. Ludzie domagali się, żeby dowództwo pułku zadeklarowało się po czyjej jest stronie i czy popiera W. Gomułkę. Były wieści, że od strony granicy z NRD przemieszcza się sowieckie wojsko w kierunku Warszawy.

Dowódca pułku nie wystąpił, a uczynił to jego zastępca do spraw politycznych mjr Wójcik oznajmiając, że dowództwo pułku i garnizonu, popiera W. Gomułkę – rozległy się brawa.

Gomułka na razie zrobił tyle dobrego, że kazał zwolnić z więzień masę więźniów politycznych skazanych w czasie terroru stalinowskiego, w tym wielu na karę śmierci.

Po dojściu Gomułki do władzy zrobiło się dużo „luźniej” w pułku. Przede wszystkim oficerowie, którzy nie mieli matur mieli taki wybór, że albo uzupełnią swoje wykształcenie i przedstawiają świadectwa maturalne albo zostaną zwolnieni.

Zastanawiałem się co mam zrobić z tym „fantem”. Jeżeli chodzi o to wykształcenie, to miałem zdane egzaminy na kursie korespondencyjnym w zakresie klasy 8-mej i 9-tej. Natomiast przedmioty ścisłe takie jak matematyka, fizyka i inne przedmioty ścisłe i techniczne to na kursie KDO we Wrocławiu przerobiliśmy z zakresu całej szkoły średniej, a na WAK przy WAT-cie częściowo nawet ze Szkoły Wyższej Politechniki – to fakt, ale brakuje mi takiego „papierka” jak świadectwo maturalne.

Na to nie ma rady i trzeba mając lat 35 chodzić do szkoły i uzyskać to świadectwo dojrzałości. Zapisalem się więc do szkoły popołudniowej i zdałem egzamin wstępny do klasy 10-tej (8-9-tą miałem ukończone korespondencyjnie w Kazuniu) i zacząłem uczęszczać na lekcje. Lekcje trwały od godziny 15<sup>00</sup> do 20<sup>00</sup>. Tyle godzin jak i w gimnazjum porannym. Dowódca miał wytyczne z góry, żeby takim jak ja uczącym się umożliwić to i zastosować pewne ulgi.

Pracowałem więc w sztabie do godz. 13<sup>30</sup>, później szedłem do domu szybko na obiad, a później równie szybko do szkoły i brałem udział w lekcjach do godziny 20<sup>00</sup>, potem do domu, trzeba powtórzyć materiał, odrobić zadania, pogadać z rodziną, tak że na odpoczynek niewiele zostawało.

Z przedmiotami ścisłymi nie miałem kłopotów, bo je już przerobiłem z nadwyżką, natomiast z języka polskiego, rosyjskiego, historii, biologii - tu musiałem przysiąść fałdy i pouczyć się, poza tym przeczytać lektury, a czasu mało – przydałoby się dobrać rozciągając tak, żeby była dłuższa, bo zaczęła mi nie wystarczać.

Uczyłem się bardzo łapczywie, bo jako chłopiec wtedy, kiedy był czas na naukę, to ja pracowałem w hucie, a później wojna – taki to los wypadł nam – więc byłem żądny wiedzy i uczyłem się dobrze. Ten „młyn” - praca w sztabie i nauka trwał dwa lata.

Egzamin maturalny zdałem z wyróżnieniem i otrzymałem nagrodę. Urządziliśmy skromny bal maturalny, na który zaprosiliśmy grono profesorskie, wypiliśmy trochę wina, potańczyliśmy i tak to mi się szkoła skończyła.

Co mogę po latach o tej szkole powiedzieć? Ano, że była na odpowiednio wysokim poziomie, a szczególnie wykładowca języka polskiego – prof. Gniazdowski – który siedział w więzieniu jako więzień polityczny, a zwolniony po dojściu W. Gomułki do władzy został w chwili opuszczenia więzienia przywitany przez młodzież, która tłumnie zgromadziła się na jego powitanie pod więzieniem. Był to polonista z prawdziwego zdarzenia i jemu wiele zawdzięczam, jeżeli chodzi o język polski. Pozostali to również bardzo kompetentni i pracowici profesorowie, którzy niemało pracy, trudu i cierpliwości włożyli, żeby z nas uczynić ludzi dojrzałych.

Wybiegłem (w pisaniu wspomnień) z tą maturą daleko do przodu tj. do jej ukończenia w 1958 roku, gdy tymczasem jest na razie (w moich wspomnieniach) rok 1957. Co zatem dzieło się w tym czasie w pułku, a no jak zwykle na wiosnę, wyjechaliśmy na poligon do Modzerowa.

Na poligonie to co zwykle – ćwiczenia i ćwiczenia „krugom” to samo - budowa mostów i promów.

Pewnej niedzieli mieliśmy na poligonie nieprzyjemne zdarzenie.

Najpierw, gdzieś około 9-tej wieczorem, otrzymałem telefon z Włocławka, że utonął żołnierz z pozostałego pododdziału w garnizonie. Jak mi zameldowano utonął w jeziorze Czarne kilka kilometrów od Włocławka. Utonięcie miało miejsce około godziny 8-mej wieczorem w czasie kąpieli.

Zadzwoiłem natychmiast do milicyjnego pogotowia wodnego we Włocławku. W czasie rozmowy i wyjaśnień ustaliliśmy, że pogotowie przyjedzie rano, około godz. 4-tej – 5-tej, gdyż od utonięcia tego żołnierza minęła godzina plus dojazd do miejsca wypadku, to będzie razem około półtorej godziny, więc nie ma żadnej nadziei na wydobywanie żywego. Ponadto, przy wydobywaniu topielca w nocy może się zdarzyć, że utonie następny żołnierz czy milicjant.

Tak jak ustaliliśmy, pogotowie wodne przyjechało o godz. 5-tej rano. Przyjechali również, powiadomieni przez naszą jednostkę, lekarz i prokurator z Okręgu. Ciało topielca wydostali, lekarz zbadał i odesłano je do prosektorium.

Prokurator po rozmowie z lekarzem z przychodni zdrowia we Włocławku, przyjechał do Modzerowa na poligon, zgłosił się do mnie (zastępowałem wtedy dowódcę pułku, który był na urlopie) i po krótkiej rozmowie, postawił mi zarzut, że nie dopełniłem obowiązku i nie udzieliłem temu topielcowi pomocy. Twierdził, że rozmawiał z lekarzem i że zdarza się tak, że topielca można uratować nawet po dwóch godzinach od chwili utonięcia. Trochę mnie tym gadaniem podenerwował i zażartowałem: „To może zrobimy próbę w wannie – ja przytrzymam pana prokuratora jakieś 15 minut z głową w wodzie no i zobaczymy czy pan przeżyje, bo z doświadczenia wiem, a wychowywałem się niedaleko rzeki Bug i widziałem wiele razy jak ratowano topielców i uważam, że najdłużej pod wodą człowiek może wytrzymać żywy gdzieś do pół godziny”.

Pana prokuratora widocznie zagniewała ta moja trochę obcesowa uwaga, bo odpowiedział mi: a ja jednak panu postawię zarzut niedopełnienia obowiązków, bo tego żołnierza można było uratować nawet po 2-ch godzinach od chwili utonięcia – trzeba było użyć własnego kutra, pojechać do tego jeziora i szybko wydobyć żołnierza. To rzekłszy i nie słuchając więcej wyjaśnień trzasnął drzwiami i wyszedł.

Po tej rozmowie jednak zacząłem mieć wątpliwości: a może tego człowieka można było uratować? Ten prokurator rozmawiał z lekarzem, który tak twierdził i mimo doświadczeń z mojej młodości spędzonej nad Bugiem ciągle gnębiłem się tym wypadkiem, do czasu, aż zaistniał drugi.

Ten drugi wypadek zdarzył się w dwa miesiące później. Prowadziłem wtedy ćwiczenia budowy mostu pontonowego z marszu. Po zakończeniu ćwiczeń jeden z dowódców kompanii - por. Szpak będący z kompanią na wyspie oddzielonej od brzegu wąską 4-ro metrową łachą, ale głęboką, wykonał zbiórkę kompanii. Po sprawdzeniu obecności stwierdził, że brakuje kaprała Iwona. Ponieważ przed chwilą był ten kapral i widzieli go na wyspie koledzy więc dowódca odprowadził kompanię do namiotów, gdzie byli zakwaterowani.

Wieczorem znowu przyszedł sygnał z Włocławka od milicji, że w rejonie Włocławka u ujścia tej wyżej wspomnianej łachy, wyłowiono topielca – kpr. Iwona.

Znowu dochodzenie, a raczej śledztwo i ten sam prokurator, co i przy pierwszym wypadku i znowu zarzut niedopełnienia obowiązków, tym razem dowódcy kompanii por. Szpakowi. Uważano, że żołnierz prawdopodobnie zasnął w krzakach i nie stawiał się na zbiórkę, a por. Szpak nie przeszukał wyspy, żeby go zabrać. Ten zaś chciał łachę później

przepląnąć, ale nie umiejąc pływać utopił się. To by była prawda tylko, że zaraz po drugiej stronie tej łachy stał wartownik przy sprzęcie pontonowym i mógł kapralowi Iwanowi podeśłać łódkę i wcale nie musiał tenże kapral forsować wplaw tej rzeki – łachy tym bardziej, że była głęboka, a on nie umiał pływać.

Był proces sądowy, na którym zeznawałem jako świadek. Powiedziałem sądowi, że wyspa oddzielona 4-ro metrową łachą od brzegu Wisły to nie wyspa na Oceanie Spokojnym i że ów kapral nie musiał tej łachy przepływać – mógł wezwać łódkę. Por. Szpaka uniewinniono.

Przy okazji spytałem prokuratora jak tam z tym zarzutem, który on miał mi postawić w sprawie nie udzielenia pomocy topielcowi. Odpowiedział mi, że on o tym nie zapomniał i że wysłał zapytanie do Akademii Medycznej w Gdańsku: po jakim czasie człowieka można odratować po utonięciu? Otrzymał odpowiedź, że w najlepszym wypadku i przy najbardziej sprzyjających okolicznościach człowiekowi takiemu można przywrócić życie do 5 minut przebywania pod wodą. Po pięciu minutach przebywania pod wodą następuje śmierć. To dlaczego pan prokurator wraz z tym lekarzem twierdzili, że po 2-ch godzinach da się to zrobić? Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Takie to „potyczki” miałem z ludowym wymiarem sprawiedliwości i jakoś wychodziłem z nich cało i nie siedziałem ani razu w więzieniu.

W kwietniu 1957 roku odezwał się znowu mój młodszy brat Staszek. Ukończył Liceum Felczerskie we Wrocławiu, pracował jakiś czas na placówce służby zdrowia jako felczer w okolicach Gorzowa Wielkopolskiego, a następnie został przeniesiony (czy też sam się przeniósł) do Małej Nieszawki koło Torunia, gdzie też pracował jako felczer.

W tej Małej Nieszawce zapoznał miejscową kierowniczkę szkoły i jak pisał w liście zamierzali się pobrać, a nas oboje z Oleńką zapraszają na ślub i wesele, które ma się odbyć 24 kwietnia 1957 r. w Małej Nieszawce.

Pojechaliśmy w oznaczonym terminie do Małej Nieszawki i byliśmy na ślubie i weselu naszego Staszka i Miry – jego narzeczonej. Wesele, jak pamiętam, odbyło się w domu panny młodej. Było dość skromne, a zaproszona było tylko najbliższa rodzina Państwa Młodych, w tym i my z Oleńką. Tak więc na weselu Staszka byliśmy, przysłowiowy miód i wino piliśmy i byliśmy bardzo zadowoleni, że mój młodszy brat Stasio ustabilizował sobie życie w tym jakże burzliwym okresie.

Poza tym nic szczególnego w pułku ani na moim podwórku się nie działo. W 1958 roku zdałem egzamin i otrzymałem świadectwo dojrzałości o czym już wspominałem.

Latem 1959 r. udaliśmy się jak co roku na urlop w rodzinne strony Oleńki i moje, a więc najpierw do Puław do Marysi i Heńka Misiurków oraz do Oleńki mamy, której pomagaliśmy przy żniwach (tak jak co roku). Po dwóch tygodniach pojechaliśmy znowu do Bytnia i też tak jak zawsze coś przy okazji pomogliśmy rodzinie.

Wackowi i Marysi powiększyła się rodzina. W dwa lata po Basi urodziła się druga córka Lucyna. Obie córki bardzo ładne i rosną na pociechę rodzicom, no i dziadkowi (Banaszkiewiczowi), który bardzo je lubił. Wacek zajął się uprawą tytoniu, który kontraktuje, uprawia i sprzedaje z dość dużym zyskiem. Oboje mają zamiar rozpocząć budowę nowego domu – zobaczymy!

W tym roku „załapaliśmy się” na urlopie na wesele mojej córki chrzestnej, którą w czasie wojny w 1939 roku podawałem do chrztu w kościele w Uhrusku – Janiny Nowosadówny.

Wesele to wspominam dlatego, że nie było to takie wesele jak dziś gdzie dom weselny jest gdzieś w restauracji i pełno jest samochodów do dyspozycji. Wesele to odbywało się w domu rodziców Janki – panny młodej i nie było żadnego samochodu do dyspozycji, jak to wtedy na wsi, ale za to było sporo furmanek zaprzężonych w konie.

Na wyjazd do ślubu do odległego o jakieś cztery kilometry kościoła w Uhrusku uformował się korowód złożony z dwunastu pojazdów zaprzężonych w konie. Chłopskie furmanki były odpowiednio przystosowane i przystrojone do przejazdu do kościoła.

Kolumna ruszyła. Na pierwszym „wasagu” para młodych i w czasie jazdy nie wolno było ich wyprzedzać, a następnie na kolejnych wozach drużny i drużby oraz goście. Pięknie wyglądał ten długi rząd pojazdów wijący się niby wąż wśród pól, którą przebiegała droga – od domu weselnego do kościoła. Jechało się z góry, bo dom weselny Nowosadów był na znacznym wzniesieniu i pięknie to wyglądało.

Wreszcie Uhrusk i znajomy stary kościół w Uhrusku. Odżyły we mnie wspomnienia - ileż to razy kiedyś przychodziłem z kolegami do tego kościoła. Ze wzruszeniem oglądałem wnętrze kościoła. Wszystko tak jak przed laty. Te same tablice z napisami – jedna z nich: „ś.p. Witold Krzywda-Rzewuski właściciel dóbr Łukówek, kapral 2-go pułku ułanów Legionów Polskich. Młode swe życie ojczyźnie poświęcił.” Pomyślałem sobie: nie tylko on w tych okolicach poświęcił życie dla ojczyzny, ale bardzo wielu, tak wielu, że chyba nie starczyłoby miejsca na tablice, które by ich upamiętniły.

Ceremonia ślubu w kościele dobiegła końca – wracamy. W domu weselnym zastawione suto stoły do uczty weselnej. Gościliśmy się i bawili do rana. Na weselu była również starsza córka Franka i Józia Nowosadów – Lucyna z mężem. Wyszła ona za mąż za Ryśka Przybyszewskiego w ubiegłym roku. Przyjechali na wesele z Gdyni, gdzie obecnie mieszkają.

Franek i Józia są bardzo zadowoleni z zięcia, bo to przystojny, zrównoważony, porządny młodzieniec, więc „chodzili” koło niego – jak koło księcia i chyba mieli rację. Lucyna z mężem na przyjęciu weselnym byli krótko, byli zmęczeni podróżą, więc poszli wcześniej spać. Franek Nowosad, ojciec panny młodej, trochę się z gośćmi zabawiał, ale poza tym miał inne obowiązki. Zabudowania gospodarskie są skupione koło siebie i pełno jest wokół nich materiałów łatwopalnych (słomy), obchodził więc z latarką całe obejście, bo wiadomo, że na takiej uroczystości jak wesele, sporo wypija się alkoholu i w tych warunkach o pożar nietrudno.

Wróciliśmy po przespaniu się na sianie w stodole dopiero na drugi dzień rano.

W domu po kilku dniach odwiedził nas na Podmaleniu Mietek Szlechta – mąż mojej ciotecznej siostry Lucyny. Był on obecnie wójtem gminy Wola – Uhruska i gospodarzył gminą dobrze. Najbardziej potrzebna inwestycja tj. budowa dróg o twardej nawierzchni w gminie, dokonana została za jego kadencji – było się czym chwalić.

Mietek zaprosił nas do siebie do odległego o siedem kilometrów Zbereża. Przedstawił nas swojej dość licznej rodzinie, pogadaliśmy sobie o różnych sprawach rodzinnych i ogólnych. Wracaliśmy do domu do Bytnia późnym wieczorem furmanką. Było już ciemno, a my wracaliśmy krótszą drogą przez łąki i najgorsze było to, że trzeba będzie pokonać bród na starej odnodze Bugu. Nie wiem dlaczego bród ten nazywano „Jańców mostek” chociaż żadnego mostka tam nie było – może był kiedyś? Ten bród był taki, że wystarczyło z niego zboczyć jakieś 2 metry i była głębia. Jechaliśmy więc przez ten Janciów mostek z duszą na ramieniu i jakoś dojechaliśmy bez przygód do domu.

Tymczasem urlop się kończy, trzeba wracać do domu do Włocławka i do pracy. W pracy w sztabie pułku dowiedziałem się, że mam skierowanie na Kurs Obrony Przeciwatomowej przy Wojskowej Akademii Technicznej. Kurs był zorganizowany dla szefów sztabów pułków inżynieryjnych i trwał 3 miesiące. Wkuwaliśmy na tym kursie fizykę jądrową, sposoby likwidacji skażeń promieniotwórczych, budowę i cechowanie (praktyczne) przyrządów dozymetrycznych.

Przy ćwiczeniach praktycznych i cechowaniu przyrządów dozymetrycznych używany był materiał promieniotwórczy kobalt – 60 i każdy z nas został trochę napromieniowany. Był szum, ale na wyrost, bo napromieniowanie było małe. Otrzymaliśmy dawki około 1000 miliremów tj. około 1-go rentgena, a taką dawkę otrzymuje się przy prześwietleniu rentgenowskim. Taka dawka jednorazowo nie jest szkodliwa dla zdrowia. Na zakończenie kursu egzamin i dostaliśmy świadectwo ukończenia tegoż kursu. Ile tych kursów ja już przeszedłem i ile szkoleń odbyłem – dziwię się jak to wszystko wytrzymałem nerwowo, bo nerwy o czym pisałem miałem mocno nadwerężone.

Rok 1960, znowu mamy pogrzeb bliskiej osoby – umiera mój ojciec. Jedziemy z Oleńką na pogrzeb i dobrze, że przyjechaliśmy, bo nie bardzo kto miał zająć się pogrzebem. Więc ja się tym zająłem. Pochowaliśmy ojca na cmentarzu w Uhrusku, ale nie obok mamy, bo ojciec przed śmiercią mówił, że obok mamy mogiły, są takie zarośla – głusz – mówił i woli być pochowany na bardziej otwartym miejscu. Wola umierającego ojca jest święta i pochowaliśmy go „na słońcu”. Odchodzi starsze pokolenie i to jak szybko. Żegnaj kochany tato! Nie mam już rodziców.

We Włocławku nic nowego się nie dzieje. Przyjaciele składają nam wyrazy współczucia z powodu odejścia mego taty. Przyjaciół mamy bardzo miłych i dobrych ludzi, z którymi przez te kilka lat obcowaliśmy i się przyjaźniliśmy, a byli to Celina Moszczyńska – kierowniczką szkoły do której uczęszczał Janusz, państwo Bińkowscy - Maryla i Janek, państwo Seniukowie - Janina i Edward i inni.

Mówiąc, że całkiem nic nowego we Włocławku się nie dzieje, to byłaby przesada, bo od kilku lat budowana była tama czy tzw. próg wodny na Wiśle pod Włocławkiem. Spiętrzona woda tworzyła zalew sięgający naszego poligonu w Modzerowie – olbrzymie przedsięwzięcie. Pod koniec 60 roku Komitet Miejski wydał przyjęcie z okazji uruchomienia tej tamy. Na przyjęciu byli zaproszeni, oprócz kierowników budowy tamy, władz miejskich, także oficerowie z naszego pułku tj. dowódca pułku, szef sztabu (czyli ja) i dowódcy batalionów.

Przyjęcie jak przyjęcie, zapamiętałem specjalnie jedną rozmowę z byłym właścicielem ziemskim, który jakoś był zaprzyjaźniony z władzami miejskimi i bywał też często u nas w pułku na różnych uroczystościach – był też i na tym przyjęciu. Rozmawiałem z nim o wielu różnych sprawach, a był to człowiek kulturalny i światły i przyjemnie się z nim rozmawiało. W pewnej chwili powiedział on do mnie: „Musimy się kiedyś spotkać i bliżej się poznać, żeby wiedzieć kto jest kto”. „Niech pan tego nie robi tego spotkania”. - rzekłem. „A to dlaczego?” – spytał. „Dlatego, że w czasie przedstawiania się kto jest kto, może się okazać, że mój pradziad u pańskiego pradziada kiedyś w przeszłości odrabiał pańszczyznę”. – odpowiedziałem – „więc po co panu takie znajomości?” Roześmiał się i powiedział: „A jednak mimo to chyba się kiedyś spotkamy”.

Nie spotkaliśmy się! – zostałem niedługo przeniesiony z Włocławka, ale o tym w dalszej części wspomnień.

Nad moją głową zbierały się pomału, ale ciągle chmury. Dowódca pułku poprosił mnie kiedyś na rozmowę i tak po przyjacielsku zapytał mnie jak ja sobie dalej wyobrażam pełnienie funkcji szefa sztabu pułku będąc bezpartyjnym. „Wyobraź sobie” - ciągnął dalej - „że jest zebranie partyjne, omawiane są różne ważne sprawy dotyczące pułku i jak wiadomo jest wiele spraw dotyczących szefa sztabu i szereg zapytań, a szefa sztabu nie ma bo jest bezpartyjny. Dlaczego tak się dzieje pytają niektórzy towarzysze? I co ja mam im odpowiedzieć? Radzę ci” – mówił dalej – „żebyś się nad tym zastanowił i podjął wreszcie odpowiednią decyzję”. „Zastanowię się” – odpowiedziałem i na tym rozmowę zakończyliśmy.

Nie zastanawiałem się nad tym, bo już dawno nie miałem chęci na wstępowanie do partii, bo chociaż serce miałem i mam po lewej stronie, to nie podobały mi się metody sprawowania władzy w Polsce żywcem przeniesione ze Związku Radzieckiego, te zebrania partyjne i to zakłamanie na każdym kroku. Może Gomółka coś zmieni? – myślałem. Tymczasem czas płynął, a ja nie zgłaszałem się do partii.

Dowódca pułku i komitet partyjny tymczasem zmienili taktykę z moim upartyjnieniem i zaczęli (sekretarz partii i zastępca dowódcy pułku d/s politycznych) namawiać Oleńkę by wpłynęła na mnie. Oleńka wysłuchawszy ich, później powiedziała do mnie: „Zapisz się do tej partii i niech ich wszyscy diabli wezmą, bo inaczej nie dadzą nam obojgu spokoju.” Co miałem robić? – zapisałem się do partii.

„Staż kandydacki” w partii trwał rok zgodnie z odpowiednimi przepisami. Po upływie roku zostałem wezwany na rozmowę (dotyczącą przyjęcia mnie już jako członka partii) do Komitetu Partyjnego Pomorskiego Okręgu Wojskowego.

Rozmowę ze mną prowadziło dwóch oficerów w stopniu pułkownika. Pierwsze pytanie: dlaczego dopiero teraz zdecydowałem się wstąpić do partii po tylu latach służby w stopniu oficerskim. Nie bardzo wiedziałem co im no to odpowiedzieć i po chwili odpowiedziałem (na odczepnego), że dopiero teraz dojrzałem do wstąpienia do partii.

Na to jeden z oficerów: „To my wam powiemy dlaczego teraz wstępujecie do partii: ślub kościelny wzięty, dzieci ochrzczone, dzieci były u komunii i bierzmowania, więc teraz nie będzie z tym kłopotów i wstępujecie do partii”. „Tak by to wyglądało”. – odpowiedziałem, bo już byłem tym ich gadaniem trochę podenerwowany. „Pewnie i jakiś obrazek święty wisi na ścianie” - rzekł drugi pułkownik. Odpowiedziałem: „A wisi!” „No to trzeba będzie zdjąć” – rzekł znowu, a ja odpowiedziałem, że tego obrazu nie zdejmę, to jest obraz podarowany po ślubie mojej żonie przez jej matkę i w żadnym wypadku tego obrazu nie będę zdejmował.

Pułkownicy, moi rozmówcy zmienili temat rozmowy i zaczęliśmy rozmawiać o sprawach pułku, o dyscyplinie itp. i do spraw mego wstąpienia do partii nikt więcej nie wracał. Na zakończenie rozmowy jeden z pułkowników powiedział: „Co do naszej decyzji odnośnie przyjęcia was do partii, to jak ją podejmiemy, to was powiadomimy”.

Wychodząc z tego gabinetu byłem święcie przekonany, że mnie do partii nie przyjmą. Do dziś nie wiem dlaczego, ale zostałem przyjęty.

Rok 1962 – w pułku zaszły zmiany personalne na szczeblu dowódczym. Dowódca pułku i jego zastępca d/s liniowych, kłócący się ze sobą o jakieś nagrody i wynalazek ulepszący samochody do przewożenia parku pontonowego zostali przeniesieni do jakichś instytucji wojskowych w Warszawie. Dowiedziałem się w pułku, że i ja jestem również planowany do przeniesienia, ale jeszcze nie wiadomo gdzie i do jakiej jednostki – myślę, że to był wynik mojej rozmowy w Komitecie Okręgowym Partii.

W kilka miesięcy później, chyba był to wrzesień czy sierpień, zostałem znowu wezwany do Sztabu Okręgu na rozmowę, tym razem do oddziału Kadr, gdzie zaproponowano



mi, a właściwie oznajmiono mi, że będę przeniesiony do 23 Dywizji Piechoty w Gdańsku na szefa saperów tejże Dywizji. Zgodziłem się, bo niby dlaczego miałbym się nie zgodzić skoro klamka już zapadła i rozkaz w tej sprawie już wysłano do naszego pułku, a proponowano mi i pytano o zgodę ot chyba tak „sztuka dla sztuki”.

## Rozdział VII

### 23 Dywizja Piechoty w Gdańsku

We wrześniu 1962 r. zameldowałem się w sztabie 23 Dywizji Piechoty. Sztab tej Dywizji był akurat na ćwiczeniach w Dziwnowie. Po zakończeniu ćwiczeń związanych z desantem morskim, powróciłem razem z oficerami dowództwa i sztabu DP do koszar do Gdańska. Zamieszkałem na razie w klubie oficerskim w jednym z pokoi gościnnych i rozmyślałem sobie nad dolą żołnierza – tułacza.

Znowu problem z mieszkaniem dla mnie i mojej rodziny, znowu przenosiny, których już miałem chorobliwie dosyć, ale co miałem i co mogłem zrobić? Poszedłem do szefa sztabu Dywizji i tam razem dość szybko uzgodniliśmy, że dostanę mieszkanie w nowo wybudowanym bloku mieszkalnym w Oliwie. Po dłuższych perypetiach z wykończeniem mieszkania w tym budynku (panował wtedy wielki „oszczędnościowy” bałagan w budownictwie) otrzymałem wreszcie w końcu października przydział na 3 pokojowe mieszkanie (razem te 3 pokoje to 35 m<sup>2</sup>). Było małe, ale było.

Znowu ten sam kołowrotek, urlop przeniesieniowy i przenosiny – wiadomo co to znaczy, zbieranie wszystkich maneli, ładowanie na transport, przewóz, rozładowanie, wnoszenie, ustawianie, układanie, urządzenie itp. Wytrzymać to nie każdy może – ja no i Oleńka wytrzymaliśmy, ale byliśmy już u kresu sił.

Coś mnie „podkusiło”, żeby tym razem przewieźć swoje graty i manele nie wagonem kolejowym, lecz dwoma samochodami. Wydawało mi się, że tak będzie dużo prościej i lepiej, bo od razu przewiezie się i wyładuje to wszystko do nowego mieszkania.

Dostałem pozwolenie na użycie samochodów do tej przeprowadzki. Z pułku naszego otrzymałem dwie o dużej ładowności Skody. Przed tym, zanim rozpocząłem ładowanie tych rzeczy na samochody, pożegnaliśmy się z najbliższymi sąsiadami. Strzemiennego wypiliśmy na parapecie okna i na taborecie przyniesionym do pustego już mieszkania, bo meble już były na podwórku.

Oleńka z dziećmi tego samego dnia wyjechała pociągiem do Gdańska już po moim odjeździe załadowanymi samochodami. Obliczyłem, że ja zajadę do Gdańska kilka godzin przed Oleńką i umówiliśmy się, że ona pojedzie od razu do tego naszego mieszkania, ja już tam będę i będę je urządzał.

Tymczasem złośliwy los spletał nam bardzo przykrego figła. Skody były po remoncie i nie bardzo sprawne, zaczęły się po drodze grzać ich silniki i jak to mówili kierowcy w swojej gwarze zaczęły „gotować herbatę”. Sprawilo to bardzo dużo kłopotów na tyle, że dojechalismy do Gdańska bardzo późnym wieczorem.

Oleńka z dziećmi przyjechała dużo wcześniej i czekała pod tym pustym jeszcze budynkiem ładnych kilka godzin nie wiedząc co się ze mną i z tymi samochodami dzieje i snując najgorsze przypuszczenia, że prawdopodobnie zdarzył się jakiś nieszczęśliwy wypadek.

Wypadku nie było, ale to „gotowanie herbaty” opóźniło nasz przyjazd i kosztowało nas wszystkich bardzo, ale to bardzo dużo nerwów. Przyjechalismy późno i nie było kiedy, po nocy starać się o żołnierzy do rozładowania i wniesienia rzeczy do tego mieszkania. Postanowiliśmy z por. Misiurskim – bo on był dysponentem tych samochodów, że sami przy pomocy dwóch kierowców wniesiemy rzeczy na drugie piętro. Wnieśliśmy, ale ile to nas kosztowało wysiłku, to tylko my wiemy. Wagonem byłoby to przewiezienie kosztowało mniej nerwów, obaw i wysiłku.

Mamy więc nowe mieszkanie i nową pracę przy urzędowaniu. Jeżeli ktoś nie przeprowadzał się, to mu powiem, że prawdą jest, że po dwu przeprowadzkach to jest taki sam stan wyposażenia mieszkania jak po jednym pożarze. Tym razem nie pasowały nam graty do tak małych pokoi. We Włocławku pokoje były dużo większe, a więc nowy problem i nowe wydatki i taka to żołnierska dola - jak w piosence.

W sztabie Dywizji pracy było niewiele, bo Dywizja była, jak to się wtedy mówiło, „skadrowana” to znaczy, że w sztabie i w jednostkach Dywizji były tylko kadry, a żołnierzy powoływano tylko na ćwiczenia.

Zajmowałem się więc tylko prowadzeniem ksiąg materiałowych i dorywczymi kontrolami kadry jednostki i pododdziałów saperskich. Inni oficerowie sztabu nudzili się i często grali w karty, rzadko wyjeżdżali w teren lub na ćwiczenia. Ten stan trwał do roku 1963.

W 1963 roku nasza 23 Dywizja Piechoty zostaje przemianowana na 23 Dywizję Desantową i otrzymuje nowe zadania na czas wojny. Zakładano czy planowano, że Armia Polska w razie wojny w ofensywie na zachód będzie zabezpieczała prawe skrzydło Armii Sowieckiej. Nasza Dywizja miała działać na prawym skrzydle Armii Polskiej. Zadaniem Dywizji miało być desantowanie i zdobycie Danii i w ten sposób zabezpieczenie nacierających wojsk od strony morza.

Do jednostki Dywizji zostają wcieleni poborowi do pełnego stanu etatowego. Rozpoczyna się intensywne szkolenie. Z tym związane jest opracowanie nowych programów szkolenia dla wojsk desantowych.

Koniec próżnowania. Następuje okres wytężonej pracy (również w czasie nocy) nad opracowaniem programów szkolenia i ćwiczeń. Ćwiczenia rozpoczęto po kilku miesiącach. Powołano również na te ćwiczenia żołnierzy z rezerwy. Ćwiczenia odbyły się we współdziałaniu z Marynarką Wojenną. Ładowanie desantu na okręty desantowe rozpoczęto na Westerplatte w Gdańsku, a lądowanie na poligonie wodnym w Ustce. W ćwiczeniach brali również udział oficerowie Armii Radzieckiej i NRD.

Ładowanie desantu to operacja bardzo trudna i nie wyobrażam sobie co by to było gdyby taki desant odbył się w warunkach bojowych. Straty byłyby nie do obliczenia. Takie są moje odczucia jako uczestnika tego desantu. Dobrze, że nigdy do tego nie doszło w warunkach bojowych.

Po ćwiczeniach wracamy do normalnej codziennej pracy nad tym cholernym programem dla wojsk desantowych. Kadra w sztabie Dywizji niezbyt przyjazna dla mnie – jak zwykle zarozumiali „wielcy dowódcy”, a właściwie jeżeli chodzi o wykształcenie, a zwłaszcza obycie towarzyskie, to nie bardzo. Było też kilku porządných oficerów, mam na myśli przede wszystkim ppłk Leduchowskiego – ziemianina z Polesia, bardzo kulturalnego oficera, który poza służbą zajmował się rozprowadzaniem książek. Z nim rozmowa to prawdziwa przyjemność. Z-ca d-cy Dywizji d/s liniowych pokpiwał często z Leduchowskiego, że pochodził z Polesia i gdy udawał się tam do kościoła to miał dwie przesiadki z czółna na czółno. Sam z-ca to osławiony był adiutant gen. Świerczewskiego i podobno, gdy generał po opanowaniu przez Wojsko Polskie brzegu Wisły z radością kąpał się, to ten adiutant pilnował gatek generała, żeby nie zginęły. Tą adiutanturą chwalił się na spotkaniach z młodzieżą wiele razy.

Ta anegdota o pilnowaniu gatek złośliwie krążyła wśród oficerów dlatego, że on z nadto się chwalił, że był adiutantem tak ważnego generała. Praca w sztabie zaczęła być dla mnie uciążliwa i przy pierwszej okazji postanowiłem, że chyba stanę na głowie, a przeniosę się z tego sztabu do jakiejś jednostki saperskiej.

Okazja nadarzyła się niedługo. Z szefostwa Wojsk Inżynieryjnych MON przyjechał do Sztabu Dywizji na kontrolę płk Michałowski, którego znałem, bo pracował on w Pomorskim Okręgu Wojskowym. Teraz był w Szefostwie Wojsk Inż. MON i mógł mi pomóc.

W czasie kontroli jednego z pododdziałów saperskich przedstawiłem mu swoją prośbę sugerując, że chciałbym ewentualnie być przeniesiony do Studium Wojskowego Politechniki Gdańskiej na wykładowcę z dróg, mostów i innych przedmiotów inżynieryjno – saperskich. Pułkownik obiecał, że załatwi sprawę i jak się później przekonałem, dotrzymał słowa.

Po kilku miesiącach w połowie maja 64 r. przyszedł do Sztabu rozkaz MON o przeniesienie mnie do Studium Wojskowego Politechniki Gdańskiej. Teraz z kolei wezwano mnie na rozmowę do Departamentu Wojskowego w Ministerstwie Oświaty, a później do Kierownictwa Studium Wojskowego Politechniki Gdańskiej. Wszyscy po rozmowie ze mną wyrazili zgodę na objęcie przeze mnie stanowiska st. wykładowcy w Grupie Przedmiotowej „Wojska Drogowe” Studium Wojskowego.

## **Rozdział VIII**

### **Studium Wojskowe Politechniki Gdańskiej W Gdańsku**

Studium Wojskowe miało następującą organizację: Kierownik Studium i z-ca Kierownika, kierowali Studium i szkoleniem studentów. Studenci szkolili się w tzw. cyklach specjalistycznych. Były to: cykl samochodowy, cykl łączności, cykl ogólnie wojskowy, grupa przedmiotowa wojska inżynieryjne i drogowe, grupa przedmiotowa wojska chemiczne.

Zostałem st. wykładowcą grupy przedmiotowej „wojska drogowe”. Początkowo miałem trochę trudności, bo to nowy rodzaj szkolenia i trzeba było dobrze się przygotować do zajęć, bo to przecież studenci, a nie zwyczajni rekruci. Chociaż studenci są różni, a bywają tacy, że chciałoby się rzec: jak ty się człowieku dostałeś na studia, twoje miejsce jest gdzie indziej i co ty tu robisz? Ale to są wyjątki. Ogół jest na poziomie.

Studenci na szkolenie wojskowe zorganizowani byli na wzór wojskowy w kompanie i plutony w/g roku studiów. Studenci każdego roku studiów szkoleni byli oddzielnie. Szkolenie wojskowe odbywali jeden dzień w tygodniu – rozpoczynało się na drugim roku studiów. Po drugim roku studiów i związanym ze studiami szkoleniem wojskowym studenci byli powoływani na jeden miesiąc na szkolenie praktyczne do jednostki wojskowej w/g specjalności np. – studenci szkoleni w Studium Wojskowym w cyklu łączności byli powoływani na szkolenie do pułku łączności.

Po czwartym roku studiów studenci ponownie (po raz drugi) powoływani byli do jednostek wojskowych na końcowe szkolenie wojskowe i egzamin z tegoż szkolenia. Po pomyślnym zdaniu egzaminów student otrzymywał pierwszy stopień oficerski – podporucznik i na tym szkolenie wojskowe w czasie studiów się kończyło.

Szkolenie studentów prowadzili oficerowie – wykładowcy zgrupowani w poszczególnych cyklach i grupach przedmiotowych. Razem było nas około trzydziestu! W cyklu ogólnie wojskowym było najwięcej – około 10-12-stu oficerów – a w pozostałych cyklach i grupach przedmiotowych po 4-5-ciu lub mniej oficerów. Studium miało do celów szkoleniowych kilka dużych sal wykładowych, kilka pokoi dla oficerów wykładowców, pokoje dla kierownictwa i kierowników cykli, oraz pomieszczenia dla tajnej kancelarii, biblioteki, magazynu broni i magazynów sprzętu.

Salę wykładową oraz pokoje dla oficerów, tajna kancelaria i biblioteka mieściły się na parterze gmachu głównego Politechniki zaś pomieszczenia magazynowe w podpiwniczeniu tegoż gmachu.

Pod koniec czerwca 64 roku wyjechałem ze studentami 4-go rocznika (tego który szkolilem) na praktyczne szkolenie w Brygadzie Drogowo – Mostowej stacjonującej w Nisku. Po przyjeździe, studentów zakwaterowano w namiotach, a oficerów (było nas trzech) w kasynie oficerskim w pokojach hotelowych. Oprócz studentów z Politechniki Gdańskiej przybyli również na to szkolenie studenci Politechniki Poznańskiej.

Szkolenie studentów odbywało się tak samo jak żołnierzy służby zasadniczej. Porządek dnia był taki sam, a szkolenie i ćwiczenia głównie praktyczne - jak budowa promów mostowych i przewozowych, budowa mostu z elementów składanych „Bayleja”, ustawianie i zdejmowanie min i inne ćwiczenia praktyczne.

Pod koniec miesiąca było przygotowanie do egzaminów i egzaminy. Zagadnienia i pytania egzaminacyjne były przysyłane z Szefostwa Wojsk Drogowych MON.

Po egzaminach studenci pojechali każdy w swoją stronę, a ja przypomniałem sobie, że d-ca batalionu saperów w Sandomierzu ppłk Szewczyk zaprosił mnie, żebym go odwiedził kiedyś, kiedy będę miał czas. Było to, gdy w ramach szkolenia ze studentami w jego batalionie – miałem zajęcia z przedmiotu maszyny drogowe i mostowe.

Pomyślałem sobie, że teraz mogę pojechać i poprosiłem d-cę Brygady o jakiś samochód, którym, mógłbym pojechać do Sandomierza. Dostałem gazik i pojechałem. Po przybyciu do Sandomierza ppłk Szewczyk zaproponował mi, żebyśmy pojechali do odległych 7 km Dwikóz, że on tam ma przyjaciela kierownika szkoły, z którym współpracuje i któremu pomagał i pomaga w urządzaniu nowo wybudowanej szkoły. Odpowiedziałem Szewczykowi, że chętnie pojedę do Dwikóz, bo też mam tam znajomych i wspomnienia z rozminowania przyczółka.

Pojechaliśmy więc do Dwikóz, najpierw do kierownika owej szkoły, o której mówił Szewczyk. Kierownik szkoły, bardzo miły człowiek, ugościł nas gorzałką i kiełbasą, jak to się popularnie mówi, „swojej roboty”. Na stole wyglądało to bardzo efektownie. Nie będę opisywał jak wyglądała flaszka z wódką, ale kiełbasa wyglądała bardzo fajnie. Była na półmisku zwinięta w kręgi i ułożona w dużą piramidę - chyba z pół metra wysokości. Gawędziliśmy przy tym stole chyba ze trzy godziny, a potem poprosiłem Szewczyka żebyśmy pojechali tam, gdzie przebiegały pasy obrony sowieckiej i niemieckiej na przyczółku, gdzie były setki tysięcy min i gdzie przez z górą dwa lata brałem udział w rozminowaniu.

Pojechaliśmy tam, gdzie kiedyś z żołnierzami – saperami zdeptałem pola metr przy metrze w największym napięciu i w oczekiwaniu na śmierć, która groziła w każdym momencie i na każdym kroku. Dojeżdżamy do Winiar i Winiarek, gdzie pamiętam kiedyś ogromne połacie sadów zdruzgotanych przez odłamki pocisków i bomb, dalej Zawichost, Czernin i inne wsie, które były prawie całkowicie zniszczone, a ludzie mieszkali w ziemiankach pozostałych z czasów wojny.

Teraz patrząc na te tereny nie mogłem prawie ich rozpoznać - tak wszystko się zmieniło. Domy odbudowano, pola zaorano, a o saperach mało kto pamięta, chyba tylko ludzie starsi, ale znowu u nich z tą pamięcią różnie bywa. Patrzyłem na te wsie i tereny gdzie tyle trudu i ofiar ponieśli saperzy i przypomniały mi się twarze kolegów oficerów i saperów, którzy złożyli tam najwyższe ofiary – własne życie.

Pomyślałem sobie, że ta niewdzięczna, bardzo trudna, długotrwała i niebezpieczna praca sapera, to nie to samo co na przykład szarża kawalerii, krótka, niebezpieczna, ale jakże efektowna i o niej mówią całe pokolenia o czym pisałem na wstępie, o saperach i tej ich długotrwałej niebezpiecznej, pochłaniającej wiele ofiar pracy niewiele kto mówi.

Tak rozmyślając obejrzałem razem z Szewczykiem część tych terenów, które jak to już wspomniałem przemierzałem w przeszłości wiele, wiele razy. Pojechaliśmy z powrotem do Sandomierza i po pożegnaniu z miłym Szewczykiem, wsiadłem do pociągu i pojechałem do Gdańska.

W Gdańsku najpierw udałem się do Studium, żeby zameldować jak przebiegło szkolenie studentów w jednostce wojskowej i po zdaniu relacji poprosiłem o urlop wypoczynkowy. Urlop otrzymałem i jak co roku spędziliśmy go w Puławach i w Bytniu. Dlaczego tak co roku jeździliśmy na urlop w swoje rodzinne strony, to sam nie mogę tego zrozumieć.

Gdy przychodziło lato i dostawałem urlop, wtedy coś we mnie się budziło, jakaś nieprzeparata chęć i jakiś „ciąg” w swoje strony, coś podobnego jak krzyk dzikich gęsi kiedy odlatują. Tak jak te dzikie gęsi i nas coś „ciągnęło” w swoje strony. Urlop spędziliśmy mniej więcej tak samo jak zawsze i wróciliśmy do Gdańska do domu.

W domu było już wszystko jako tako urządzone, na tyle na ile stać było wtedy oficera, za to mieliśmy zajęcia za domem - w ogródku. Jak powstał u nas ogródek? Gdy sprowadziliśmy się i urządziliśmy mieszkanie, my i nasi sąsiedzi (zamieszkało nas w tym budynku 18 rodzin) musieliśmy zagospodarować plac od strony południowej budynku. Plac był zasypany gruzem ze spalonych w czasie wojny budynków i został przysypany ziemią z wykopu pod budynek.

Wszyscy orzekliśmy, że trzeba ten plac uporządkować i jakoś zagospodarować. Budynek nasz był usytuowany jak posesja i ogrodzony dookoła siatką. Wzięliśmy się więc do roboty, żeby zrobić porządek za budynkiem - trzeba było zdjąć i wywieźć na wysypisko masę ziemi i gruzu.

Podzieliliśmy plac na 18 działek (tyle ile było rodzin w budynku), każda rodzina otrzymała jedną działkę na tym placu o wymiarach 2 m x 20 m – taki sobie spory zagon. Pracowaliśmy chyba około tygodnia i wywieźliśmy ten gruz i nasypaną ziemię, a po tym każdy przekopał swoją działkę, wykonał grządki i zasadził lub zasiał na niej warzywa. Była więc praca i zarazem odpoczynek w ogródku. Te działki za domem uprawiamy do dzisiaj.

Obaj nasi chłopcy uczęszczają do pobliskiej szkoły i uczą się nieźle, tak że życie w nowym miejscu toczyło się od czasu przeprowadzi naszej do Gdańska zwykłym normalnym trybem.

Któregoś dnia w czasie spaceru spotkaliśmy koleżankę Oleńki z Puław – Stasię Derasiewiczównę z jej mężem Jankiem (tę, którą kiedyś spotkaliśmy na plaży w Puławach w 51 roku). Przywitaliśmy się bardzo serdecznie jak starzy przyjaciele i zaraz umówiliśmy się na spotkanie, a właściwie odwiedziny u nas w domu.

Spotykaliśmy i odwiedzaliśmy się nawzajem bardzo często, a w każdą niedzielę obowiązkowo, nie mówiąc już o imieninach czy urodzinach, także na ważniejszych rocznicach.

W każdą niedzielę jeździliśmy kolejką elektryczną do Sopotu do kościoła Gwiazda Morza i po wysłuchaniu mszy świętej, wracaliśmy na piechotę ścieżką przy brzegu morza do Jelitkowa (około 4 km). W Jelitkowie wsiadaliśmy do tramwaju i jechaliśmy na obiad raz do nas, a raz do Janków (bo tak na co dzień nazywaliśmy małżeństwo przyjaciół). Te spacerki kontynuowaliśmy przez wiele lat.

Kiedyś na imieninach u Janków zapoznaliśmy małżeństwo pp. Głębeckich, bardzo miłych ludzi. W czasie rozmowy okazało się, że mąż pani Głębeckiej – Władek – pochodzi z tych stron co i ja, a mianowicie z Bukowy czy z Piasków, parę kilometrów od Bytnia, a w Bytniu mieszkają Władka bratankowie: Władysław i Stanisław Głębowie. Opowiadaniom i wspomnieniom nie było końca, no i zaraz wypiliśmy „brudzia”.

Tak więc zyskaliśmy nowych przyjaciół, a oprócz Władeków i Janków spotkaliśmy również i innych Puławiaków tj. Lolę i Tadka Kosidłów oraz Halinę i Zygmunta Jerzynów. Grono towarzyskie znacznie się poszerzyło i było nam bardzo przyjemnie. Odwiedzaliśmy się dość często, a już jak wspomniałem z okazji imienin, urodzin czy różnych rocznic obowiązkowo.

Tymczasem nadszedł pamiętny rok 1968, w którym rozegrały się ważne wydarzenia polityczne. Rząd zabronił wystawiania sztuki „Dziady” Mickiewicza ze względu na ich antyradziecki wydźwięk. To znowu spowodowało protest studentów na wyższych uczelniach Warszawy, a później na uczelniach w wielu innych miastach.

Na naszej uczelni w Politechnice Gdańskiej odbyło się wielkie zgromadzenie, na którym przemawiał rektor Uczelni prof. Rydlewski. Na drugi dzień odbyła się manifestacja

studentów, którzy wyszli na ulicę. Manifestacja została rozpędzona (stłumiona) przez milicję oraz aktywistów partyjnych.

Po stłumieniu manifestacji na drugi dzień rektor zarządził zebranie całego grona kadry uczelnianej, na które przybył z Warszawy Edmund Osmańczyk i przekazał stanowisko władz w tej sprawie: studenci mogą manifestować na terenie uczelni i to sprawa Uczelni co z tym uczynią, natomiast jeżeli wyjdą na ulicę, wtedy wkroczy milicja z wszystkimi tego konsekwencjami. Tyle Edmund Osmańczyk. Po tym było wiele szumu na terenie Uczelni, ale wkrótce się uspokoiło.

W Studium Wojskowym Politechniki po kilku dniach odbyło się zebranie oficerów, na które przybył jakiś z „wyższej” instancji pracownik czy oficer wywiadu no i wyjaśnił o co właściwie chodzi i dlaczego odbywają się manifestacje studentów.

Zaczął on od 1939 roku. Stwierdził, że te manifestacje zorganizowali Żydzi, którzy byli niezadowoleni z tego, że rząd polski poparł Arabów w wojnie z Izraelem na Bliskim Wschodzie. Rząd polski rzecz jasna uczynił to dlatego, że takiego poparcia Arabom udzielił wcześniej Związek Radziecki („za panią matką”).

Wracając do 1939 roku stwierdził on, że Żydzi wtedy w 39 roku masowo uciekali do Związku Radzieckiego i prawie każdy miał legitymację KPP, a ponieważ Polska Partia Komunistyczna była wtedy w wielkiej niełasce u Stalina (likwidowano wtedy przywódców tej partii), to Żydzi przybyli do ZSRR, schowali bardzo głęboko swoje legitymacje KPP, a wydobyli je dopiero wtedy, gdy powstał tam Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską na czele.

Kiedy Armia Radziecka wkroczyła do Polski i kiedy zorganizowały się władze administracyjne i partyjne wtedy okazało się, że w najważniejszym ogranie polityczno – partyjnym w Polsce w Biurze Politycznym było 90 procent Żydów. Wszędzie w Polsce na wyższych stanowiskach w administracji, kulturze, w wojsku i innych ważnych instytucjach na stanowiskach kierowniczych dominowali Żydzi. Rzecz jasna popierali oni państwo żydowskie Izrael i byli bardzo niezadowoleni z poparcia jakiego Polska udzieliła Arabom w wojnie z Izraelem, no i dlatego zorganizowali wystąpienie i rozróby studenckie. Tyle ten tajny wywiadowca, a czy mówił prawdę, tego to ja nie wiem – niech każdy kto będzie czytał te wspomnienia (jeżeli będzie je ktoś czytał) myśli sobie o tym co chce – ja tylko piszę to co słyszałem.

Rozpoczęła się wtedy „czystka” w wojsku. Zwalniano po kolei prawie wszystkich oficerów – Żydów z wojska. Gomółka dał termin, do którego obywatele polscy żydowskiego pochodzenia mogą bez przeszkód wyjechać do Izraela lub gdzie indziej na Zachód (dotychczas było to bardzo utrudnione).

Wyjechało wielu, bardzo wielu Żydów, a w Polsce zostało tak jak było – nie zmieniło się z tego powodu nic – ani na lepsze ani na gorsze.

W sierpniu jak co roku wyjechałem to już chyba czwarty raz z rzędu za studentami na szkolenie w jednostce wojskowej, tym razem do Brygady Drogowo – Mostowej do Grudziądza. W Grudziądzu spotkałem dawnego kolegę z rozminowania ppłk Zygierta, który również ze studentami Politechniki Poznańskiej przybył na szkolenie do tej samej co ja Brygady.

Szkolenie przebiegało normalnie i byłoby naprawdę dobrze ale zdarzył się wypadek samochodowy w czasie przejazdu na ćwiczenia. W tym wypadku zginął student Politechniki Gdańskiej i w związku z tym pojechałem do Gdańska w celu powiadomienia o tym jego



rodziców. Nie będę opisywał jak to się odbyło. Było bardzo przykro patrzeć na cierpienia i rozpacz rodziców.

Udałem się następnie do domu i tu znowu smutna wiadomość, bo zmarła Oleńki mama. Oleńki już nie było w domu, bo pojechała do Puław, pozostawiła kartkę z prośbą, żebym też przyjechał do Puław. Pojechałem.

W Puławach, a właściwie w Jaroszynie, na cmentarzu parafialnym odbył się pogrzeb mamy. Co mogłem powiedzieć wtedy – nie mamy już rodziców, ani ja ani Oleńka. Jak ten czas przemija i razem z nim odchodzą nasi najbliżsi.

Po pogrzebie zebrała się cała rodzina Oleńki i radziliśmy co dalej? – została w domu tylko mamy siostra - staruszka. Zaopiekował się nią brat Oleńki – Stefan – i jego syn, a opiekowali się nią bardzo „troskliwie” tak, że mogła odwiedzić wszystkich swoich krewnych po kolei. Niedługo potem zmarła. Majątkiem pozostałym po rodzicach zaopiekował się również Stefan ze swoim synem i też dobrze się opiekowali, tak dobrze, że nie miały już nic do powiedzenia ani Oleńka ani jej siostra Marysia nie dostały nic, dosłownie nic z tego majątku – majątku po ich rodzicach do dzisiejszego dnia.

Wracamy do domu. W domu, jak to w domu, jest lato i po tych ćwiczeniach – szkoleniu w jednostce mam urlop – używamy więc plaży i kąpieli. Do Bałtyku jest bardzo blisko.

Dzieci nasze też spędzają razem z nami wakacje. Janusz niedługo kończy Technikum Budowy Okrętów, a Zbyszek szkołę podstawową i też ma zamiar po ukończeniu tej szkoły zdawać do Technikum Budowy Okrętów.

To by było tyle o nas w tym 1968 roku, obfitym w różne wydarzenia, a jak tam żyje nasze rodzeństwo? Zaczynam od Antosia Zalewskiego – mego przyrodniego brata. Antosiuw rodzina od czasów przedwojennych znacznie się powiększyła. Mają 6-ciu synów i jedną córkę – Dankę.

Chłopaki już się poženili, a Danka wyszła za męża. Antoś i jego żona Helenka są już dziadkami – jak ten czas szybko leci.

Marysia i Wacek gospodarzą sobie w Bytyniu. Wacek zajął się uprawą tytoniu, który co roku kontraktuje, uprawia i sprzedaje z dość dobrym zyskiem o czym już pisałem. Rozpoczęli budowę nowego murowanego domu. Mają dwie piękne córki – Basię i Lucię – więc jest dla kogo dom budować.

W 1969 roku nie pojechaliśmy na urlop w „swoje strony”, dostaliśmy karty wczasowe do Wisiełki i tak spędziliśmy dwa tygodnie nad morzem, a pozostałe dwa w domu w Oliwie.

Co więcej działo się wtedy, żeby o tym wspomnieć? – nadszedł rok 1970, a ściślej mówiąc wypadki grudniowe 1970 r. Nie będę opisywał przebiegu wypadków, bo są one powszechnie znane i sądy rozstrzygały i dalej jeszcze będą rozstrzygać co się wtedy działo, kto i za co ponosi winę i odpowiedzialność.

Mogę tylko powiedzieć, że były to nie tyle manifestacje z powodów ekonomicznych, ale przede wszystkim był to zryw wolnościowy. Ten zryw został krwawo stłumiony i winni powinni ponieść karę.

W Studium Wojskowym w dalszym ciągu prowadzone było wojskowe szkolenie studentów i jak zwykle wyjeżdżaliśmy na obozy szkoleniowe do jednostek wojskowych. W

1971 roku wyjechałem po raz ostatni na obóz szkoleniowy ze studentami do Brygady Drogowo – Mostowej do Grudziądza.

Podczas szkolenia w Brygadzie zachorowałem nagle na kamicę nerkową i leczyłem się najpierw w szpitalu w Grudziądzu, a później w szpitalu Wojskowym w Toruniu. Przygotowywano mnie do operacji, ale jakoś szczęśliwie „ten kamień przeszedł” i obyło się bez operacji. Bardzo osłabiony przyjechałem do domu do Oliwy.

Po kilkudniowym odpoczynku poszedłem do pracy w Studium. Właściwie w Studium nie bardzo było co robić, bo były jeszcze wakacje. Wszyscy oczekiwali zapowiadanych zmian w organizacji szkolenia studentów.

Tymczasem w październiku „zjechała” do Studium Komisja inspekcyjna ze Sztabu Generalnego WP. Komisja, jak stwierdziliśmy, przyjechała z takim nastawieniem, żeby wykazać, że wszystko w Studium jest źle - od a do z.

Mówiło się, że Jaruzelski wysłał Komisję po kolei do jednostek, które wykazują, że wszystko do tej pory było źle, a dopiero Jaruzelski spowoduje, że wszystko będzie dobrze. W Studium czepiali się tendencyjnie wszystkiego po kolei i w ten sposób dopięli swego i postawili dla Studium ocenę niedostateczną, notabene niesprawiedliwą.

Za taką oceną oczywiście idą konsekwencje. Kierownik Studium zacny, porządny, kompetentny oficer płk Józef Oleszkiewicz zostaje zdjęty ze stanowiska i przeniesiony do rezerwy. Przyszedł nowy kierownik, a jaki będzie? – zobaczymy.

Tymczasem szkolenie trwa dalej, ale ciągle czekamy na zmiany, które w końcu nadeszły, ale były to zmiany częściowe. Zlikwidowano niektóre specjalności. Szkolimy więc te, które zostały i czekamy na dalsze zmiany.

W 1972 roku jedziemy znowu w swoje strony na urlop – dlaczego? bo tęsknimy za „swojakami”, a oni za nami i ciągle nas bardzo, a to bardzo zapraszają, więc jak nie jechać? Pojechaliśmy we troje ze Zbyszkiem, bo Janusz był na WSMW – najpierw oczywiście do Puław.

W Puławach zmiany – Heniek i Marysia Misiurkowie przenieśli się do innego mieszkania w nowo wybudowanym bloku. Mieszkanie lepsze od dotychczas zajmowanego, posiada wszystkie urządzenia sanitarne, gaz, centralne ogrzewanie, tak że „nasi” są bardzo, a bardzo zadowoleni.

Pomieszkaliśmy z nimi trochę, pozwiedzaliśmy wszystkie kąty, poszliśmy na cmentarze w Puławach i w Jaroszynie, żeby odwiedzić również naszych zmarłych rodziców i pojechaliśmy do Bytnia – po raz który? – nie wiadomo.

W Bytniu też zaszły zmiany. Wacek i Marysia wybudowali już nowy, murowany dom, a stary sprzedali naszemu Antosiowi, który kupił ten dom dla syna Ceśka.

Znowu jak zwykle odwiedzaliśmy rodzinę i znajomych, oraz wszystkie stare zakątki, które kiedyś były świadkami mego dzieciństwa i młodości. Zawsze jestem wzruszony, gdy je odwiedzam.

Urlop minął, wróciliśmy do domu do Gdańska i nic specjalnego się nie działo, ani w domu ani w pracy w Studium aż do września 1973 r.

We wrześniu 1973 roku nowy kierownik Studium wezwał mnie na rozmowę i zapytał co bym wolał: czy przeniesienie do innej jednostki czy zwolnienie do rezerwy, bo jest taka sytuacja, że po likwidacji kilku grup przedmiotowych w tym i mojej – drogowej – brak jest dla mnie etatu.

Nie byłem zaskoczony takim postawieniem sprawy, wiedziałem chyba od roku, że tak będzie i odpowiedziałem kierownikowi, że wybieram zwolnienie do rezerwy, bo prze-

niesień z jednej jednostki do drugiej mam już powyżej uszu. Kierownik przyjął moją decyzję z zadowoleniem, bo przyznam się szczerze, że jakoś nie bardzo lubiliśmy się z nowym kierownikiem.

W czasie dalszej rozmowy dotyczącej zwolnienia mego do rezerwy, kierownik obiecał mi, że przedstawi mnie do awansu na kolejny stopień oficerski, który należał mi się od kilku lat, ale nie mogłem awansować z powodu braku odpowiedniego do stopnia wolnego etatu. Teraz taka możliwość będzie przy zwolnieniu.

Niedługo po tej rozmowie zostałem wraz z kilkoma innymi oficerami Studium wezwany na rozmowę do Departamentu Wojskowego Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego do Warszawy.

Do gabinetu Szefa Departamentu wzywano nas kolejno. Po dość długim oczekiwaniu wszedłem do tegoż gabinetu i zameldowałem się pułkownikowi, który wyszedł z za biurka, przyjął meldunek, przywitał się ze mną i kazał mi usiąść. Sam usiadł na krześle nie za biurkiem lecz przed, chyba chciał pokazać przez to, że nie dzieli nas urzędowy dystans i że możemy rozmawiać swobodnie. Właściwie to nie bardzo było o czym rozmawiać. Pułkownik mówił o sytuacji w szkolnictwie wojskowym, że ulega ono teraz gruntownej zmianie itp., a następnie zapytał mnie czy mam jakieś życzenia w związku ze zwolnieniem do rezerwy. Odpowiedziałem, że specjalnych życzeń nie mam – więc może jakieś skargi, czy zażalenia? – proszę mówić śmiało. Skarg i zażeń nie miałem, więc odmeldowałem się i na tym rozmowa się skończyła. Wróciłem wraz z kolegami do Gdańska i czekałem na zwolnienie do rezerwy.

Zanim to zwolnienie przyszło, nadeszła 25 rocznica ślubu mego i Oleńki. Trzeba będzie to jakoś uczcić, bo tyle nasłuchaliśmy się o srebrnym weselu PRL-u, nawet była piosenka, że trzeba coś zrobić.

Więc najpierw byliśmy w tą rocznicę w naszym parafialnym kościele tj. w Katedrze Oliwskiej i wysłuchaliśmy mszy świętej, a na najbliższą niedzielę zaprosiliśmy naszych przyjaciół na takie skromne srebrne wesele.

Siedząc przy stole przypomniałem sobie jak 25 lat temu siedziałem z Oleńką na honorowym miejscu za stołem w Puławach. Przypomniała mi się rozmowa naszych ojców, w czasie której chwalili nas, swoje dzieci i skandowanie gości „gorzka wódka”, po którym całowaliśmy się wiele razy.

Teraz też skandowano i śpiewano „gorzka wódka” – trzeba ją osłodzić i całowaliśmy się teraz też, ale chyba to już nie były takie same pocałunki jak 25 lat temu chociaż... Biesiadowaliśmy, śpiewaliśmy, rozmawialiśmy, Zbyszek zrobił sporo zdjęć, wesele, wesele i po weselu.

Niedługo po rocznicy naszego wesela przyszedł z Ministerstwa Obrony Narodowej rozkaz o awansach. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie było mnie w rozkazie wśród awansowanych, a przecież kierownik obiecał mi w czasie rozmowy, że poda mnie do awansu, bo taki mi się od dawna należy. Dlaczego w Departamencie Kadr nie pamiętali?

Okazało się po wyjaśnieniu, że to nie Departament Kadr odrzucił wnioski o awans lecz, że takiego wniosku kierownik Studium wcale na mnie nie wysłał, chociaż sam mówił o tym awansie i miał go wysłać.

Co tu mówić – po prostu mnie oszukał i nie wiem dlaczego. Kiedy go spytałem jak to się stało, udawał, że nie wie jak to się stało. Taki to był ten kierownik i kiedy był pewny, że awansu już nie dostanę, wysłał wniosek do Warszawy przekonany, że z powodu opóźnienia zostanie odrzucony.

Pomylił się jednak, zostałem ku zdumieniu i niezadowoleniu kierownika awansowany!

Za kilka dni przyszedł następny rozkaz MON o zwolnieniu oficerów Studium do rezerwy. W tym rozkazie byłem i ja wymieniony.

Co więc zostało mi do zrobienia w Studium – chyba rozliczenie się i pożegnanie. Rozliczyłem się i pożegnałem z kolegami i tak mi się ta prawie trzydziestoletnia służba w wojsku zakończyła.

### **Trzydzieści lat później**

Trzydzieści lat to długi okres czasu i jest już rok 2003. Co robię po tych trzydziestu latach? Piszę wspomnienia, które zacząłem w październiku 2002 roku i mam je prawie na ukończeniu. Szkoda, że nie zacząłem tych wspomnień pisać 20 lat wcześniej. Napisałbym je bardziej dokładnie, to znaczy opisałbym o wiele więcej wydarzeń, które miały miejsce w czasie mojego długiego żywota, a tak musiałem wiele wydarzeń ominąć, opuścić, gdyż przy obecnym stanie zdrowia nie byłbym w stanie wszystkiego objąć i opisać.

Z tego samego powodu napisałem wspomnienia tylko do 1973 roku tj. do chwili zwolnienia mnie ze służby wojskowej i przeniesienia do rezerwy. Piszę wspomnienia i zastanawiam się nad swoimi zmaganiem z losem i czy w przeszłości podejmowałem właściwe decyzje, a zwłaszcza w 1944 i 1945 roku, gdy się wahałem czy pójść do wojska czy też przystąpić do walki podziemnej jak mi proponowali koledzy z AK.

Wtedy decyzja była trudna, bo nie mogło być tak, że cała młodzież pójdzie do lasu i wywalczy wolną Polskę, bo trzeba by było pokonać Sowiecką Armię czego wtedy nie podjęli się nawet alianci z zachodu.

Z drugiej jednak strony trzeba było podtrzymać walkę podziemną o całkowite wyzwolenie Polski. Jak więc było?

Było tak, że jedni zalecali potworne rany jakie Polsce zadali okupanci i dźwigali kraj z ruin, a drudzy toczyli walkę podziemną, partyzancką o Polskę wolną od dominacji sowieckiej. Jedni i drudzy (po swojemu) mieli rację. Na ten temat jest jednak dużo kontrowersji, a nawet bardzo dużo.

Polska została dźwignięta z ruin wprawdzie nie tak jak byśmy sobie tego życzyli, bo nie było na to odpowiednich warunków, ale kto widział i ma przed oczyma obraz Polski z końca 1945 roku, to musi przyznać, że jednak pobudowano (jak mówił Gierek) drugą Polskę.

Ci co wybrali walkę podziemną też osiągnęli swoje cele, gdy zaistniały po temu warunki tj. gdy sytuacja polityczna i militarna była odpowiednia. Zaistniała taka sytuacja po 1980 roku, gdy państwa zachodnie ze Stanami Zjednoczonymi na czele po wielu latach położyły w wyścigu zbrojeń gospodarkę Związku Radzieckiego na obie łopatki.

W dodatku sowieci „ugrzęźli” w wojnie z Afganistanem W tej sytuacji nie bardzo mogli interweniować w Polsce gdy „Solidarność”, w skład której wchodziło również „podziemie”, walczyła odważnie o wolność – piszę odważnie, bo wtedy nie bardzo było wiadomo co zrobią Sowieci.

Zaistniała więc wtedy taka sytuacja w Europie, że Sowieci musieli się wycofać do swego kraju. Władze ówczesne w Polsce pozbawione oparcia zasiadły razem ze wszystkimi siłami społecznymi w Polsce do pertraktacji przy tzw. Okrągłym Stole. Polska odzyskała całkowitą wolność i niepodległość. Po pewnym czasie odbyły się demokratyczne wybory do parlamentu. W ciągu ostatnich 10 lat tych parlamentów było kilka i w moim odczuciu są one do siebie podobne, tym, że przedstawiciele partii i „partyjek” zasiadających w parla-

mencie zamiast współpracować ze sobą dla dobra Rzeczypospolitej, starają się zniszczyć jedna drugą. Co to znaczy dla kraju nie będę pisał.

Tyle o kraju, a co z naszymi rodzinami? W rodzinach nie ma już mego i Oleńki pokolenia, czyli rodzeństwa - prawie wszyscy odeszli - piszę więc o ich dzieciach i wnukach.

W Puławach Jurek - syn Marysi i Heńka Misiurków – który się urodził, gdy pierwszy raz byłem w Puławach ożenił z Krysią Wróblewską z Puław – koleżanką z gimnazjum. Braли ślub w kościele w Puławach. Krysia była już po studiach, a Jurek po Wyższej Szkole Oficerskiej. Mieszkają w Lublinie i mają dwoje dzieci i wnuka.

Ta ładna rumiana dziewczynka, córka Marysi z Puław – Alinka (nazywamy ją Dzidka) – z którą wraz z Marysią kiedyś jechałem do Kazunia, też wyszła za mąż, za Marka Kozłowskiego, ma syna – Daniela, a ostatnio i dwoje wnuków. Jak ten czas szybko leci...

Mój młodszy brat Staszek i jego małżonka Mira przeprowadzili się wraz z rodziną z Małej Nieszawki do Torunia. Obie ich córki Pola i Hania wyszły za mąż. Pola ma dwóch synów, a Hania jednego. Obie są po studiach. Staszek studiował na Akademii Medycznej w Gdańsku i ukończył ją z wynikiem więcej jak dobrym. Trzeba przyznać, że to bardzo dobry i pracowity „chłopak”, żeby się tyle napracować i odrobić aż tak wielkie zaległości w wykształceniu ciągnące się od czasów wojny. Brawo Staszek!

W Bytniu w mojej rodzinie też zmiany, bo minęło przecież lat trzydzieści. Córki Marysi i Wacka wyszły za mąż. Basia za Tadka Sławińskiego, a Lucyna za Romana Łukasiewicza. Basia ma czwórkę dzieci (trzy córki i syna) i jest już babcią – ma wnuczkę. Mieszkają w Chełmie. Lucyna i Roman mają dwie córki – Ewelinę i Paulinę.

Lucyna pracuje w Urzędzie Gminy w Woli Uhruskiej, a Roman w Lublinie, a również w gminie społecznie. Mieszkają w Bytniu w domu wybudowanym przez Lucyny rodziców. Dom został przez Romana ulepszony i przebudowany tak, że chyba nie poznałbym teraz starych kątów.

Nie byliśmy już przez ostatnich kilka lat w Bytniu, mimo iż nas ciągle nasza miła siostrzenica zaprasza – nie czujemy się na siłach do odbycia tak dalekiej podróży, a chcielibyśmy bardzo. Lucyna i Roman za to czasami nas odwiedzają. To Roman mnie zainspirował bym pisał te wspomnienia, mimo że się broniłem i mówiłem, że tego nie bardzo kto zechce czytać. Piszę jednak i zobaczymy co będzie.

Bytyń przez te lata bardzo się zmienił, to już nie jest ta sama wioska położona przy wiejskiej drodze (gościńcu), to już nowoczesna wieś posiadająca doprowadzoną energię elektryczną, sieć wodociagową, kanalizację i oczyszczalnię ścieków. Zmienili się również mieszkańcy Bytnia. Moje pokolenie w większości już odeszło, nie mówiąc już o starszym. Kilka lat temu, gdy byliśmy z Oleńką po raz ostatni w Bytniu, to spotykałem bardzo rzadko znajomych, a tylko młode, obce mi twarze. Taka jest zwykła kolej rzeczy. „Mijają ludzkie pokolenia jak fale” – pisał Prus.

Roman i Lucyna przysłali mi książkę zawierającą opracowanie studentów III-go roku Ochrony Środowiska Wydziału Matematyczno – Przyrodniczego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego pt.: „Ekorozwój Gminy Wola Uhruska”, w której zawarta jest wizja rozwoju gminy. W opracowaniu tym jest mowa również o rozwoju Bytnia. Niech więc nam się rozwija ten kochany Bytyń.

Teraz kilka słów o najbliższych, więc synowie:

Janusz ukończył Wyższą Szkołę Marynarki Wojennej, ale nie służy w Marynarce – zwolnił się z wojska i pływa za granicą. Ożenił się w 1978 roku z Wiesią Fortuniak – nauczycielką. Mają dwóch synów – Piotra i Pawła. Piotr studiuje medycynę, a Paweł uczy się w gimnazjum.

Zbyszek ukończył studia na Wydziale Elektroniki Politechniki Gdańskiej, w 1982 r. ożenił się z Renią Konecką, koleżanką ze studiów na Politechnice Gdańskiej. Mają dwóch synów – Andrzeja i Adasia. Andrzej studiuje na Politechnice Gdańskiej, a Adaś uczy się w gimnazjum.

Tyle o nas i naszej rodzinie po trzydziestu latach od chwili zwolnienia mnie do rezerwy i na tym chyba zakończę te moje wspomnienia.

Kończąc wspomnienia, serdecznie dziękuję wszystkim, którzy mnie w czasie pisania wspierali radą i czynili krytyczne uwagi co do tekstu wspomnień, pomogli w przepisaniu z rękopisu i przygotowaniu do druku tych moich wspomnień.

Dziękuję zwłaszcza moim dzieciom, Reni i Zbyszkowi oraz siostrzeńcowi Romanowi.



**7-mio klasowa Szkoła Powszechna w Woli-Uhruskiej, czerwiec 1931r. klasa IV-ta**

Na zdjęciu od lewej:

- W pierwszym rzędzie: NN, Łachtiukówna, A. Stemplewska, L. Gawdzińska, M. Niedźwiedzka, L. Stefanowska, NN, M. Czerwińska, Sz. Kozuch.
- W drugim rzędzie: A. Zarek, P. Kozaczuk, B. Baryga, A. Chilimiuk, J. Baum, pani Halina Dargiewiczówna, pani Fulińska, S. Beser, S. Tarandzio, Z. Franas, Z. Czupryński, F. Banaszkiwicz, S. Orlean.
- W trzecim rzędzie: NN, B. Baum, K. Lubkowska, S. Wielickówna, S. Krystmanówna, L. Okońska, NN, H. Wiązowska, J. Sieradzka, W. Krystmanówna, J. Zalewska, M. Zalewska, Hawrylukówna, M. Wieliczko.
- W czwartym rzędzie: A. Chałomiej, E. Flaga, R. Gębicki, B. Gębicki, R. Bolestówna, Kozaczukówna, M. Banaszkiwiczówna, J. Stefanowska, K. Czerwińska, NN, NN, A. Wieliczko, J. Polak, S. Koma



**7-mio klasowa Szkoła Powszechna w Woli-Uhruskiej czerwiec 1935r.**

**Pożegnanie ze szkołą.**

Na zdjęciu od lewej:

- W pierwszym rzędzie: St. Wicichel, NN, A. Żarek, T. Latoszyński, T. Niewiadomski, J. Engelhardt, J. Laskowski, J. Sieradzki, M. Franas, St. Szewczyk, St. Łukomski, R. Grgorowicz, J. Popielnicki, NN, K. Suchań
- W drugim rzędzie: A. Nelsonówna (w berecie), H. Łysakówna, pan Józef Maliński, pani Zofia Asprasowa, pani Halina Dargiewiczówna, ksiądz NN, pani Maria Kłosa, pan Wincenty Kłos, L. Gawdzińska, A. Huryń
- W trzecim rzędzie: A. Wieliczko, J. Janicki, M. Pawlusiukówna, St. Krystmanówna, J. Sieradzka, J. Motwicka, J. Baranowska, M. Zalewska, L. Stefanowska, NN, St. Szlichting, T. Basiejko, St. Orlean
- W czwartym rzędzie: F. Banaszekiewicz, J. Dąbrowski, M. Wojerz, B. Baum, NN, NN, B. Rozegnałówna, K. Rozegnałówna, J. Kotowski, NN





**Szkoła Oficerska Saperów w Przemyślu, kwiecień 1945r**

Pluton, który pełnił straż przy grobie Chrystusa.

W drugim rzędzie, drugi z lewej autor wspomnień



**Bytyń w maju 1945r. koledzy z AK.**

Od lewej: Władek Żańczuk ps. "Żart", Mietek Zalewski ps. "Żuk", Franciszek Banaszekiewicz ps. "Bar", Piotr Kozaczuk.



**Puławy 1946 – 1948**  
Oleńka i autor wspomnień



**Dwikozy k/Sandomierza lipiec 1945r**  
**1 kompania 24 batalionu saperów**

Na zdjęciu grupowym w środku kompanii siedzą (bez nakrycia głowy) od lewej: st. sierż. Antoni Mróz, chor. Antoni Weremczuk, ppor. Eugeniusz Zygiert, chor. Franciszek Banaszekiewicz.



**Srebrne wesele**  
Gdańsk – Oliwa 18 września 1973



**Politechnika Gdańska, październik 1973r**

Oficerowie i pracownicy cywilni Studium Wojskowego w dniu pożegnania oficerów odchodzących do rezerwy. W pierwszym rzędzie 3-ci od lewej autor wspomnień.